



Historia, którą opowiem, nie jest zmyślona. Zdarzyła się w znanej miejscowości pod Paryżem w roku 1974 i była szeroko omawiana w prasie. Dziennikarze przekręcali fakty, opisywali nie istniejące sytuacje, budowali bzdurne hipotezy – wszystko to dla sensacji. A przecież prawda była ciekawsza od tego, czym starali się zafrapować publiczność.

**Karol  
Wilt  
dalszego  
ciągu  
nie będzie**

CZYTELNIK

lesiojot

Karol  
**Wilt**  
dalszego  
ciągu  
nie będzie

Czytelnik  
Warszawa  
1977

## PO SEZONIE

Wysoki szczupły mężczyzna w szortach szedł skrajem plaży, wgniatając bose stopy w wilgotny piasek, który po odpływie fali szybko odzyskiwał złocistą barwę. Zanim nadbiegła nowa fala, mężczyzna zostawiał za sobą łańcuch głębokich śladów, które woda pieniać się i sycząc zmywała.

Było bezchmurnie i ciepło jak w czerwcu, chociaż wrzesień już się kończył. Mężczyzna przymknął oczy, wystawił twarz na słoneczne promienie i brnął na oślep, czując pod nogami piasek lub płytką wodę. Od kilku już dni przemierzał tam i z powrotem długi pas między kołobrzeską przystanią a plażą i ani razu nie spotkał żywej duszy.

Nagle potknął się o wystającą z wody butelkę, a chcąc uskoczyć przewrócił się i uderzył głową w coś puchatego. Był to gruby wełniany koc przedniego gatunku, który szczęśliwie złagodził siłę uderzenia.

- Gdzie się pchasz, ślepy bałwanie? - usłyszał nad uchem.

Mało brakowało, by padając wyrznął w nogi leżącego na pledzie człowieka. Ten wstał i z odrazą przyglądał się, jak intruz podnosi się ocieężale i pociera bark, w który się boleśnie uderzył.

Właściciel pledu był łysawym blondynem po pięćdziesiątce, krzepkiej jeszcze budowy. Mimo „tłuszczyku” układającego się w fałdy na jego piersiach i brzuchu domyślać się można było okazałych niegdyś mięśni. Pewnie dbał o swoją kondycję.

- Najmocniej przepraszam - powiedział szczupły mężczyzna. - Zagapiłem się w niebo... To może już ostatnie słoneczne dni...

Blondyn nie słuchał - sprawdzał pośpiesznie, czy butelka się nie stłukła. Nic jej się nie stało, ocalała nawet nalepka

eksportowej półlitrowki.

- Pan, jak widzę, przychodzi tu dobrze zaopatrzony - odezwał się przybysz z przepaszającym uśmiechem.

Chciał powiedzieć cokolwiek, by nawiązać rozmowę; od razu jednak zmiarkował, że jego uwaga może być źle rozumiana, stropił się więc jeszcze bardziej i dodał:

- To dobry pomysł. Następnym razem i ja będę mądrzejszy.

Ku jego zdziwieniu twarz blondyna rozjaśniła się do-  
brodusznym uśmiechem.

- Pan też lubi sobie popić? - zapytał z życzliwością.

- Na urlopie owszem. W ogóle nie należę do towarzystwa antyalkoholowego.

- No to w porządku. Siadaj pan.

Wkrótce panowie byli już przyjaciółmi. Blondyn upijał się szybko i na ponuro. Używał plugawych wyrazów i wygłaszał apokaliptyczne sentencje w rodzaju: po co było obdarzać ludzkość rozumem i cywilizacją, jeżeli na samym końcu ma być bomba wodorowa i powszechna zagłada.

- Ślimaki też wylecą w powietrze - powtarzał z goryczą. - A co one złego światu zrobiły?

Jego rozmówca nie umiał na to odpowiedzieć, w głowie mu już huczało i potajemnie zazdrościł ślimakom, że mogą się schować i zasnąć.

Naokoło polatywały mewy, przyzwyczajone do sutych poczęstunków od wczasowiczów. Niektóre zuchwale siadały tuż na piasku, przyglądały się z potępieniem, jak dwóch facetów pociąga kolejno z butelki, a zrozumiałwszy, że nie ma się czego po nich spodziewać, odlatywały skrzecząc obelżywie.

Zbliżała się pora posiłku. Wypito już brudzia, panowie mówili do siebie po imieniu: szczupły nazywał blondyna Tadzkiem, ten zaś, wzgardziwszy imieniem Ludwik, ochrzcił kompana Bobusiem, pragnąc widocznie podkreślić, że ten jest wobec niego młokosem, chociaż dzieliła ich nie tak znów wielka różnica wieku.

Niezręczność okazana na wstępie przez Ludwika sprawiła, że czuł się wobec nowego znajomego niezupełnie w porządku. W odpowiedzi na to Tadeusz przybrał w rozmowie ton

protekcjonalny, czasem dość obcesowy.

- No, Bobuś - powiedział rzucając daleko w morze pustą butelkę - dosyć tego dobrego, trzeba coś zjeść. Chodźmy do Szweda.

Tak nazywał najdroższy w Kołobrzegu hotel Skanpol zbudowany według projektów szwedzkich. Ludwik ze względów finansowych omijał ten lokal z daleka.

- Jadam w sanatorium numer dwa - powiedział. - W drugiej zmianie. Jedzenie nieszczególne, ale...

- Do chrzanu z sanatorium. Mieszkam i jadam u Szweda, to jedyne miejsce, gdzie człowieka nie otrują węgorzem. Dbam o swoje zdrowie, bratku.

Ubrali się i ruszyli do wyjścia. Mewy siedzące na przewróconej łodzi ratunkowej odprowadziły ich surowym spojrzeniem. Minawszy ozielenione uliczki nadbrzeża, przeszli przez tory kolejowe i znaleźli się w mieście, zakurzonym i brzydkim. Wywieszki w sklepach obwieszczały przerwę obiadową, ulice opustoszały.

Ludwik zauważył, że jego towarzysz zapada w ponure milczenie i coraz bardziej przyśpiesza kroku. „Widocznie pilno mu do nowej butelki” pomyślał.

Tadeusz sprawiał wrażenie człowieka, którego na jakimś zakręcie wyrzuciło z toru i który nie ma ochoty na ten tor powrócić. Wyczuwało się, że znajduje w tym osobliwą przyjemność. Czy źródłem tego była wódka, czy też wódka była już tylko skutkiem? Ludwik zbyt mało o nim wiedział, by sobie na to odpowiedzieć.

W restauracji usiedli przy otwartym oknie. Sala przypominała wystawę nowoczesnego meblarstwa: opływowe kształty, jasnożółte drzewo, biały metal i szkło. Jednakże cały przepych lokalu, zbudowanego niewiele lat temu z udziałem fachowców szwedzkich, miał już na sobie smutne piętno przedwczesnego zużycia.

Na sali było zaledwie kilkanaście osób. Obiad podano smaczny i obficie zakrapiany śliwownicą. W miarę jak opróżniała się butelka, Tadeuszowi powracał humor i elokwencja.

- Na calusieńkiej kuli ziemskiej nie znajdziesz teraz spokojnego zakątka ani normalnych ludzi - rozprawił. - Wszystko pobzikowało.

- My z tobą też nie należymy do normalnych - wtrącił Ludwik.

- Jasne! Normalni odbierają sobie życie przed maturą, bo potem już za późno. Ale my przynajmniej wiemy, gdzie jest nasze miejsce: w domu wariatów. Mam rację?

- Co do nas, na pewno.

- No widzisz, z tobą zawsze mogę się dogadać. Weź jeszcze łososia, radzę ci. W Grandzie takiego ci nie dadzą.

- W Grandzie, prawdę mówiąc, bywam nieczęsto - powiedział Ludwik starając się nie myśleć o tym, ile wyniesie rachunek. - Jestem właściwie z awansu społecznego, mój ojciec był górnikiem - dodał niezupełnie na temat.

I co z tego? Łososia chyba odróżniasz od śledzia. Mój ojciec też nie był arystokratą, ale zjeść lubił dobrze i dużo. Czemu nie pijesz? Ta jugosłowiańska wódka jest całkiem przyzwoita. Kelner! Powtórzmy!

Potem nadeszła kłopotliwa chwila zapłacenia rachunku. Ludwik się nie dowiedział, ile kosztowała kolacja, bo Tadeusz zręcznie papieraek zagarnął, a stół Ludwika wepchnął kompanowi z powrotem do kieszeni.

- Zaprosiłem cię! - powiedział. - Zapomniałeś?

Ciągnął Ludwika jeszcze na drinka do swojego pokoju, ale ten wymówił się pilną sprawą na mieście.

Taki był pierwszy dzień ich znajomości.

Ludwik przyjechał do Kołobrzegu przed trzema dniami, od razu po awanturze o Basię. Mowa oczywiście nie o filmie uwielbianym przez dzieci, tylko o prawdziwej awanturze o prawdziwą Basię. Pokłócił się z jej matką, która zabroniła dziewczynce go odwiedzać: wykoncypowała sobie, że ją uwodzi.

„Piętnastoletnią! - myślał Ludwik z wściekłością. - Którą znam od maleńkości! Wzięła mnie za zboczeńca. Głupiej kołtunce w głowie się nie mieści, że mnie i Basię łączy coś zupełnie innego. Nie mogłem przecież powiedzieć, o co chodzi, na razie muszę zachować bezwzględną tajemnicę”.

Tak więc stracił Basię i był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Te parę dni nad morzem błakał się jak porzucony kochanek, unikając ludzi i spędzając wieczory w swoim obskurnym pokoiku.

Na wyjazd zdecydował się nagle, nie czekał nawet na wypłatę i miał przy sobie niewiele pieniędzy. Liczył, że o tej porze znajdzie w Kołobrzegu niedrogi pokój z wyżywieniem. Nie planował dłuższego pobytu nad morzem, najwyżej dwa tygodnie.

Pokój wynajął z pierwszego ogłoszenia, jakie zobaczył na murze idąc ze stacji.

Pokój był obskurny: podłużny, ciemny, z oknem wychodzącym na mur jakiejś rudery. Po raz pierwszy ujrzał go wczesnym rankiem, kiedy na krótką chwilę zagląda tu słońce, żeby potem zniknąć za dachem sąsiedniej kamienicy. W tym zwodniczym świetle nawet licha kanapa, która miała mu służyć za łożo, wyglądała niemal przytulnie. Co prawda, wystawało z niej kłujące włosie, ale właścicielka mieszkania uważała to za oznakę luksusu.

- Gdzie pan znajdzie teraz mebel z prawdziwym włosiem? - mówiła z dumą.

Prawdopodobnie ręka tapicera nie dotykała cennego zabytku co najmniej od półwiecza.

Naprzeciw kanapy stał mały stół, przy którym lokator mógł jadać i w razie ochoty pisać. Było jeszcze chwiejące się krzesło i wieszak, gdzie od razu zawiesił płaszcz. Resztę rzeczy musiał trzymać w walizce umieszczonej na taborecie.

Nie namyślając się długo, wpłacił należność za tydzień pobytu i wszedł w posiadanie pokoju. Mógł już nie uważać się za bezdomnego, wciąż jednak czuł się nieszczęśliwy.

Tadeusza spotkał akurat w porę, bo samotne wędrówki zaczęły mu ciążyć. Nazajutrz znów znalazł go na tym samym miejscu plaży - wyglądało, że czekał na jego przyjście. Butelka eksportowej chłodziła się w morskiej fali.

Program dnia nie różnił się od poprzedniego. Popijali do godziny drugiej, potem spożyli obiad w Skanpolu, nie mniej wykwinny i drogi, i znów Ludwik bezskutecznie usiłował

uczestniczyć w wydatkach. Spędzając razem tyle godzin, nie zadali sobie ani jednego osobistego pytania - od samego początku powstała między nimi taka milcząca umowa.

Trzeciego dnia Ludwik odmówił stanowczo pójścia do restauracji. Nie lubił być zapraszany bez możliwości rewanżu.

- Idę do domu - oświadczył. - Ma do mnie ktoś zatelefonować z Warszawy.

A gdzie ty właściwie mieszkasz?

Podał Tadeuszowi adres.

- Nie gniewaj się - prosił. - Jutro przyjdę na plażę.

Spożył w stołówce sanatoryjnej obiad, który smakował mu jeszcze gorzej niż zwykle, po czym wrócił do domu. Wyłożył na stolik blok listowy i zaczął przeglądać zapisane strony. Szło mu opornie.

Ktoś zapukał do drzwi. Był to Tadeusz, w rękę trzymał koszyczek, z jakim panie chodzą po zakupy.

- Przyszedłem - powiedział rozglądając się. - Ależ to mysia nora! Nie mogłeś urządzić się przyzwoiciej?

- Szukałem właśnie takiej nory, do nastroju.

Gość pokiwał głową jak człowiek, który potrafi zrozumieć każde dziwactwo.

- Pomyślałem, Bobuś, że ci się przykrzy samemu - powiedział z troską w głosie. - Czy przeszkadzam?

- Nie, skądże.

Miałeś już ten telefon?

- Rozmawiałem przed chwilą.

Tadeusz wyłożył na stolik butelkę wódki, stos krakersów i jabłka.

- Skoro jesteś już wolny... - zaczął przepraszająco.

Gospodarz wyciągnął blok listowy spod jabłek.

Wiesz, Tadziu, prawdę mówiąc, mam coś do zrobienia... Przywiozłem ze sobą pewną pracę.

- Myślałem, że jesteś na urlopie.

No jestem, ale to praca nie służbowa, tylko... Mniejsza z tym.

- Co ty się jąkasz? Kogo obchodzi, jaką masz pracę? Ja o nic nie pytam.

- Właściwie mógłbym ci powiedzieć. Rozumiesz, od pewnego



czasu fascynuje mnie pewien pomysł, który postanowiłem, jak to się mówi, przełać na papier.

- Jak musisz, to przelewaj. Czy to coś naukowego?

Nie wiem jeszcze, co z tego wyjdzie. Pewnie nic nie wyjdzie, bo nie mam wprawy. Podkusiło mnie zacząć, a teraz sam nie wiem, czy warto kontynuować. Zresztą, głupstwo, zmienmy temat, Tadziu.

Czekaj no, czekaj! - powiedział gość usiłując odczytać pierwszą stronę rękopisu. - Ależ ty masz paskudny charakter pisma! Jeżeli to nie tajemnica, przeczytaj mi kawałek. Bardzo lubię słuchać.

Ludwik poczuł się dziwnie: jakby zniknął mu z oczu cały ten brzydki pokój, jakby nagle powrócił do własnego mieszkania. Oto chodzi z kąta w kąt z plikiem zapisanych kartek i głośno czyta, a w fotelu przy biurku, zwinięta w kłębuszek, siedzi Basia, wodzi za nim oczami i wchłania każde słowo; niekiedy mruży lekliwie powieki lub szepce coś, a czasem głęboko wzdycha z przejęcia. Na twarzy jej odbijają się wszystkie emocje, jakich mógłby życzyć swoim czytelnikom najbardziej ambitny autor...

- Co ci jest? - dotarł do niego głos Tadeusza. - Ogłuchłeś czy co? Pytałem, czy nie zechciałbyś przeczytać na głos tego, co napisałeś.

- Wiesz co - powiedział Ludwik wyjmując mu z rąk blok listowy - muszę ci coś wyjaśnić. To nie naukowa rozprawa, to powieść. Powieść oparta na moich własnych wspomnieniach, rozumiesz?

- Więc jesteś pisarzem? Od razu trzeba było powiedzieć.

- Nie jestem pisarzem. Po raz pierwszy próbuję pisać

- Co cię podkusiło?

- Czy ja wiem...

- Zawód miłosny? - porozumiewawczo mrugnął do niego Tadeusz.

- Niezupełnie. Przecież każdemu się zdarza, że robi coś nie wiadomo dlaczego i po co.

- Owszem, zdarza się.

- A tu akurat miałem zachętę... W Warszawie przychodziła do

mnie córka sąsiadów, Basia, uczennica pierwszej licealnej...

- To ty taki jesteś? No, no...

- Nie wygłupiaj się! Przychodziła, bo to dziewczynka nad wiek rozgarnięta i odczytana. To ona namówiła mnie, żebym spisał moje przeżycia, które uznała za pasjonujące. Postanowiłem spróbować. Przychodziła o szóstej, po odrobieniu lekcji, żeby w domu nie miano do niej pretensji. Czytałem na głos kolejny urywek, a po jej odejściu pracowałem niekiedy do głębokiej nocy. Nieraz jechałem do pracy niewyspany.

- Masz zdrowie!

- Wieczorem zaparzałem sobie mocnej herbaty, ale najczęściej zapału dawała mi myśl o Basi, która miała nazajutrz ocenić owoc moich wysiłków. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie głupota jej matki: wyobraziła sobie, że chcę tę nieletnią zdeprawować!

- Całkiem dorzeczny pomysł.

- Przestań, Tadziu, to niesmaczny żart. No i skończyło się moje pisanie. Nie mogłem przecież babie tłumaczyć, że nie będąc litaratem zabrałem się do powieści i że Basia jest moją pierwszą czytelniczką! Była to tajemnica, której strzeżliśmy oboje przed światem. Nazywała nasze spotkania: „twoje wieczory autorskie”. Chodzi do Domu Literatury na takie wieczory, bardzo je lubi.

- Trudno. Zaczynaj pisać bez Basi.

- Nie wychodzi. Wdrożyłem się widocznie w czytanie na głos, odpowiada mi taka technika - o ile można w ogóle mówić o technice u niezawodowca. Bardzo mnie to wszystko zdeprymowało. Zacząłem nawet pić.

- Pomaga?

- Póki piję, pomaga, a kiedy przerywam, wszystko roztrząsam na nowo...

- Bo nie trzeba przerywać. Dlatego ja piję bez przerwy.

Zapadło milczenie.

- Czy wszystko pisałeś ze wspomnień? - zapytał Tadeusz.

- Niezupełnie. Wspomnienia to tylko kanwa. Zaczynając rozdział nie wiem, dokąd mnie zaprowadzi wyobraźnia. Nie

masz pojęcia, jaka to świetna zabawa!

- Czy zaczynasz od swojego dzieciństwa?

- Nie. Jestem repatriantem z Francji, wiesz. Urodziłem się w miasteczku górniczym, tam chodziłem do szkoły, studia ukończyłem w Paryżu. Przyjechałem do Polski w roku 1956, już po śmierci rodziców, a piszę o Francji dzisiejszej, z którą zetknąłem się przed dwoma laty, po dwudziestoletniej prawie nieobecności.

- To może być ciekawe, jeżeli potrafisz to dobrze ująć. Nie zastąpię ci oczywiście Basi, ale chętnie posłucham tego, co napisałeś.

- Czy starczy ci cierpliwości?

- Czemu nie? Wódkę mam, wygodne leże mam, czego jeszcze potrzeba?

Już usadowił się na lichej kanapie. Wódkę, szklankę po szczołce do zębów i jabłka umieścił obok na taborecie, z którego zdjął walizkę.

„Właściwie - pomyślał Ludwik - on jest zupełnie inny, kiedy trzeźwieje. Znika cała ta jego prostacka poufałość, te niewybredne wygłupy, staje się raczej milkliwy... Ciekawe, kiedy jest prawdziwszy?”

- No, zaczynaj! - powiedział Tadeusz nalewając wódkę do szklanki.

I Ludwik rozpoczął nową serię spotkań autorskich.

## **WIECZÓR PIERWSZY**

Ludwik usiadł przy oknie, skąd sączyło się skąpe światło. Wertował zapisaną część bloku, żeby wygrać na czasie. Miał tremę.

- No - odezwał się zniecierpliwiony Tadeusz. - Na co czekasz?

- Już zaczynam.

- Tylko czytaj głośno, żeby nie zasnął.

Debiutant odchrząknął, wygładził pierwszą stronę.

- „Nie wracaj do Wenecji” - powiedział dobitnie.

- Co ty pleciesz? Nigdy tam nie byłem.

- To tytuł. Tytuł mojej powieści.
  - Aha!
  - „Od autora”.
  - A cóż to znaczy?
  - Zwyczajnie, wstęp.
  - Nie możesz bez wstępu?
  - Wiesz, Tadziu, jeżeli będziesz mi co chwila przerywał, nie potrafię się skupić. Czy na wieczorach autorskich też się wtrącasz?
  - Na takie coś nigdy nie chodzę. Ale dobrze już, Bobuś, nie złość się. Słucham.
  - I Ludwik zaczął.
- 
- 

## NIE WRACAJ DO WENECJI

### Od autora

Historia, którą opowiem, nie jest zmyślona. Zdarzyła się w znanej miejscowości pod Paryżem w roku 1974 i była szeroko omawiana w prasie. Dziennikarze przekręcali fakty, opisywali nie istniejące sytuacje, budowali bzdurne hipotezy - wszystko to dla sensacji. A przecież prawda była ciekawsza od tego, czym starali się zafrapować publiczność.

Tak się złożyło, że gościłem wtedy u moich francuskich krewnych i znalazłem się, rzecz można, w samym gąszczu wypadków. Niemal wszyscy uczestnicy dramatu zwierzali mi się i sądzą, że z całkowitą szczerością. Z tych zwierzeń oraz z moich własnych obserwacji powstał obraz tego, co zaszło w ich domu i znalazło epilog na sali sądowej.

Jedna osoba wskutek bardzo osobliwych cech charakteru od początku ściągała moją szczególną uwagę. Zresztą nie wybiegajmy naprzód. Niech Czytelnik orzeknie, czy miałem prawo podjąć się roli bezstronnego kronikarza.

## **Część pierwsza**

### **W gronie rodzinnym**

Koniec roku 1973 przyniósł mi dwie miłe niespodzianki.

Pierwsza polegała na tym, że kierownik naszego instytutu powiadomił mnie, iż zostałem wydelegowany na spotkanie mikrobiologów europejskich, które odbędzie się na początku stycznia w Paryżu. Był to dla mnie zaszczyt i wielka przyjemność, ponieważ wyjechałem z Francji kilkanaście lat temu i od tej pory jej nie oglądałem.

Drugą, nie mniej radosną niespodzianką był serdeczny liścik z Ville d'Avray od ciotki Wandy, w którym między innymi pisała:

„Przykro mi bardzo, Ludwisiu, żeśmy cię tyle lat nie widzieli! Pewnie zapomniałeś, jak wyglądają twoi kuzynowie, a wnuków moich wcale nie znasz. Edek ma śliczną żonę Włoszkę i dwoje bardzo udanych dzieci, Filip, od niedawna żonaty, czeka na pierwszą pociechę.

Niedługo już Boże Narodzenie, a zawsze wspominamy, jak spędzaliśmy te Święta z tobą. Przyjeżdż, kochany! Niech moje wnuki poznają swego polskiego stryja. Pomyśl i o tym, że skończyłam siedemdziesiątkę i nie mogę zbyt długo czekać na radość zobaczenia cię. Jesteś przecież jedynym przedstawicielem naszej rodziny w Warszawie”.

To była prawda. Wanda zaś była jedyną, która pisała do mnie po polsku. Zapalił się we mnie ogieniek uczuć rodzinnych i rozgrzał serce ciepłem wspomnień.

Wanda wyszła za mąż za Francuza i jej synowie już nie mówili po polsku, znali zaledwie kilkanaście słów i wymawiali je z okropnym akcentem. W mojej rodzinie było inaczej.

Ojciec, górnik, wyemigrował do Francji wraz z młodą żoną w roku 1929 w poszukiwaniu pracy. Osiedlili się w dużym robotniczym ośrodku polskim Saint-Étienne, gdzie w dwa lata później przyszedłem na świat. Rodzeństwa nie miałem.

W domu słyszałem mowę polską, na podwórku zaś i w szkole

francuską, wychowałem się więc w środowisku dwujęzycznym. Podczas okupacji straciłem dwa lata szkolne, bo pomagałem ojcu w zarobkowaniu. Dopiero w roku pięćdziesiątym zdałem maturę i rodzice napisali do cioci Wandy, że chcieliby kształcić mnie dalej. Chętnie zaprosiła bratanka do siebie, żeby umożliwić mu studia na wydziale biologii w Sorbonie.

Mieszkali już wtedy w Ville d'Avray, malowniczym miasteczku pod Paryżem, które wtedy nie było tak zaludnione, jak teraz. Wuj Paul Charmier był lekarzem internistą, i to dość cenionym, więc i dostatecznie zamożnym. Wujostwo zajmowali duże mieszkanie w dzielnicy nowych bloków na wzgórzu.

Umieszczono mnie w jednym pokoju z młodszym kuzynem, Filipem, ale przyjaźniłem się raczej z Edkiem, sporo ode mnie starszym, który ukończył już akademię medyczną. Pamiętam, że cieszyłem się bardzo, kiedy zabierał mnie do Paryża swoim małym samochodem. Zazwyczaj jeździłem na wykłady kolejką podmiejską.

Wspomnienia zaroily się w mojej głowie, walcząc między sobą o prawo pierwszeństwa. Postanowiłem połączyć służbowy wyjazd do Francji z odwiedzinami u krewnych.

I oto otrzymawszy paszport, wizę i bilet w trzy tygodnie przed oficjalnym terminem, siedzę w wagonie sypialnym i w miarę jak zbliżamy się do Paryża, coraz częściej zapalam papierosa. Serce ściska mi dziwny niepokój, odczuwam na przemian falę rozrzewnienia i obawy, jak to bywa przed randką po długim niewidzeniu, kiedy człowiek nie jest pewien: czy jeszcze kocha? czy jest kochany?

Pociąg przybywa z dużym opóźnieniem. Zapadł gęsty mrok. Wychodzę, rozglądam się. Tłum na peronie otacza mnie zewsząd. Nie widać tragarzy, natomiast co roztrośniejsi zdobyli już metalowe wózki, pakują tam bagaże i manewrując wśród ciżby przepychają się do wyjścia. Nie ruszam się z miejsca i rozglądam szukając znajomej twarzy.

Ciocia Wanda z pewnością przyszła na dworzec, ale czy mnie pozna? I czy ja ją poznam? Co prawda, wymieniliśmy fotografie świeżej daty, a ciocia nawet napisała: „Będę w szarym płaszczu, z szarą parasolką”. Odpisałem, że mam zieloną walizkę, toteż

trzymam ją na widoku. A jednak...

Paryski grudzień wita mnie jesiennym deszczem. Naokoło widzę mnóstwo parasoli, ale wszystkie przemokły, straciły barwy i wyglądają szaro. Co chwila ktoś mnie potrąca, ludzie rzucają się sobie w objęcia, całują się, słysząc okrzyki radości.

Stoję głupawo na peronie Dworca Północnego i wciąż się rozglądam. Gdzież ta szara parasolka Wandy? Wtem jakiś zażywny pan wyszarpuje mi z rąk walizkę, obejmując jednocześnie za szyję.

- Ludwiś! - krzyczy. - Jesteś, łobuzie!

Domyślam się, że to Edek. Po chwili mam okazję się przekonać, że istotnie ma śliczną żonę, wysmukłą i czarnowłosą.

- Klaudia! - woła Edek. - Patrz, to Ludwik!

Ona z kolei ściska mnie i całuje. I dopiero po nich ciężkim kłusem nadbiega Wanda - zdyszana, ale szczęśliwa.

- Nic się nic zmieniłeś! - mówi radośnie, wymachując parasolką. - Pokaż no się! Wykapany tata.

Mimo swej siedemdziesiątki jest nadal pełna wigoru i wygląda znakomicie - ubrana elegancko, promieniuje uśmiechem, który wyciska głębokie dołeczki na jej policzkach. Sylwetkę ma już otyłą, ale trzyma się prosto, ruchy ma energiczne, siwe włosy starannie ułożone... Mało się właściwie zmieniła. Ta sama uczynna dobroć, ta sama nieposkromiona witalność!

Przypomina mi się, jak żartował wuj Paul: „Ciebie chyba trzeba będzie zabić, bo sama nigdy nie umrzesz”. Nie miał, biedak, tej witalności i umarł sześć lat temu. Opowiadano mi, że Wanda omal nie poszła w ślad za nim... Przyglądam się z bliska jej przywiedlej cerze i dopiero teraz dostrzegam smutny wyraz jej oczu.

Ruszamy do wyjścia. Na przedzie Edek popycha wózek z moją walizką, Klaudia mu towarzyszy. Mogę podziwiać jej długie, zgrabne nogi. Doprawdy, jest efektowna.

Kiedy wychodzimy na plac, Edek mówi:

- Poczekajcie chwilkę, zabiorę mój wóz z parkingu.

I znika. Klaudia wyjaśnia:

- Parking mieści się na drugim piętrze dworca. To potrwa z kwadrans. Właściwie moglibyśmy wstąpić na drinka do bistra.

- Chcesz? - pyta Wanda i z jej tonu wyczuwam, że pragnie usłyszeć odpowiedź odmowną, więc robię przeczący gest. - No właśnie, wiedziałam! Lepiej poczekajmy na świeżym powietrzu.

Wanda nigdy nie była „trunkowa”.

Kwadrans czekania upływa na ożywionej rozmowie między ciotką i mną - padają imiona krewnych, nazwy miejscowości, które zwiedzało się razem, jakieś rodzinne powiedzonka. Trochę mi przykro, że Klaudia jest wyłączona z naszej wspólnej wycieczki w przeszłość.

Edek zajęcza wspaniałym ford-escortem czekoladowej maści. Pakujemy się na tylne siedzenie, zostaję ulokowany między paniami. Już po szóstej, pora przedkolacyjna, okres wzrastającego nasilenia ruchu. Wóz co minuta posuwa się o kilkadziesiąt metrów i zatrzymuje na czas dłuższy.

Przez króciutki, ale nieprawdopodobnie zatłoczony bulwar Denain przedostajemy się na bulwar Magenta, równie zapchany, ale dwa razy szerszy; pojawia się nadzieja, że wyrwiemy się ze strefy korków.

- Merde! - wybucha raz po raz Edek. - W tym mieście nie można już jeździć samochodem, to marnowanie czasu.

- Ja jeżdżę metrem - odzywa się Wanda. - I taniej, i prędzej.

- I nie trzeba szukać parkingu - dorzuca Klaudia.

Ale nam z Wandą to nie przeszkadza, usta nam się nie zamykają, zarzucamy się nawzajem pytaniami: pamiętasz, wtedy w ogródku... a po twojej maturze... przypominasz sobie, na imieninach Paula... nie, to było chyba kiedy indziej... ależ tak, oczywiście!

Nawet nie wiedziałem, że mamy tyle do wspominania.

Na placu Republiki znów monstrualny korek. Edek przebija się do wąskiej uliczki, z zuchwałą zręcznością kaskadera wymija dużego mercedesa. Przez sekundę myślę, że dojdzie do kraksy, ale oba wozy z lekkim chrzęstem rozdzielają się i mkną w różne strony.

- Skręciłeś, zdaje się, w przeciwnym kierunku - rzuca Klaudia, która cały czas pilnie uważa na drogę.



- Nie szkodzi. Grunt, żeśmy się wydobyli z ciżby.  
Patrzę na Paryż. Wygląda jakoś inaczej niż ten, jaki zachowałem w pamięci. Czy rzeczywiście tak bardzo się zmienił? Może myślę mnie wspomnienia?

Po licznych wirażach Edka tracę zupełnie rozeznanie i kiedy wreszcie wyjeżdżamy na szeroką trasę zamiejską, wszystko naokoło wydaje mi się całkiem nie znane. Widzę nowe osiedla w stylu super-modern, niektóre ładne, inne pretensjonalne lub wręcz brzydkie. Mijamy niezupełnie ukończony wiadukt, który zakreśla olbrzymi łuk nad miastem i znika wśród drapaczy chmur. To najnowsza kreacja urbanistów paryskich.

Na szosie zamiejskiej ford-escort ostro wrywa naprzód. Mkną do tyłu światełka mijanych pędem miasteczek.

Wkrótce wjeżdżamy w park Saint-Cloud. Ogarnia mnie nowa fala wzruszenia. Tu wszystko pozostało jak dawniej. A znam każdy zakręt drogi, każdą alejkę! Ileż wydeptało się własnych ścieżek wraz z kolegami, z koleżankami...

- Dojeżdżamy - rzuca Edek.

Rzeczywiście, to już Ville d'Avray. Mijamy merostwo, wjeżdżamy na Rynek, skręcamy przed kościołem i wkraczamy w „naszą” ulicę. Wspinamy się coraz bardziej stromo, za omszałym murem widać jodły wiekowe; oto bar, w którym lubilem wychylić kieliszek... Mijamy zjazd do bloków, gdzie kiedyś mieszkałem u wuja Paula. Wóz leci dalej. No tak! Przecież od kilku już lat piszę do Wandy na inny adres.

- Jedziemy do twego mieszkania? - pytam Edka.

- Mam własny dom - śmieje się. - Dopiero zobaczysz, jak winien mieszkać człowiek cywilizowany.

Samochód staje przed żeliwnym ogrodzeniem piętrowej willi. Mój kuzyn naciska guzik przy szybie wozu i masywna metalowa brama garażu płynie w górę. Patrzę starając się nie okazywać zdumienia. Wolno mi tutejsze cuda podziwiać, ale w żadnym razie nie dziwić się, żeby nie wyjść na prostaka.

- Sygnalizacja elektronowa - wyjaśnia Edek. - Domena mojej małżonki.

Zza ogrodzenia słychać basowe ujadanie psa. W obszernym hallu wita nas cała gromadka: ciemnowłosa dziewczyna,

rudawy chłopiec, młoda Hiszpanka w fartuszkach i jej mąż z pięknym niemowlakiem na ręku. Wszyscy patrzą na mnie z życzliwą ciekawością.

- Rozgość się, proszę, w naszej posiadłości - mówi Klaudia wymawiając z włoską, trochę zbyt twardo dźwięk „r”. - To nasze dzieci, Madlena i Daniel, a to Maria, która wyręcza mnie w pracy domowej, jej mąż Miguel i synek Pablo. Mam nadzieję, że będzie ci u nas wygodnie.

Mówiąc to uśmiecha się tak serdecznie, że z przyjemnością uświadamiam sobie, iż przybyła mi kuzynka zupełnie urocza.

\* \* \*

Doktor rentgenolog Edward Charmier zajmował imponującą, zwłaszcza dla przybysza ze wschodu, siedzibę. Natychmiast zrozumiałem, że muszę wystrzegać się zestawień z polskim pojęciem wygodnych warunków życiowych, aby nie wpędzić się w kompleksy. Posiadłość składała się z pięknego domu, ogrodu i stojącego w jego głębi parterowego domku mojej ciotki.

Duży dom, zbudowany na spadzistym gruncie, ma od ulicy jedno piętro, zaś od ogrodu dwa, których podstawę tworzy podłużna budowla mieszcząca pralnię, warsztat stolarski, pracownię Wandy z piecem do wypalania emalii itd. To jakby parter ogrodowy wysunięty o trzy metry naprzód, tak że jego płaski, otoczony balustradką dach służy za taras.

Przed kolacją oprowadzono mnie po całym mieszkaniu. Już na widok hallu zrozumiałem, że tu z metrażem się nie liczą, ale dopiero w jadalni i w salonie zapało mi dech w piersi - toć to przestrzeń dwóch salek szkolnych! Meble nowoczesne i w najlepszym gatunku, według zasady ludzi zamożnych: wszystko ma służyć największej wygodzie, wszystko ma podkreślać towarzyską rangę i zaplecze finansowe gospodarzy. Nie chcę powiedzieć, że to wewnątrz jest brzydkie. Bynajmniej! Ale mimo woli pomyślałem, że zaaranżowała je obca ręka płatnego fachowca. Przypomniało mi się mieszkanie wuja Paula, z artystyczną dezyn- wolturą urządzone przez Wandę...

Nadmienić trzeba, że ciotka moja pełniła wtedy obowiązki pielęgniarki w gabinecie zabiegowym męża przy aparatach do

fizykoterapii i rentgena, robiła zastrzyki itd.; nie zadowolala się jednak tym rodzajem aktywności i przekroczywszy czterdziestkę poczuła wyraźne powołanie do zajęć artystycznych.

Pod kierunkiem znanego profesora akademii sztuk pięknych opanowała rzemiosło rzeźbiarskie, a osiągnąwszy w nim znaczne sukcesy, zainteresowała się również artystycznymi wyrobami z emalii, jak dekoracyjne talerze, naczynia, figurynki, broszki itd. Na tym polu także doszła do znacznej wprawy i nawet dobrze zarabiała sprzedając swoje wyroby, na które popyt wciąż wzrastał. Artyzm jej natury przejawiał się we wszystkim, do czego przykładała rękę. Jednakże w mieszkaniu Edka nie znać gustu Wandy.

Z salonem sąsiaduje pokój gościnny, w którym mnie ulokowano. Jest znacznie mniejszy (szesnaście metrów, jak otaksowałem z nawyku) i gwoździ odmianny umeblowany w stylu jakiegoś tam Ludwika. Wszystkie trzy pokoje są połączone wspomnianym tarasem.

Po lewej stronie hallu mieści się kredensowy i kuchnia, po prawej pokoik służbowy, łazienka i schody prowadzące na piętro, gdzie z kolei podziwiałem okazałą sypialnię małżeńską z łazienką oraz pokoje Madleny i Daniela również z łazienkami; poza tym - garderobiany z ładnymi szafami i bibliotekę, której ściany są zabudowane regałami.

- To dzieło taty - powiedziała Madlena wskazując jeden z regałów. - Zrobił go w zeszłym roku na moje imieniny, bo już nie miałam gdzie składać książek.

- Całkiem dobra robota! - rzekłem z uznaniem.

- Teraz panuje moda na domową majsterkę - wtrącił Daniel z ironią. - Mam na myśli domy bogate.

Spojrzałem uważniej na tego piętnastolatka. Był szczupły i długi, na ramiona spływały mu rudawe kędziory, ciemne, błyszczące oczy miały ten sam ładny wykrój, co oczy matki, i ten sam wyraz pewności siebie.

Edek, dotknięty ironiczną uwagą syna, zaprzeczył:

- Nauczyłem się stolarki, bo to daje doskonałe odprężenie po zajęciach zawodowych.

- Daniel ma rację - odezwała się Klaudia. - Majsterka stała się w naszym kręgu kolejną modą. Oczywiście mówi się przy tym, że fizyczny wysiłek uzdrawia i odmładza. Ja w każdym razie cieszę się, że mam w domu stolarza, teraz tak trudno o dobrego rzemieślnika.

- No i zawsze zaoszczędzi się parę franków - uśmiechnął się Daniel.

- Ojcu wcale nie o to chodziło! - zirytowała się Madlena.

- Masz rację - powiedział Edek głaszcząc jej ramię. - Nie oszczędzałbym na prezencie dla ciebie.

Zwróciłem się do Klaudii:

- A ty jaką sobie wybrałaś pracę fizyczną dla odprężenia? Przecież masz trudny zawód, elektronikę?

- Owszem. Ale majsterki nie uprawiam, bo brakuje mi czasu. Edek może sobie na to pozwolić, bo ma dziesięć minut drogi do swego gabinetu rentgenologicznego i po szóstej wieczorem dysponuje czasem dla siebie. A ja na samą jazdę samochodem do Paryża i z powrotem tracę przeszło dwie godziny. Widziałeś, jakie korki są na ulicach?

- Prawdopodobnie z rana i wczesnym wieczorem jest z tym najgorzej?

- Oczywiście. Obiad zjadam w stołówce biurowej, korzystam też z przerwy dla zrobienia zakupów...

- Czy w Ville d'Avray mało sklepów?

- Paryskie wiktuały zawsze są w lepszym gatunku. Po pracy zwykle mam jeszcze coś do załatwienia i wracam dopiero koło ósmej. Tu trzeba pomóc Marii, oto i cały mój wysiłek fizyczny dla zdrowia...

- Moja żona to pracuś - przerwał jej Edek. - Sam się przekonasz, że nie marnuje czasu, zawsze robi coś pożytecznego. Przy niej czuję się często leniuchem.

Na schodach ukazała się Maria w białym fartuszku i czepeczku.

- Proszę państwa na kolację - powiedziała z grzecznym uśmiechem.

Zeszliśmy na dół.

Pamiętam, tego pierwszego wieczoru wszystko wydawało mi

się w szczególny sposób miłe, nawet przekomarzania się moich krewnych.

„Kochają się - myślałem. - Dlatego pozwalają sobie na niewinne żarciki.”

Siedząc w jadalni przy dużym okrągłym stole podziwiałem jego intarsję.

- To już chyba nie twoje dzieło - powiedziałem żartobliwie do Edka.

- Wykonał to znany fachowiec, artysta - wyjaśniła z powagą Klaudia. - Kosztowało majątek.

Pokiwałem z szacunkiem głową i zabrałem się do jedzenia. Na widok różowych krewetek i koralowej langusty poczułem jakby skurcz głodu - tak dawno tego nie próbowałem! Pomny jednak na obfite kolacje w domu wujka, nie opychałem się przystawkami i później winszowałem sobie przezorności.

Siedziałem między Klaudią i Wandą, naprzeciw siedziała Madlena między ojcem i bratem. Mogłem jej się dobrze przypatrzeć. Nie była tak śliczna jak matka, miała jednak urodę niepokojącą. Nie umiałbym sprecyzować, co czai się na dnie jej zielonkawych oczu, przezroczystych jak fala morska w pogodny dzień. Kosmyki gęstych, ciemnych, zupełnie prostych włosów ciągle spadały jej na czoło, odrzucała je przekornym, nerwowym ruchem. Kiedy się zamyślała, jakiś grymas ni to wyniosły, ni to smutny wykrzywił jej blade, szerokie usta.

„Trudna dziewczyna - pomyślałem. - Nie będzie chyba szczęśliwa”.

- Czy jesteś już po maturze? - zagadnąłem ją.

- Studiuję na pierwszym roku Sorbony.

- Na jakim wydziale?

- Literatura francuska. Zastanawiam się, czy nie przejść na angielską lub amerykańską, bo naszą i bez tego znam.

- Nie bądź zarozumiała - upomniała ją matka. - Starsi od ciebie i bardziej wykształceni nie mówią, że bez studiów znają literaturę francuską.

- Ja też tego nie mówię. Ale na to, żeby poznać własną literaturę, wystarczy po prostu czytać ją dla przyjemności. Warto studiować literaturę obcą, i to właśnie współczesną, bo

francuska dziś nie bardzo ma czym się pochwalić.

Sądy Madleny wydały mi się na swój sposób rozumne, zamierzałem je poprzeć, ale na stole zjawiała się zupa z żółwia, moja ulubiona potrawa. Wanda doszła do głosu i opowiedziała z przejęciem, jak dobrze było w Polsce lat dwudziestych.

- To dlaczego wyjechałaś stamtąd? - obcesowo, ale nie bez racji spytał Daniel. - We Francji wtedy wcale nie było tak dobrze.

- W Polsce było bardzo dobrze, ale we Francji było mi jeszcze lepiej, bo spotkałam Paula, waszego dziadka.

Ten argument uciął dyskusję.

Przy baraniej pieczeniu Edek otworzył burgunda.

- Dobry rocznik - powiedział napełniając mój kieliszek. - Zawsze kupuję u tego samego dostawcy.

Daniel, który widocznie w każdej sprawie miał coś do powiedzenia, oznajmił:

- Teraz nie można mieć zaufania nawet do starych, solidnych firm. Potrafią produkować wino z domieszką spirytusu i chemikaliów, które nadają im smak i bukiet sfermentowanych winogron.

- Mój syn to przyszły chemik - z nie ukrywaną dumą wyjaśniła Klaudia. - Interesuje się głównie chemią organiczną.

- Niestety! - zawołała Madlena. - Wciąż robi w domu jakieś piekielne doświadczenia. Jeżeli się dowiesz, że ta willa wyleciała w powietrze albo że wszyscyśmy zostali otruci, możesz nie wątpić, że to sprawka mojego brata.

- Trudno, nauka wymaga ofiar - z humorem odciął się chłopiec.

Zadano mi kilka grzecznościowych pytań o Polskę dzisiejszą, odpowiedziałem zdawkowo, nie wchodząc w szczegóły, by nie nadużywać uprzejmości gospodarzy. Prócz Wandy nikogo tu nie interesował kraj nadwiślański, z którego pochodziła starsza generacja. Tylko Madlena zapytała, jak się zdawało, z żywszym zainteresowaniem:

- Jaka jest literatura polska?

- Obawiam się, że w pełni zrozumiała jest jedynie dla Polaków - odpowiedziałem z całą szczerością. - Obraca się

przeważnie w kręgu spraw czysto polskich. Tak było z naszą klasyką i tak jest w znacznej mierze i dziś.

- Chyba każda literatura porusza sprawy narodowe?

- Masz rację, ale Polska ma tego pecha, że jest krajem małym, o trudnej, zagmatwanej historii. W odróżnieniu od Francji, Rosji czy Anglii cierpi na różne kompleksy, niezrozumiałe dla ludzi szerokiego świata.

Spojrzała na mnie podejrzliwie - czy nie żartuję?

- Chyba przesadzasz - powiedziała niepewnie.

- Być może. Ale w tym, co powiedziałem, jest sporo prawdy.

- Jedz, jedz - wtrąciła Wanda. W pociągu musiałeś się porządnie wygłodzić.

Chętnie usłuchałem. Pieczeń barania była soczysta, delikatna, bez najmniejszego zapaszku: we Francji hodowla owiec jest prawdziwą sztuką. Miła goryczka burgunda pobudzała mój apetyt; później skosztowałem jeszcze kilku gatunków serów. Po tym wszystkim znalazłem nawet miejsce dla deseru i owoców. To już było łakomstwo.

Po kolacji przeszliśmy do salonu. Z ogrodu dało się słyszeć powarkiwanie psa. Edek wpuścił olbrzymiego wilczura alzackiego o mądrym pysku i stosownym imieniu Sokrates. Obwąchał moje nogi, zachęcany przez chóralne okrzyki: „To swój! Zapoznaj się z Ludwikiem, to swój!” - po czym odszedł z godnością i ułożył się koło Edka. Nie wiem, czy zaaprobował moją obecność, spoglądał na mnie z ostentacyjną obojętnością, dając do poznania, że osoby spoza rodziny doktora Charmiera nie mogą liczyć na jego przywiązanie, w najlepszym razie na tolerancję.

- Wyłumacz mu, że jestem kuzynem - powiedziałem do Madleny.

- Nie uwierzy. Chyba że zostaniesz z nami na dłużej.

- Niestety! Gdybym mógł, kto wie...

- Pies znów zabrudził dywan błotem! - z pretensją powiedziała Klaudia. - Po co go wpuszczasz w taką pogodę?

- To mój przyjaciel - odpowiedział Edek obejmując wilczura za szyję. - Mój najlepszy przyjaciel! Mój śliczny, mądry, oddany przyjaciel.

Siedzieliśmy pociągając koniak. Utonąłem w fotelu, jak w marzeniu sennym, wierząc, że jest stworzony specjalnie po to, żebym mógł rozluźnić strudzone mięśnie. Krewni omawiali jakieś domowe sprawy. Daniel siedząc na podłodze przeglądał ilustrowane magazyny i głośno je komentował.

- O, proszę! - powiedział podnosząc wysoko okładkę z portretem ówczesnego prezydenta, Georges'a Pompidou.

- Świetny dowcip!

Dowcip polegał na tym, że prezydenckie oblicze przesłaniała płachta z napisem „Le pouvoir en grippe”, co wskutek gry słów brzmiało dwuznacznie: w sensie dosłownym - „Władza zagrypiona”, w przenośni - „Władza uprzykrzona”. Rozległ się śmiech, a Wanda się oburzyła:

- Niesmaczne wygłupy! Nie można drwić z człowieka chorego.

Pompidou, cierpiący na nieuleczalną chorobę, był już wtedy niedaleki zgonu, o czym szeroka opinia nie wiedziała; myślano na ogół, że za dwa lata znów będzie kandydował na prezydenta.

- Ten chory człowiek odpowiada za losy kraju - szorstko odezwała się Klaudia. - Niech ustąpi komuś młodszemu i zdrowszemu. Przeżywamy kryzys, nie wiadomo jeszcze, jak sobie poradzimy z podwyżką cen nafty. Czy stać nas na słaby rząd?

- Więc gaulliści mają słabą pozycję? - zapytałem.

- Czasy Wielkiego Generała minęły - odezwał się Edek.

- Dziś już trudno mówić o gaullistowskim obozie, nie ma tam zgody.

- Co gorsza, nie ma programu wyjścia z kryzysu - podjęła znów Klaudia. - W Zgromadzeniu Narodowym ministrowie pozwalają sobie na osobiste porachunki, urządzają publiczne pranie brudów. To nie wróży nic dobrego.

- Publicznie czy nie publicznie, a brudy prać trzeba - zachichotał Daniel, ale tym razem matka go ofuknęła:

- Cicho bądź! Moim zdaniem, nie godzi się odslaniać pewnych bolączek wobec przeciwników politycznych. I bez tego lewica coraz bardziej się rozzuchwała.

- Jesteś, jak widzę, zagorzałą gaullistką? - zapytałem.



- Owszem. Nie życzę sobie Francji czerwonej.
- A ty? - zagadnąłem Edka.
- Ani ja, oczywiście. Nie chciałbym stracić tego, czego dorabiałem się przez tyle lat.
- Ludzie we Francji są przeważnie bogaci - ciągnęła Klaudia. - Nawet zbyt bogaci, stąd nasze kłopoty.
- Chyba nie wszyscy są tacy znów bogaci? - wtrąciłem sceptycznie.
- Oczywiście nie wszyscy jednakowo, ale ogólny poziom życia jest u nas wysoki. Czy tego nie widać?
- Nie miałem jeszcze czasu na tę obserwację - roześmiałem się. - Jesteście pierwszą rodziną francuską, którą oglądam po tak długiej nieobecności.
- Szybko się zorientujesz.
- Jednak trudno mi jakoś sobie wyobrazić, że wasz poziom to przeciętny poziom dobrobytu we Francji.
- Owszem, jest wyższy ponad przeciętny, ale i ten najniższy nie jest bynajmniej głodowy.
- Chcesz powiedzieć, że nikt nie cierpi niedostatku? - odezwała się nagle Madlena.
- Pojęcie niedostatku jest względne, moja droga - odpowiedziała matka z lekką irytacją. - Pompidou tak się pewnego razu wyraził: „U nas wystarczy, żeby cukiernie przez trzy dni były zamknięte, a ludzie zaczynają się buntować. W takim kraju władza jest zmuszona do oględnego działania”.
- Maria Antonina też coś nadmieniła na temat ciasteczek - rzuciła dziewczyna.
- Spojrzałem na nią uważniej, mówiła z hamowaną pasją.
- Czego się ciskasz? - parsknął Daniel.
- Nie zwróciła na niego uwagi, mówiła dalej:
- Mama sądzi, że francuskie kłopoty płyną z nadmiaru bogactw. Bardzo to pocieszająca diagnoza, bo łatwiej jest zlikwidować dobrobyt niż biedę.
- Te, te, te! Siostrzyczka wsiadła na swojego konika! Kiedy rzucisz Sorbonę i pójdziesz do fabryki?
- Odczep się, błaznie jeden! Jeżeli kraj nasz jest taki zamożny, to dlaczego nie podwyższa się świadczeń socjalnych?

Dlaczego uniwersytety są dla młodzieży robotniczej niedostępnym luksusem?

- Nie może być wszystkim jednakowo dobrze - oponowała ze spokojem Klaudia. - Różnice powinny istnieć, inaczej nie byłoby bodźców do zmian na lepsze.

- Moja żona wie o tym najlepiej - dobrodusznie uśmiechnął się Edek. - Ona zarabia więcej ode mnie, więc ja mam bodziec do doskonalenia się w swoim zawodzie, żeby jej dorównać.

- Ludwikowi oczy się kleją - zawołała Wanda zaniepokojona obrotem, jaki przybrała rozmowa. - Chyba ma dość politykowania u siebie w kraju.

Zaprzeczyłem:

- Kiedy to mnie bardzo interesuje! Będę tu krótko, chciałbym wiedzieć, co ludzie myślą o tutejszym życiu.

- Jeżeli chodzi o większość - odezwała się Madlena - można to wyrazić w prostych słowach: ludzie chcą żyć lepiej, a to im nie wychodzi.

- Co znaczy „żyć lepiej”? - zapytała Klaudia. - Każdy rozumie to po swojemu. Nieprawda, że nikomu to nie wychodzi. . ,

- Właśnie że prawda. Nawet jeżeli komuś bardzo wychodzi, jak tobie, to nie zadowala się tym, co osiągnął, tylko domaga się czegoś więcej. Czy nie tak?

- Masz rację. Głodny chce się najeść, bezdomny chce mieć dach nad głową; to minimum. Żyliśmy tak podczas okupacji, bo nie było innego wyjścia. W warunkach normalnych to nie wystarcza. Gdy głód zaspokojony i ma się gdzie mieszkać, przychodzi kolej na nowe potrzeby i żądania. I chwała Bogu, że człowiek nie poprzestaje na minimum, bo inaczej naprawdę nie byłoby żadnego postępu.

Daniel już dawno chciał zabrać głos, więc mu pomogłem:

- A ty co myślisz na ten temat?

- Wedle danych najnowszej ekonomii politycznej... - zaczął.

- Czy tobie kiedykolwiek wystarcza kieszonkowe? - przerwał mu ojciec.

- Nigdy - odrzekł bez chwili wahania.

- I co wtedy robisz?

- Wtedy mój braciszek zebrze u mamusi i dostaje dodatek -

wyjaśniła Madlena.

- Owszem - potwierdził chłopak.

- Po cóż więc zaglądasz do statystyk? - zaśmiał się Edek. - Masz materiał do obserwacji i wniosków, praktyczną naukę ekonomii. Naucz się dobrze rozporządzać własnymi pieniędzmi, nie uciekając się do żebraniiny i różnych sztuczek, wtedy dopiero będziesz mógł rozprawać o państwowych tarapatkach gospodarczych. A tobie, córuchno, starcza kieszonkowych?

- Nie zawsze, ale w każdym razie nie zwracam się o dodatek.

Zrobiło się późno, oczy rzeczywiście zaczęły mi się kleić. Wanda dała sygnał do rozejścia się. Rad byłem znaleźć się w swoim pokoju.

Leżałem w łóżku i dopalałem ostatniego papierosa, kiedy rozległo się pukanie i zajrzała do mnie ciotka. Przysiadła na brzegu łóżka, upewniła się, że niczego mi nie brak, po czym nachyliła się i ucałowała mnie. Pachniała lawendą.

- Zmęczyłeś się - powiedziała. - Za dużo wrażeń jak na jeden wieczór. Czy dobrze sypiasz?

- Doskonale, zwłaszcza po podróży.

- Czy aby na pewno? Bo mogę poprosić Klaudię o proszek nasenny, ona zażywa co wieczór.

- Co wieczór? To bardzo szkodliwe.

- Ona twierdzi, że bez tego by nie zasnęła. To oczywiście głupoty, ale ja do niczego się nie mieszam.

Uśmiechnęła się do mnie, jak kiedyś mama, i wyszła przymykając cichutko drzwi.

Spałem tej nocy jak anioł.

## **Poznajemy się bliżej**

Obudził mnie bijący w oczy promień słoneczny. Po wczorajszym deszczu niebo trochę się oczyściło z chmur i ukazało kawał błękitu. „Jestem we Francji” - przypomniałem sobie i zerwałem się z łóżka.

Przez drzwi balkonowe widać cały ogród Charmierów, domek

Wandy i leżący tuż za dolną szosą słynny staw, tyle razy szkicowany przez Corotą. Z kilku stawów Ville d'Avray właśnie ten jest wymieniany we wszystkich przewodnikach dla turystów. Wanda szczególnie ceni sobie widok otwierający się z bliska na tę piękną ciekawostkę lokalną.

Chciałem wyjść na taras, ale zamek widocznie zardzewiał i klucz nie chciał się przekręcić. Wywnioskowałem, że pokój gościnny nieczęsto bywa zajęty.

Dochodziła dziewiąta. Za moimi drzwiami była cisza, jak gdybym sam jeden zamieszkiwał willę. Szybko ubrałem się i zajrzałem do kuchni. Maria krzątała się przy piecu elektrycznym, mały Pablo rozebrany do naga leżał na kocyku rozłożonym na stole pomocniczym, wyrzucał do góry pulchne nożeta i starał się uchwycić swoje stopy; choć mu się to nie udawało, uśmiechał się radośnie odsłaniając bezzębne różowe dziąsła, a zobaczywszy mnie wydał pisk podobny do śmiechu i zmrużył błyszczące czarne oczka. Był prześlizgry.

- Ile on ma miesięcy? - zapytałem. - Osiem czy dziewięć?

- Sześć i pół - odpowiedziała, również promieniując radosnym uśmiechem. - Wszyscy mówią, że jest ponad wiek duży.

- Ogromny! - potwierdziłem. - A gdzie gospodarze?

- Państwo o ósmej wyjeżdżają do pracy, Daniel jeszcze wcześniej idzie do szkoły, panienska niedawno pojechała kolejką do Paryża na wykłady.

- A moja ciotka?

- Pani starsza jest u siebie, czeka na pana ze śniadaniem. Zaglądała tu i kazała, żeby pana nie budzić.

- Już tam idę.

Podawała mi tabliczkę czekolady:

- Niech pan weźmie dla Sokratesa, żeby nie ugryzł. Jeszcze nie przyzwyczał się do pana.

- Czy pies uznaje tylko szwajcarską czekoladę? - spytałem przyjmując niebieską Milkę.

- Nie, woli gorzką francuską, ale w tej chwili takiej nie mam. Kiedy już oswoi się z panem, można będzie częstować go herbatnikami.

Ledwo wyszedłem do ogrodu, Sokrates wyjrzał z budy i powoli ruszył ku mnie. Ogon miał spuszczone, pysk podany do przodu. Szybko rozwinąłem Milkę i wyciągnąłem do niego duży kawał. Powąchał i przyjął łaskawie, widocznie poznał, że to z domowych zapasów.

Kręta ścieżka prowadziła do domu, który świecił bielą poprzez ogołoczone gałęzie zimowych drzew. Na progu ukazała się Wanda.

- To swój, Sokratesie, to swój! - zawołała ostrzegawczo widząc, że pies kroczy za mną z nieokreślonym zamiarem.

- Nie bój się, ciociu, jeszcze żaden pies mnie nie ugryzł - powiedziałem, żeby ją uspokoić.

- Nie chciałabym, żeby Sokrates był tym pierwszym.

Jak przeczuwałem, siedziba ciotki była pełna uroczych niespodzianek.

Trzon główny to duży, wysoki sześcian o powierzchni siedemdziesięciu metrów kwadratowych, jak określa moje doświadczone oko warszawiaka. Dowiaduję się, że dawniej była tu sala, w której poprzedni właściciel urządzał wielkie przyjęcia. Za sugestią Wandy przerobiono to pomieszczenie w sposób oryginalny i pomysłowy.

Olbrzymie, na całą wysokość okna wychodzą na zachodnią i południową stronę, natomiast dwie pozostałe ściany nie mają okien. Na lewej zbudowano antresolę z sypialnią, do której prowadzą fantazyjnie kręcone schody; ładna metalowa poręcz skręca w prawo do styku z poprzeczną ścianą tworząc jakby ażurowy parawan. Innej zasłony nie trzeba, bo z dołu nie widać, co się dzieje w tej wysoko zawieszonej sypialni przypominającej loggię. Jest w tej kompozycji coś z teatralnej umowności.

Na górze wszystko jest przytulne i kameralne, poczynając od małego okna wyciętego opodal łóżka, wprost nad ulubionym stawem Corota; na dole wszystko jest okazałe i łączy w ładną funkcjonalną całość jadalnię, salon i gabinet, przy czym bez użycia przegródek realizuje się to przez ustawienie mebli wedle ich przeznaczenia. Dolna część sali pełni dodatkowo rolę wystawy artystycznej: w gablotach ustawionych wzdłuż ścian są

kolekcje lalek niemal z całego świata - to bardzo dawna pasja Wandy.

- Oto gabloty przyjaźni - mówi żartobliwie. - Moi przyjaciele mają obowiązek przywozić te okazy ze swoich podróży, a często zwiedzają różne kraje egzotyczne. Poznajesz swoje dary?

Owszem, cepeliowskie laleczki, które przysyłałem przy każdej okazji, zajmują tu miejsce poczesne. Stwierdzam, że kolekcja bardzo się rozrosła i została podzielona według tematów: ludzie przy pracy, inscenizacje teatralne, świat zwierząt, obrazki rodzajowe itp. Jeden taki obrazek, umieszczony osobno wewnątrz prawdziwej latarni dorożkarskiej (dziś to rzadki zabytek), oczarował mnie swoim dowcipem.

Nocna ulica, prostytutka zaczepia pijanego przechodnia, zza rogu przygląda się jej zabiegom łobuz żigolak, a spoza latarni obserwuje całą trójkę zgorszony, ale i niezdrowo podniecony księżulo. Figurki są tak pełne wyrazu, pomysł tak zabawny, że uśmiechałem się za każdym razem oglądając ten miniaturowy teatrzyk.

Do głównego trzonu budowli przylega niska przybudówka zawierająca sieni, garderobę, kuchnię i łazienkę - wszystko to w stylu wiejskim, ozdobione mnóstwem wyrobów ludowych francuskich i obcokrajowych. Doskonały smak Wandy sprawia, że ta ludowość nie jest nużąca i dobrze sąsiaduje z supernowoczesnymi przedmiotami praktycznego użytku.

Ciotka przygotowała śniadanie w kuchni, nie w swojej salonojadalni, która nadaje się raczej na uroczyste okazje. Doceniłem jej intencję, żeby nasze pierwsze tête-à-tête wypadło mniej uroczyście.

- Opowiedz o sobie - poprosiłem zajadając chrupiące bułeczki posmarowane masłem i miodem o zapachu żywicy. - Czym się teraz zajmujesz?

- Mam posadę, jestem kierowniczką księgarni paryskiej, gdzie sprzedaje się też płyty i aparaturę muzyczną. Dziś wzięłam dzień wolny, żeby być z tobą; zazwyczaj wyjeżdżam do pracy o ósmej i wracam koło ósmej wieczorem.

- Masz samochód?

- Po co mi samochód? Nie lubię prowadzić.

- Więc zabierasz się z Klaudią?

- Proponowała mi to wiele razy, ale ja się nie zgadzam. Ona jest bardzo obowiązkowa i punktualna, nigdy się nie spóźnia do biura, musiałaby wyjeżdżać o pół godziny wcześniej, żeby mnie zawieźć do zupełnie innej dzielnicy.

- To znaczy, że jeździsz kolejką?

- Nie. Tuż za naszą bramą jest teraz przystanek taksówki zbiorowej, którą dojeżdżam do metra Saint-Cloud, stamtąd bez przesiadki jadę do stacji La Muette, to już dwa kroki od mojej księgarni. Spróbuj konfiturę truskawkową, to domowa.

- Znakomita! A czemu właściwie zaczęłaś pracować zarobkowo? Nie starcza ci środków do życia?

- Starczyłaby mi w zupełności wdowia renta wraz ze spadkiem po mężu, ale przecież zwariowałabym bez stałego zajęcia.

- A twoje rzeźby i wyroby z emalii?

- Po zgonie Paula straciłam do nich ochotę. Bardzo ciężko przeżyłam pierwsze dwa lata, wiesz... Przyjaciele obawiali się, że sobie coś zrobię; namówili mnie, żebym przyjęła tę posesję. I to mi rzeczywiście pomogło, mam tyle roboty, że nie zostaje czasu na wspomnienia...

Postawiła przede mną filiżankę cudownie pachnącej kawy, sobie przyrządziła surogat bez kofeiny.

- Czemu ty się nie żenisz? - spytała. - Już dziesięć lat jesteś wdowcem, czy nie za długo?

- Widocznie nie mam okazji.

- Szkoda. Moim synom dobrze zrobił ożenek.

- Trzeba mieć do tego odpowiednie usposobienie. Najlepiej zenić się młodo, kiedy tę decyzję podejmuje się pod wpływem impulsu, a nie rozwagi. Dla mnie już na to za późno.

- Nie wmawiaj sobie, Edek jest od ciebie dużo starszy, a popatrz, jak się trzyma. Taka jest nasza krew! My, Gerberowie, nieźle walczyliśmy z czasem.

O tej „naszej krwi” słyszałem wiele razy, brzmiało to w ustach ciotki dumnie niczym „my, Radziwiłłowie”, chociaż, dalibóg, nie wiem, czym nasz ród odznaczył się w dziejach Polski i Francji. Lubilem te śmieszności Wandy nie mniej niż jej

wielkie zalety.

Zeszliśmy przez ogród nad staw, żeby podziwiać jego zimową urodę, potem zagłębiliśmy się w las. Wanda szła równym, sprężystym krokiem.

- Jesteś zupełnie zdrowa, prawda? - spytałem.

- W moim wieku człowiek nie może być całkowicie zdrow, ale czuję się jeszcze rześko. Miewam oczywiście jakieś tam dolegliwości, na przykład lumbago, ale nic poważniejszego.

- Opowiedz mi o swoich wnukach.

- Myślę, że są udane, jak sądzisz?

- Bez wątpienia. Pierwsze wrażenie może być mylne, ale wydaje mi się, że chłopak jest nieco przemądrzały

- Owszem, racja. Ale za to bardzo zdolny! Czy c. ..z wiarę, już przerobił dwuletni program z chemii! To jego pasja. I ma szeroki wachlarz zainteresowań, od polityki poczynając i na big-beacie kończąc. W szkole ma same piątki i rokrocznie dostaje nagrody.

- Jakich ma kolegów?

- Zdaje się, żadnych. Ty wiesz, takich dobrych uczniów reszta klasy zazwyczaj nie lubi. W każdym razie nikt z rówieśników do niego nie przychodzi. On sam woli zresztą towarzystwo dorosłych i chyba dlatego sprawia wrażenie przemądrzałego.

- A co powiesz o Madlenie?

- Też jest bardzo uzdolniona, tylko w innym kierunku. Wcale się nie zdziwię, jeżeli wyrośnie na pisarkę albo na krytyka. W dzieciństwie pisała wiersze, potem przestała.

- Dobrze, że przestała, widać ma zmysł krytyczny. Jak uczyła się w latach szkolnych?

- Różnie bywało, zależnie od nastroju, niekiedy miała same piątki, potem dwójki i trójki - i wcale się tym nie przejmowała.

- Uczuciowa? Kochała się?

- Nic o tym nie wiem i rodzice chyba też nie. Jest bardzo skryta. Tego lata uciekła z domu i ukrywała się w Paryżu - ale, broń Boże, nie daj poznać, że o tym wiesz! Przeżyliśmy wtedy ciężkie dni, Edek był już gotów szukać jej przez policję, ale Klaudia do tego nie dopuściła. I miała rację, bo po tygodniu przywiózł Madlenę korepetytor, który przygotowywał ją do



egzaminów maturalnych, niejaki Maks Rouvel. Od niego dowiedzieliśmy się, że spędziła ten tydzień u swojej przyjaciółki, Matyldy.

- Jakże wytłumaczyła swoją eskapadę?

- Wcale się nie tłumaczyła, nikt jej do tego nie zmuszał.

To najlepsza metoda, dziewczyna pomału odzyskała równowagę, korepetytor znów zaczął przyjeżdżać, no i pomyślnie zdała egzaminy. Ale, między nami mówiąc, boję się z jej strony jeszcze niejednej niespodzianki.

- Pisałaś, że Filip wkrótce zostanie ojcem. Jak układa mu się życie małżeńskie?

- Bardzo dobrze. Miał, jak wiesz, mnóstwo miłostek, był młodzieńcem lekkomyślnym i wobec kobiet nieodpowiedzialnym. Bałam się, że nigdy się nieożeni, martwiłam się, bo dobiegał już czterdziestki... Ale spotkał młodą dziewczynę, która potrafiła wziąć go w ryzy i zaprowadzić do ołtarza. Bogu dzięki, i po ślubie trzyma go krótko i, co najdziwniejsze, sprawia mu to przyjemność. Oby tak dalej!

- Czym się Filip zajmuje?

- Dentystyką. Paul nabył dla niego willę pod Paryżem, w Rosny-sous-Bois, ma tam dużą klientelę i dobrze zarabia.

- Myślałem, że został artystą. Gdy wyjeżdżałem do Polski, robił bardzo interesujące rzeźby i obrazy.

- Byłam za tym, żeby studiował w Akademii Sztuk Pięknych, ojciec na to się zgadzał, ale Filip zanadto lubi dostatnie życie. „Z malarstwa można się utrzymać, jak się jest Picassem - powiedział. - Inaczej się nie opłaca”.

- Szkoda. Wydaje mi się, że miał prawdziwy talent.

- Na pewno. Może, gdyby Paul nalegał... Ale on chyba podzielał nastawienie Filipa.

Imię zmarłego małżonka przywołało zapewne smutne wspomnienie, spochmurniała i szła w milczeniu. Nagle przystanęła i spojrzała na mnie wilgotnymi oczami.

- Znałeś Paula - powiedziała z emfazą. - Był to najlepszy człowiek na świecie, najlepszy ojciec i mąż. Jestem stara i mogę się przyznać, że był to jedyny mężczyzna w moim życiu, a przecież miałam powodzenie, pamiętasz? Nikt inny mi nie był

potrzebny. Śmiesz mi, kiedy przyjaciółki pytają, jak mogłam przeżyć tyle lat z mężem bez przygód miłosnych. Po cóż mi były przygody?

Odwróciła się, otarła łzy.

- Wszystko, czego inne szukały poza małżeństwem, ja przeżywałam wspólnie z Paulem. I wiem, że on, tak samo jak ja, nie szukał wrażeń miłosnych gdzie indziej. Gdyby żył dłużej, obchodzilibyśmy wkrótce nasze złote wesele... pięćdziesięciolecie prawdziwego szczęścia i prawdziwej wzajemnej wierności...

Oparła się czołem o drzewo i rozpląkała się kryjąc twarz w dłoniach. Stałem opodal milcząc. Było mi przykro i trochę głupio, bo dokładnie wiedziałem, że idealna wierność, o której mówiła z takim wzruszającym przekonaniem, bynajmniej nie była obustronna.

Stryj Paul, wzorowy pod wieloma względami małżonek, miewał romanse z pacjentkami, co uważano powszechnie za rzecz normalną. Nie chciał tylko, żeby Wanda o tym wiedziała, i trzeba przyznać, że umiał zadbać o jej niewiedzę. Dzięki temu pozostawił jej sielankową wizję ich małżeńskiego pozycia.

Spojrzałem na płaczącą i nagle zwątpiłem: czy istotnie była na tyle naiwna, żeby w to wierzyć? Czy żadna spośród przyjaciółek nie próbowała jej uświadomić? Przecież o dowody było wcale nietrudno...

Myśl ta sprawiła mi jeszcze większą przykrość. Obraz Wandy, taki jasny, jednolity i czytelny, nagle się zaćmił, skomplikował, nic w nim już nie wydawało się pewne. Przykre uczucie minęło po chwili, ale pozostał ślad zwątpienia: czy naprawdę znam i rozumiem tę bliską memu sercu istotę?

Przypomniała mi się jeszcze jedna jej cecha, równie śmieszna, jak to chwalenie się „naszym rodem”. Jakiś przemożny imperatyw kazał jej wyolbrzymiać sukcesy naszej rodziny i bagatelizować porażki, tak jak gdyby niepowodzenia były dla nas czymś hańbiącym. W innych rodzinach zdarzały się różne przykrości, to było całkiem naturalne, ale u Gerberów tudzież u Charmierów... W jakim stopniu była świadoma, że przez to często mija się z prawdą?

- Zapomniałam chusteczki - powiedziała. - Daj mi swoją.

Otarła twarz, ujęła mnie pod rękę i ruszyliśmy w drogę powrotną. Szła powoli, krok jej zrobił się ciężki.

- Wybacz, że się rozkleiłam - mówiła zmienionym głosem. - Ostatnio rzadko miewam takie chwile, to twoja obecność obudziła we mnie wspomnienie lepszych czasów.

Znów znalazłem się w jej czarodziejskim domku. Tym razem uważniej przyglądałem się jej rzeźbom i emaliowanym talerzom na ścianach. Zwróciłem uwagę na jedną akwarelę: wąska hiszpańska uliczka, młoda kobieta oddała się lekkim krokiem, przytrzymując ręką mosiężny dzban na głowie, słoneczne promienie odbijają się od białych murów jaskrawym blaskiem, powietrze jest nasycone żarem. To wszystko, ale stoję zafascynowany, nie mogę oderwać oczu od kilku kolorowych plam wyczarowujących ten poetycki obrazek.

- Kto to malował? - pytam.

- Filip. Dwa lata temu.

- Ten dentysta? Głupiec!

Bezradnie wzrusza ramionami.

- Kiedy go zobaczę?

- W Wilię wszyscy biorą się u mnie, jak co roku. Zapalimy w kominku... Napij się porto, obiad będzie za pół godziny.

Wino przyjemnie pachnie włoskim orzechem. Zadaję pytanie, które miałem ochotę zadać na wstępie:

- Co powiesz o małżeństwie Edka, czy bardzo się kochają?

- Oczywiście! Są doskonale dobraną parą. Klaudia jest kobietą jego życia, Edek nie zwraca uwagi na inne.

- A ona nie ma wielbicieli?

- O, mnóstwo! Przecież ma szalony wdzięk. Ale to wszystko adoracja platoniczna. Klaudia pochodzi z bardzo solidnej rodziny katolickiej, wychowano ją wedle surowych reguł moralnych.

- Jak długo mieszka we Francji?

- Siedemnaście lat.

- To chyba miała już czas, żeby się unowocześnić?

- Nie pod tym względem. Czym skorupka nasiąkła za młodu...  
A ty jakie odniosłeś wrażenie?

- Jak najlepsze. Gdzie Edek ją spotkał?

- W Bolonii, pracował tam w szpitalu po ukończeniu akademii medycznej, Klaudia zaś studiowała fizykę, była już na czwartym roku. Przypadli sobie do gustu, „chodzili” ze sobą, jak to się mówi... („Mimo surowych reguł moralnych” - odnotowałem w myśli.) Jej rodzice są bardzo bogaci, o wiele bogatsi, niż myśmy byli wtedy z Paulem. Kiedy Klaudia zaszła w ciążę, musieli zgodzić się na jej ślub z cudzoziemcem...

- Bez tragedii?

- Chyba bez. Edek był lekarzem o solidnej reputacji, z zapewnioną przyszłością, nieźle zarabiał, pochodził z szanowanej rodziny... Pamiętam, jak przywiózł Klaudię, żebyśmy ją poznali. Ciebie wtedy nie było, spędzałeś urlop w Nicei. Prawdę mówiąc, niewiele już od nas zależało, dziecko było w drodze, ale bez względu na sytuację przymusową od razu polubiliśmy przyszłą synową. Trudno przecież nie lubić Klaudii, prawda?

- Rzeczywiście trudno, jest urocza.

- W okresie ciąży Klaudia przerwała studia i na uniwersytet boloński już nie wróciła. Jesienią 1956 roku młodzi przenieśli się z półroczną córeczką do Francji. Klaudia poszła na wydział fizyki elektronowej w Paryżu i ukończyła go z wyróżnieniem. Jest niezwykle utalentowana w tej dziedzinie, ma precyzyjny umysł i ogromną intuicję naukową.

- To się wyczuwa.

- Zrobiła karierę w wielkiej spółce amerykańsko-francuskiej, bardzo ją cenia, jest obecnie szefem planowania produkcji. Wiesz, jakie to stanowisko? Jaka odpowiedzialność? Ma bardzo wysoką gażę i udziały w dochodach, otrzymuje też duże gratyfikacje. Od wielu już lat nie korzysta z pomocy rodziców, którzy wykazali się hojnością w pierwszym okresie po jej ślubie.

- Jest, jak widzę, ambitna.

- Owszem, za siebie i za Edka. Ten nie ma duszy wyczynowca, jest na to za skromny, nie docenia swych zdolności. Gdyby nie żona, nie osiągnęłyby pozycji, jaką ma teraz. Ona mu dużo, dużo pomogła.

- Widzę, kochanie, że to małżeństwo jest naprawdę wzorowe. Masz pociechę ze swoich żonatych synów, a ich żony mają pociechę z takiej nietypowej teściowej.

- Trzeba umieć ułożyć sobie z nimi odpowiednie stosunki. Nie myśl, że to takie proste... Niejednego musiałam się nauczyć, niejedno w sobie poskromić.

- Pamiętam, że masz dobry charakter, jesteś łatwa we współżyciu.

- Cóż ty możesz o tym wiedzieć? Co innego chować synów i bratanka, a zupełnie co innego - ułożyć stosunki z dorosłą kobietą, która wchodzi do naszej rodziny. Sztuka polega na tym, żeby nie tracąc synowskiego przywiązania uniknąć wzbudzania zazdrości u synowej. Wierzaj mi, nie zawsze się to udaje... Ale, ale! Pośpieszmy się, obiad pewnie gotów.

Istotnie, zebrała się już cała rodzina prócz Klaudii, która spędza przerwę obiadową w Paryżu. W kuchni przy małym stole jadł Miguel, trzymając na kolanach synka. Maria zręcznie uwijała się obsługując wszystkich. Obiad był znakomity.

- Chciałbym położyć po mieście - powiedziałem wstając od stołu. - Czy wybrałabyś się ze mną, Madleno?

- Z miłą chęcią! Uwielbiam Ville d'Avray, znam wszystkie jego zakątki.

- Czyżby? Sprawdźmy to. W swoim czasie byłem pod tym względem bezkonkurencyjny.

\*\*\*

To pierwsze moje wyjście na miasto. Rozglądałam się szukając krajobrazu lat młodości.

Położone na zboczach wzgórz Ville d'Avray latem dosłownie tonie w zieleni ogrodów, winnic, lasów. Zaledwie kilkanaście kilometrów dzieli je od Wersalu, z którym zawsze było związane.

Dwadzieścia lat temu poznałem tu emerytowanego pracownika merostwa, który z pasją studiował dzieje rodzimego miasteczka. W jego domu oglądałem stare sztychy, ręcznie sporządzone plany, przepisane fragmenty listów, gdzie wspomina się o ciekawostkach dotyczących słynnych

mieszkańców tej miejscowości. Taką drogą ustalono, na przykład, że Szopen często bawił w domu swego przyjaciela, konsula saskiego Albrechta, i w roku 1845 trzymał do chrztu jego córeczkę.

Wielkie imiona opromieniają swym blaskiem Ville d'Avray, zwłaszcza poczynając od wieku XIX, kiedy stało się ono ulubionym miejscem schronienia dla malarzy, muzyków i poetów. Pamięć ich celebrytów się i uwiecznia w pomnikach i nazwach ulic, które przypominają nam o Mussecie, Szopenie, Gambecie, Balzaku i innych, przede wszystkim zaś o Corocie, niejako patronie całego miasta.

Myślę o tym wszystkim w błyskawicznym skrócie, idąc obok Madleny. Powietrze jest niemal wiosenne, od czasu do czasu zza cienkich chmur wygląda słońce. Dziewczyna ma na sobie niebieskie dżinsy, zgodnie z modą polatane i wystrzępione na dole, jej wiatrówka jest rozchylona, głowa nie osłonięta, długie brązowe włosy swobodnie spadają na plecy.

- Wstąpimy na drinka? - pytam, kiedy mijamy zabytkowy zajazd Cabassud, który zachował dawne wnętrza i stajnię przemienioną w garaż. - Tu, jak pamiętam, podają dobre trunki.

- Niestety, zakład chwilowo nieczynny.

- Szkoda. Stąd otwiera się cudowny widok na staw, czego wszyscy właścicielowi zazdroszczą.

- Wcale nie lepszy niż z sypialni babci.

- To prawda.

Na ulicy Ronce przystaję, żeby spojrzeć na dom, w którym kiedyś mieszkał mistrz Corot. Utrzymany z należytą czcią, nic się nie zmienił i chyba nadal ostanie się kataklizmom towarzyszącym modernizacji miasta. Zresztą kto wie? Przecież w roku 1967 przy rozbudowie nowej dzielnicy mieszkaniowej nie uszanowano zamku Ronce, który służył za miejsce pobytu królowi ze świtą podczas polowań w okolicznych lasach.

Schodzimy w dół ulicą Wersalską, siadamy na ławeczce przed kościołem.

- Czy znasz historię tutejszego dzwonu? - pytam.

- Nie.

- Jest dosyć zabawna. Kościół nie ucierpiał podczas Rewolucji, natomiast w sąsiedniej komunie Marnes obywatele stracili w roku 1793 swoją świątynię i czekali na jej odbudowę aż sześćdziesiąt pięć lat. W międzyczasie tutejsza parafia wystarała się o przejęcie ocalałego dzwonu z Marnes. Odbyły się uroczyste chrzciny i zawieszono go na nowej dzwonnicy.

- Był w dobrym stanie?

- Nieco uszkodzony, ale to dało się naprawić. Chrztu dokonał ksiądz parafialny, który sporządził dokładny opis ceremonii. Tak mi się ten opis spodobał, że zapamiętałem go od deski do deski.

- To wyrecytuj!

- Proszę.

„Roku 1848 w niedzielę 30 kwietnia niżej podpisany ochrzcił i uświęcił dzwon pochodzący z dawnego kościoła w Marnes, a to w tym celu, by użyć go do czynności liturgicznych.

Dzwon ten będąc pęknięty został na nowo stopiony przez mistrza Hildebranda z Paryża, co się odbyło w obecności mojej oraz czterech członków rady miejskiej i kosztowało franków 35. Uroczystość odbyła się z najwyższym namaszczeniem, w asyście władz i całej rady miejskiej, a także dużej ilości osób z parafii i okolic. Do dawnego dzwonu Denisa dodaliśmy imię Maria. Waga jego wynosi kilogramów 348”.

- Jakie to śliczne! - zawołała Madlena. - Skąd ty to znasz?

- Interesowałem się historią miasta, miałem dostęp do ciekawych materiałów.

Weszliśmy do kościoła. Jego wnętrza zdobią kopie rzeźb i obrazów słynnych artystów. Zatrzymuję się przed „Dzieciątkiem Jezus” Murilla. Madlena, która wiele razy oglądała to wszystko, trochę się nudzi.

- Obejrźmy Corota - proponuje.

Płótna tutejsze nie należą do jego arcydzieł, ale zawsze przyjemnie, że to nie kopie. Wychodzimy rzuciwszy garść bilonu do srebrnej misy.

Niemal każda ulica budzi we mnie wspomnienia.

- Lubisz Musseta? - pytam.

- Toleruję.

Wskazuję na położony opodal ogród, w którym stoi okryty drzewami gmach.

- Ten dom wynajmowała ówczesna kochanka Musseta, pani Allain Deprés. Gościła tu swego poetę, bardzo lekkomyślnego; często urywał się do Paryża i znikał na całe tygodnie. Wracał pełen skruchy, a ona wszystko mu przebaczała.

- Głupia gęś.

- Kochała go widocznie. Pisała do przyjaciółki: „Dom jest przytulny, ogród duży, mnóstwo kwiatów. Czuję się tu cudownie... On pasjonuje się muzyką”. Chcesz obejrzeć z bliska ten azyl miłości?

- Dziękuję, nie lubię sielanek.

- Jaką poezję lubisz?

- Wolę prozę. Poezja dla mnie albo w ogóle się nie liczy, albo staje się czymś zanadto osobistym.

- Więc jaka się liczy?

- Tylko taka, która pozostaje w pamięci jak dokuczliwa zadra.

- Dlaczego zadra, Madleno? Poezja odwołuje się nie tylko do bólu.

- Inna mnie nie wzrusza i już. Mam się tłumaczyć?

- Nie musisz. Zapytałam, bo chcę zrozumieć.

- I tak nie będę mogła ci tego wytłumaczyć. W każdym razie nie teraz, za mało się znamy.

- Jasne. Słyszałem, że w dzieciństwie pisałaś wiersze?

- Owszem, to było bardzo śmieszne. Pewnego razu, kiedy mama za jakąś przewinę pozbawiła mnie spaceru, napisałam wiersz z taką zwrotką: „Niedobra, kiedy będziesz mi matką?” Ledwo umiałam pisać, chowałam swoje bazgroły pod szafą, całkowicie pewna, że nikt ich nie odnajdzie. A przecież robiono świąteczne porządki, przesuвано meble...

- Niestety, jest taki zwyczaj.

- Właśnie. Moje wiersze mama zebrała i odczytała w salonie, kiedy mieliśmy gości. Pamiętam, najwięcej ubawiła wszystkich ta zwrotka o niedobrej matce. Śmiałam się wraz z innymi, ale chciało mi się płakać. Ojciec zaprowadził mnie do ogrodu - ponoć po to, by pokazać pisklęta sikorki... Boże, jak to było dawno! Z dziesięć lat temu albo i więcej.



Zbliżamy się do parku Saint-Cloud. Patrzenie na strzelistą sylwetkę Madleny sprawia mi dużą przyjemność. Takie długonogie, wiotkie dziewczęta o małych sterczących piersiach ogląda się w filmach, nie bardzo wierząc, że istnieją naprawdę. Wiem od Wandy, że kiedy Filipa naszła ochota, by ulepić z gliny akt „Dziewczyna z książką”, na modelkę wybrał Madlenę. Wanda wątpiła, żeby wnuczka przystała na taką propozycję, ale ta zgodziła się bez wahania:

- Co mi to szkodzi? Będę czytała, a on niech robi, co chce.

Akt wypadł znakomicie, oglądałem go później w ogródku Filipa.

- Mówisz, że lubisz prozę - powracam do urwanego tematu. - Klasykę czy współczesną?

- Współczesną. Amerykanie i Anglicy mają lepszą od naszej. Lubię na przykład Pintera, ale wolę go czytać niż oglądać w teatrze lub na ekranie. Robią z niego prymitywnego brutala, amatora okrucieństw psychicznych - cóż w tym ciekawego?

- A co w ogóle ciekawego w zadawaniu cierpień?

- No, to rzecz sporna. Ciekawy może być konflikt wewnętrzny dręczącego... czy ja wiem?

- Wyczytałaś to gdzieś albo wypatrzyłaś w filmie. Przyznaj się!

Kiwa głową.

- Zgadłeś. Tak naprawdę to nie lubię opisów cierpienia, zwłaszcza naturalistycznych, są wstrętne. Ostatnio jest tego wszędzie pełno, człowiek przestaje reagować na grozę, tak samo jak na porno. Wtajemniczono nas dokładnie w technologię seksu, już lepiej nie można, a przy pierwszym własnym doświadczeniu okazuje się, że to na nic...

Urywa. Ciekaw jestem: jakie ona może mieć doświadczenie?

- Technologia nie jest ważna, prawda? - podejmuje po chwili.

- W każdym razie nie jest najważniejsza. Jeżeli miłość istnieje...

- Nie jesteś tego pewna?

- Niezupełnie. U nas tym słowem wycierają sobie gębę przy byle okazji, ale nie wiadomo, co mają na myśli. „Francja - kraina miłości”... czysty banał! Może kiedyś, dawniej...

- Jesteś, jak widzę, konserwatystką?

Roześmiała się wesoło.

- Powiedz to mojej mamusi, to ją zdrowo ubawisz!

- Tak, słyszałem wczoraj, jak dzielnie z nią dyskutowałaś. Szczerze mówiąc, bardzo mi zaimponowałaś. Obracasz się w kręgu lewicowej młodzieży uniwersyteckiej?

- Trochę jest u nas zbuntowanych, podobają mi się Jeszcze nie zaprzyjaźniłam się z nimi na dobre, dopiero przyglądamy się sobie. Większość to paryżanie, po zajęciach chodzą razem do kina, odwiedzają się. A ja codziennie spędzam prawie trzy godziny w pociągu i w metrze. Żeby nie marnować czasu, czytam, nauczyłam się nawet czytać w tłoku, na stojąco.

- Ja też tak robiłem.

- Pomyśleć tylko: kiedy byłeś studentem i mieszkałeś tu, mnie jeszcze na świecie nie było!

- Pewnie! Jestem już stary.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- No nie, jesteś jak Filip, to jeszcze nie starość. Czy paliłeś wtedy marihuanę?

- Zdarzyło mi się parę razy. Wątpliwa to przyjemność, potem człowiek ma okropne samopoczucie.

- Nic podobnego. Ja też paliłam z kolegami, jak byłam jeszcze w liceum. Jakież to cudowne przeżycie! Człowiek zapomina o wszystkim na świecie, czuje się straszliwie szczęśliwy i myśli, że tak będzie już zawsze. Niestety, to szczęście ulatnia się i trzeba powtarzać dawkę. Marihuanę trudno dostać i jest droga. Zadowalaliśmy się heroiną.

- O nią jeszcze trudniej. Skąd ją braliście?

- Jeden z kolegów, syn aptekarza, umiał podrabiać recepty niżkowe. Czemu się dziwisz? Uczniowie często urządzają się w taki sposób. Wydawałam na to kupę forsy, całe kieszonkowe.

- I długo to trwało?

- Kilka tygodni. I to akurat przed maturą! Sypnął nas i Daniel...

- Skąd wiesz?

- To zawołany kapuś, jest w szkole znieawidzony.

- Madleno, takich podejrzeń nie rzuca się bez podstaw.

- Jakie podejrzania, wszyscy o tym wiedzą! - wykrzyknęła z

nagłą pasją. - Mój braciszek to prymus i skarżypyta, co może być obrzydliwszego? Nie cierpią go w szkole, nie ma ani jednego przyjaciela!

- Czy rodzice o tym wiedzą?

- Być może. Co do mamy, zawsze znajdzie usprawiedliwienie dla swego synka. Zresztą co mnie to obchodzi...

Urwała i dopiero po dłuższej chwili podjęła:

- No, była granda. Wzięto mnie pod kuratelę domową, nie dawano do rąk pieniędzy, nie pozwalano na odwiedzanie koleżanek. Buntowałam się, nie chciałam się uczyć, o mały włos nie zawałam egzaminów maturalnych.

- Kto cię leczył?

- Tata. Gdy trochę oprzytomniałam, zaproszono korepetytora. Okazał się fajny, wszystko rozumiał, bo sam jeszcze młody, nie trzeba było przed nim udawać. Z jego pomocą jakoś zrobiłam maturę.

- Ile on ma lat?

- Dwadzieścia osiem, ale wygląda młodziej, jest wysportowany. Bardzo dojrzały intelektualnie, o wiele ponad swój wiek. Ileż on umie! Interesuje się wszystkim, ma umysł otwarty i duszę buntownika...

- Co to znaczy?

- Nienawidzi tych naszych konwenansów, nie cierpi obłudy, nie godzi się z nierównością społeczną...

- Komunista?

- Nie, jeszcze bardziej na lewo.

Korci mnie, żeby zapytać, jak spędziła tydzień w Paryżu, gdy uciekła z domu, i jak ten Maks skłonił ją do powrotu. Pamiętam jednak o dyskrecji, jaką przyrzekłem Wandzie.

- Teraz już nie bawisz się w narkotyki?

- Nie mam czasu.

- Studiujesz z ochotą?

- Dosyć. Myślę, że im dalej, tym będzie ciekawiej. Opowiedz mi coś jeszcze. Tyle lat mieszkam w Ville d'Avray, a dopiero od ciebie dowiaduję się tylu rzeczy o naszym mieście.

- Popatrz na ten gmach koło parkowego muru. Wiesz, co to?

- Jakaś niedzisiejsza budowla, to widać.

- Ma co najmniej dwieście lat. W czasach Musseta ten dom był własnością gwiazdy Komedii Francuskiej, Augustyny Brohan. Nasz poeta należał oczywiście do jej wielbicieli. Kiedy wyjeżdżała na jakieś gościnne występy, spłodził wierszyk:

Żegnaj, Brohanko! Zwróć nam oczy twoje,  
Takie śliczne w chwilach radości,  
Takie słodkie w chwilach zadumy...

- Marmolada. I co dalej?

- W trzydzieści lat później dom Brohanki nabyła kurtyzana w wielkim stylu, kochanka polskiego księcia Lubomirskiego, córka chłopska Luiza Delabignes, która kazała siebie nazywać Emilią Luizą Valtesse de la Bigne. Kochała się nie tylko w tytułach, ale też w dobrych obrazach i rzeczywiście знаła się na malarstwie. Skupowała dzieła nie uznawanych mistrzów, później zrobiła na tym majątek.

- Bardzo lubisz Ville d'Avray?

- Bardzo. Było mi tu dobrze i, co zdarza się rzadko, zdawałem sobie z tego sprawę.

- Przyjaźniłeś się z Edkiem?

- Owszem, więcej niż z Filipem. Poza tym bardzo lubiłem Wandę.

- I ja ją lubię, chociaż bywa okropnie śmieszna. Taka staroświecka, wiesz. Myślę, że niewiele miała doświadczenia przy dziadku Paulu, straszliwie była w nim zakochana.

- A to źle?

- Oczywiście, że źle. Świata poza nim nie widziała!

- Za to z nim zobaczyła kawał świata. Podróżowali niemal po całym globie, poznali nawet, jak mi się zdaje, jakieś plemiona murzyńskie.

- Oby nie ludożerców!

- Tak daleko się nie posunęli. Czy ty często bywasz w Paryżu?

- Pewnie! Przecież jeżdżę na wykłady.

- Ale poza tym? Czy jeździsz do kina, do teatru, na jakieś odczyty?

- Rzadko, bo mama nie pozwala. Nie ma zaufania do moich

kolegów i koleżanek, a sama z ojcem prawie nigdy nie spędza wolnych wieczorów w Paryżu. Wystarcza im telewizja i radio.

Nagle przystaje, cała rozpromieniona:

- Wiesz, trzy tygodnie temu zdarzyła mi się w Paryżu przepiękna przygoda! Urwałam się z Matyldą (to koleżanka) z dwugodzinnego wykładu, pojechałyśmy do jej kuzynki na imieniny. Kuzynka mieszka na bulwarze Courcelles, tuż przy parku Monceau. I wyobraź sobie: akurat trafiłyśmy na łapankę z psami policyjnymi!

- Łapano zbrodniarza?

- Lepiej! Zabłąkaną wilczycę.

- Uciekła z zoo?

- Nie, mieszkała z ludźmi i uciekła od nich. Posłuchaj, to śliczna historia. Ida (tak się wabi) była kupiona w Czechosłowacji jako małe szczenię. Ale najpierw opowiem o łapance. Warto było na to popatrzeć! Park Monceau absolutnie wyludniony, zagrodzony ze wszystkich stron, i w środku pies. Bo Ida wygląda jak niemiecki owczarek, tylko że prawie rudy, z bardzo puszystym ogonem, jasno- żółtymi ślepiami i zadartym nosem.

- Nie bałaś się?

- Nie wiedziałam, że należy się bać. Gapiłam się wraz /.  
tłumem, jak treserzy z psami policyjnymi próbowali ją podejść, jak wabili kielbasą, a ona od nich uciekała. Potem -puścili ze smyczy te psy, a ona raz dwa pogryzła je tak, że skowycząc uciekły, całe pokrwawione. Niektórzy zaczęli krzyczeć, że to pies wściekły, trzeba go zabić, ale inni, i my naturalnie też, ujmowali się, że wściekły nie tak wygląda, że to zdrowa psina. Na szczęście, policjanci chcieli ją wziąć żywcem.

- Udało się?

- Po ciężkiej walce. Strzaskała trzy baty, zraniła tresera. Nie szczekała, nie wyła, tylko wydawała jakiś charkot niepodobny do psiego warczenia. W końcu znalazł się spryciarz, który złapał ją na lasso. Wsadzili Idę do klatki, zawieźli do weterynarza i tam się wyjaśniło, że to wilczyca. Miała na sobie obrozę z adresem i telefonem właściciela, który był bardzo szczęśliwy, że ją odnalazł.

- Czy długo wagarowała?

- Całe dwa miesiące! Upatrzyła sobie park Monceau, spała w krzakach lub pod ławką, żywiła się... strach powiedzieć... kotami! Biednymi kotami, które wychodziły do parku, żeby się ogrzać w słońcu. Widocznie smakowały Jej, bo ani myślała o powrocie do domu.

Opowiadając z przejęciem o tej przygodzie, Madlena wyglądała bardzo dziecinnie. Z rozbawieniem przypomniałem sobie, jak niedługo przed tym rozprawiła o doświadczeniach miłosnych.

- Dokąd teraz pójdziemy? - zapytała.

- Może na dworzec? Ciekaw jestem, czy bardzo się zmienił od moich czasów.

Okazało się, że nie zmienił się wcale: nadal jest landarowaty, nadal miejsce kasjera świeci pustką, bo ten zjawia się tuż przed nadejściem pociągu. Wychodzimy na peron.

- Wolę naszą kolejkę od metra - mówi Madlena. - Ładne widoki, nie trzęsie, nie pędzi się na wariata.

Na przeciwległy peron wjeżdża pociąg z Paryża: elektryczna lokomotywa świeżo pomalowana, ale wagony zużyte, wyblakłe, starego typu, pewnie te same, którymi jeździłem przed laty. Serce omiata mi fala ciepła, jak gdybym zobaczył przyjaciela młodości. Dzwonek, pociąg rusza dalej zostawiając na peronie gromadkę pasażerów, którzy kierują się do wiaduktu nad torami.

Madlena patrzy na nich, nagle zrywa się i biegnie w stronę wiaduktu. Czy zobaczyła kogoś znajomego? Widzę wysoką sylwetkę młodego mężczyzny w zamszowej kurtce, który wyprzedził resztę i wstępuje na schody. Ktoś j z tyłu woła go, młodzieniec ogląda się. Madlena zatrzymuje się, wraca do mnie zażenowana:

- Wydało mi się... Przepraszam.

I może po to, żeby ukryć zmieszanie, dodaje:

- Opowiedz jeszcze coś, lubię twoje historyjki.

- Nie znudziło ci się jeszcze? Usiądźmy i postarajmy się wyobrazić sobie, jak wyglądało nasze miasto, kiedy nie było kolei, a między Paryżem i Wersalem kursowały dyliżanse i

kabriolety.

- Na pewno było dużo ładniej niż dziś.

- Oczywiście. Dyliżanse miały imiona, Elegantka i Paryżanka, to już coś mówi o klienteli. Parokonne ekwipaże; na dziewięć osób nazywano Nadzieją. Poza tym ludzie bogaci jeździli własnymi powozami.

- Czy długo się jechało do nas z Paryża?

- Ze dwie godziny, ale jakież to była piękna wycieczka! Było tu więcej winnic, ogrodów i lasów, natomiast nie widziało się domów powyżej piętrowych.

- Musiało to ślicznie wyglądać: panie w długich sukniach, panowie ubrani barwnie, jak w filmach kostiumowych...

- Zamieniłabyś dzinsy na suknię z ogonem?

- Przenigdy! Wolę chodzić w spodniach i jeździć pociągiem.

Zerwał się wiatr, Madlena zapina wiatrówkę pod szyję.

- Wracamy - mówię. - Jesteś za lekko ubrana.

Wspinamy się inną drogą, mijamy pomniczek Corota.

W kamieniu wyryto płaskorzeźbę, podobiznę artysty, niżej sączy się strumień wody wydobywający się z lwiej paszczy. U podnóża tego skromnego źródelka leżą świeżo ścięte kwiaty.

- Widzisz, jak u nas czczą Corota - mówi z zadowoleniem dziewczyna.

- Przypomina mi się, że Corot ściągnął tu Moneta, który przeżywał okres biedy, nie uznawany przez krytyków i wielkich mecenasów. Spędził w Ville d'Avray całe lato wraz z przyjaciółką, malując swoje „Kobiety w ogrodzie”. Lubisz ten obraz?

- Lubiałabym, gdyby nie był tak opatrzony.

- Mnie to nie przeszkadza... Moneta nie stać było wtedy na opłacanie modelek, więc przyjaciółka pozwała mu przy malowaniu wszystkich postaci, zmieniając za każdym razem strój i pozę.

- Zabawne!

- Znacznie później malarz zemścił się na tych, którzy długo odmawiali mu uznania i skazywali na nędzę. Będąc już u szczytu sławy, wydusił aż dwieście tysięcy franków od rządu francuskiego, który nabył „Kobiety w ogrodzie” dla Luwru.

Zbliżamy się do domu drogą nad stawem. Madlena, zarumieniona i nieco zdyszana, oświadcza:

- To była ładna przechadzka. Cieszę się, że przyjechałeś. Nie wiem dlaczego, ale z tobą łatwiej mi się rozmawia niż z rodziną.

Jestem wzruszony, staram się to ukryć.

- Popatrz, Wanda już czeka na nas - mówię.

Ciotka stoi w okienku swojej sypialni i kiwa do nas ręką.

- Prędej! - krzyczy. - Podwieczorek na stole.

Mocuję się z furtką, która się zacięła.

- Uważaj - cicho mówi Madlena - nie wygadaj się przed babcią o moich narkotykach. Ona myśli, że chorowałam na zatruciu po lodach.

- Dlaczego nie powiedziałaś jej prawdy?

- Czy ona potrafiłaby coś takiego zrozumieć? W jej wieku!

A więc powierzono mi jeszcze jedną tajemnicę tego domu.

\*\*\*

Nazajutrz, w ostatnią przedświąteczną sobotę, cała rodzina ma dzień wolny od zajęć. Klaudia odbywa naradę z Wandą na temat wigilijnej wieszki, Madlena wybiera się do Paryża po zakupy brakujących upominków, Daniel ma jakieś tajemnicze sprawy na mieście. Edek, poczuwając się do obowiązków gospodarza, zaprasza mnie do obejrzenia jego gabinetu rentgenologicznego znajdującego się poza Ville d'Avray.

Chętnie się zgadzam. Wsiadamy do jego forda i mkniemy szosą wersalską.

- Dlaczego otworzyłeś gabinet tak daleko od domu? - pytam.

- Czy na miejscu nie znalazłeś odpowiedniego pomieszczenia?

- Pomieszczenie by się znalazło, ale tu już zapuścił korzenie jeden rentgenolog i tego starczało na potrzeby lokalne. Poza tym tata nie chciał, żebym pracował na tym samym terenie, co on.

- Nie obawiał się chyba konkurencji?

- Raczej posądzenia o stronniczość, gdyby kierował swoich chorych do mnie, a nie do tutejszego kolegi. Znalazł dla mnie lokal na gabinet w osiedlu, które dopiero się rozwijało. Kwadrans jazdy samochodem od domu.



- Jesteś zadowolony?

- Nie chwaląc się mogę powiedzieć, że w ciągu dziesięciu lat zdobyłem sobie okoliczną klientelę, nie wyłączając współziomków, którzy wolą przebywać te dwadzieścia kilometrów, niż zwracać się do kogoś innego.

- Gratuluję!

- Mam wzięcie przede wszystkim dlatego, że posiadam dyplom specjalistyczny. Po ukończeniu akademii specjalizowałem się jeszcze trzy lata w rentgenologii i jednocześnie pracowałem w szpitalu miejskim.

- Byłeś już żonaty?

- Owszem, byłem żonaty, nawet mieliśmy już Madlenę. To dzięki Klaudii mogłem pracować w szpitalu bez wynagrodzenia. Ona wtedy kończyła studia na wydziale fizyki elektronowej i była tam zatrudniona jako najzdolniejsza studentka. Poza tym pomagali nam jej rodzice i moi.

- Wanda mówiła, że byli znacznie bogatsi.

- Tak, i dlatego ich pomoc była znaczniejsza. Dzięki temu mogłem uzyskać dyplom doktora rentgenologii, a to mnie postawiło w korzystnej sytuacji wobec kolegów.

- Słowem, żeniąc się z Klaudią, wygrałeś jakby los na loterii. I śliczna, i mądra, i doskonała żona i matka...

- Truizmy. Któż o tym nie wie? - mówi nie bez sarkazmu.

Zmieniam temat.

- Dobrze pamiętam gabinet stryja, będę mógł porównać go z twoim.

- Nawet nie ma co porównywać! W ciągu ostatniego dwudziestolecia medycyna łącznie z jej techniczną aparaturą zrobiła olbrzymi krok naprzód. Ojciec będąc internistą leczył tak zawały serca, jak nieżyt żołądka czy łuszczycę, a przy tym sam robił zdjęcia rentgenowskie.

- Owszem, prześwietlał mnie, kiedy chorowałem na zapalenie płuc.

- A dzisiaj taka kumulacja funkcji byłaby nie do pomyślenia. Podobnie jak w innych dziedzinach wiedzy, nastąpiła specjalizacja i w medycynie. Ja, na przykład, mam formalne prawo do wypisywania recept, ale prawo obyczajowe mi tego

zabrania.

- Skąd ta rozbieżność?

- Ma ona pewne podstawy. Przy obecnym stanie nauki lekarskiej niepodobna łączyć dwóch takich specjalności, jak interna i rentgen, to by mogło prowadzić jedynie do dyletantyzmu w obu dziedzinach. Toteż moje funkcje kończą się na ustaleniu wyników prześwietleń.

- Nie możesz leczyć?

- Nie powinienem nawet sugerować rodzaju kuracji, to byłoby nieetyczne wobec kolegi, który skierował swego chorego do mnie, a nie do mojego konkurenta.

- To względy czysto handlowe.

- Cóż z tego? Medycyna w znacznej mierze opiera się na względach handlowych. U was pewnie jest inaczej?

Zamierzam obszerniej wyłożyć mu zasady i praktykę naszego leczenia, ale akurat w tej chwili zza zakrętu wyskakuje bez żadnego sygnału miniaturowe auto, ociera się o wóz Edka zostawiając na jego boku głęboką rysę i hamuje ze straszliwym jazgotem. Zza szyby wychyla się czerwona twarz kierowcy, następuje soczysta, acz krótka wymiana zdań, po czym jedziemy dalej nie wyciągając żadnych wniosków praktycznych.

- Skurwysyn! - żołądkuje się Edek. - Skubaniec! Jechał z niedozwoloną szybkością.

- Odnotowałeś jego numer?

- Po co? Trzeba byłoby szukać świadków, jechać z nim na posterunek... Nie warto, sam naprawię uszkodzenie.

Ten mały incydent widocznie zepsuł mu humor, resztę drogi odbywamy w milczeniu.

Wysiadamy przy wjeździe do sąsiedniego miasteczka przed schludną dwupiętrową kamieniczką. Wejście zdobi dostojna czarno-złota tablica: „Doktor Edward Charmier. Gabinet rentgenologiczny”.

- Oto czego się dorobiłem - mówi żartobliwie, ale i z satysfakcją. - Jeżeli potomność zapyta, po co żyłem... Zresztą to nikogo nie będzie obchodzić.

Gabinet mieści się na parterze. Hall pełni funkcje poczekalni, za barierką siedzi sekretarka zaopatrzona w telefon i

segregatory.

- Mój kuzyn z Warszawy - przedstawił mnie Edek. - Czy są jakieś zgłoszenia?

- Na razie nie było, panie doktorze. Do której mam dziś dyżurować?

- Do przerwy obiadowej, potem pani przełączy telefon na moje mieszkanie.

Prowadzi mnie do głównej sali. Jest duża, widna, biało-szklano-niklowa, z ruchomym stołem zdalnie kierowanym, tak że można nadawać pacjentowi potrzebną do zdjęcia pozycję. Lekarz nie musi zbliżać się do stołu, kieruje prześwietleniem i zdjęciami nie wychodząc ze swojej szczelnie zamykanej kabiny z ołowianego szkła, całkowicie zabezpieczającej go przed działaniem promieni rentgenowskich.

Tłumacząc mi to wszystko, Edek odzyskuje dobry humor i daje upust zrozumiałej dumie.

- Spójrz - mówi wskazując na telewizor umieszczony w kabinie. - Na tym ekranie śledzę cały przebieg badania, oglądam z maksymalną precyzją wnętrze pacjenta, daję mu wskazówki przez megafon i automatycznie reguluję kamerę.

- Doskonale urządzenie!

- Dalsze procesy też są zautomatyzowane. Klisza spada na taśmę, która wynosi ją do ciemni, a po wywołaniu inna taśma wyrzuca zdjęcie do przyległego pokoju.

Prowadzi mnie do pomieszczenia za salą i pokazuje otwór, przez który spadają wywołane klisze. Wzdłuż ścian są ustawione regały z szufladkami.

- Tu przeglądam mokre jeszcze zdjęcie i wypełniam kartkę z diagnozą. To jedyna część operacji wykonywana przeze mnie ręcznie.

- Jaką masz gwarancję, że nie zajdzie pomyłka przy rejestrowaniu klisz?

- Pomyłka jest wykluczona. Sekretarka podaje mi do każdego zdjęcia kliszę z utrwalonym już nazwiskiem i numerem rejestracyjnym chorego oraz z datą zabiegu.

- W tych szufladach pewnie są zdjęcia?

- Nie. Wykorzystanych klisz wcale nie przechowujemy, tylko

co pewien czas sprzedajemy jako surowiec. Szuflady zawierają kartki z personaliami klientów i diagnozą schorzenia. To moje archiwum, w razie potrzeby zawsze mogę dać potrzebną informację.

Przyznaję w duchu, że duma Edka jest całkiem uzasadniona. Wzorowo zorganizował swój warsztat, sumiennie i racjonalnie.

Pokazuje mi jeszcze pokoik, w którym oparty o ścianę stoi masywny stół zabiegowy.

- To z gabinetu ojca - mówi'.

- Używasz go czasem?

- Nie da rady, jest przestarzały i nie pasuje do mojej aparatury. Trzymam go jako pamiątkę w pewnym sensie muzealną. Gdybym chciał go sprzedać, musiałbym zawieźć grat do jakiejś zabitej deskami mieściny.

- A przecież, o ile pamiętam, ojciec był z niego bardzo zadowolony?

- Bo wtedy był on ostatnim słowem techniki rentgenologicznej. Sam widzisz, w jakim tempie odbywa się postęp w tej dziedzinie! Obawiam się, że nie będę mógł zostawić komuś w spadku moich urządzeń, a nawet sam będę zmuszony za parę lat zmienić całą aparaturę.

- No, może nie będzie tak źle!

- A raczej tak dobrze. Bo przecież to są skutki coraz szybszego doskonalenia naszych środków technicznych.

Stanął mi przed oczyma gabinet zabiegowy stryja - duży, ale ciasno zastawiony sprzętami leczniczymi: były tam urządzenia rentgenowskie i aparatura fizykoterapeutyczna, a także szafka ze strzykawkami... Wśród tego wszystkiego krzątała się moja dzielna ciotka, która po rocznej nauce zdobyła kwalifikacje pielęgniarki. Naraz gabinet Paula wydał mi się niemal chałupniczym warszatem.

- Masz naprawdę doskonały, nowoczesny gabinet - mówię z przekonaniem.

Twarz Edka rozkwita zadowoleniem i od razu jakby dziecinnieje, ten otyły pięćdziesięciolatek odzyskuje porywczosć młodzika.

- Skoczmy do Wersalu - proponuje wesoło.

- Dzisiaj będą tam tłumy.

- Niekoniecznie musimy zwiedzać pałac i ogrody królewskie. Znam całkiem przyjemną knajpkę, pogadamy sobie przy kieliszku, przecież nie widzieliśmy się kupę lat...

Ford-escort znów mknie naprzód. Diabelski wóz! Zda się, nie dotyka ziemi, koła muskają aksamit, nie asfalt. Szybkościomierz wskazuje sto dwadzieścia.

- Przekroczyłeś dozwoloną osiemdziesiątkę - ostrzegam Edka. - Marnotrawisz benzynę.

Zwalnia.

Przedmieścia wersalskie w zimie nie są atrakcyjne, brak im malowniczego położenia Ville d'Avray. Wsiadamy przed restauracyjką „Królewska”, której wnętrze świadczą o raczej skromnych upodobaniach monarchy. Gospodarz z radosnym uśmiechem rzuca się nam na spotkanie. !

- Panie doktorze! - woła. - J akże się cieszę ! Rzadko pan do nas zagląda.

- Sam tego żałuję. Przywiozłem gościa z Warszawy, mojego kuzyna. Co macie z mocniejszych napojów?

- Polską wódkę.

- Chcesz? - zwraca się do mnie.

- Proszę bardzo, to będzie zabawne.

Polska wódka Edkowi smakuje. Nowy trunek działa na niego niespodziewanie szybko.

- Powiodło mi się w życiu - powiada. - Miałem cudownego ojca, mam wspaniałą matkę, wybrałem sobie najcudowniejszą żonę. Chyba nie przesadzam?

- Nie przesadzasz.

- No właśnie. Harowała, żebym mógł zdobyć dyplom... mówiłem już o tym. Zarabia grubo więcej ode mnie... o tym też mówiłem. Ale może nie wiesz, że to kobieta mojego życia, że nie rozglądam się za innymi... Zresztą o tym pewnie powiadomiła cię mama.

Potwierdzam z uśmiechem.

- To formułka mamusi, całkiem zresztą słuszna. Mam obciążenie dziedziczne, dozgonną wierność. Wrodziłem się w matkę.

- Nie w ojca?

Edek robi do mnie perskie oko.

- Łobuzie, wiedziałeś o jego amorach? No tak, wszyscy wiedzieli prócz żony. Za to ona ma starość pogodną. Pozazdrościć! Mnie się to chyba nie uda.

Nie wiem, czy jest świadom dwuznaczności ostatniego! zdania. Zmienia temat:

- Co powiesz o moich dzieciach?

- Są bardzo udane.

- Cytujesz mamę?

- Nie potrzebuję cytować, to moje własne zdanie. Z Danielem, co prawda, nie zdążyłem jeszcze zapoznać się bliżej, ale wczoraj dużo gadałem z Madleną. Jest inteligentna, wrażliwa, myśląca... no i bardzo ładna.

- Tak, tak... mam bardzo udane dzieci. Mówię przecież, że powiodło mi się w życiu pod każdym względem. Umieję to docenić, nie jestem malkontentem. A jak ty żyjesz w tej swojej Polsce? Dobrą macie wódkę, nawiasem mówiąc.

Zaczynam opowiadać, ale urywam, bo Edek nie słucha.

- Jak widzisz, nic ciekawego - mówię. - Opowiedz lepiej o swojej pracy. Czy dużo godzin jej poświęcasz?

- Różnie bywa, pracuję niekiedy pięć godzin, a czasem dłużej, zależnie od zgłoszeń. Jestem w gabinecie z rana do przerwy obiadowej, potem znów przyjeżdżam. W nagłych wypadkach robię zdjęcia nawet w nocy, na przykład przy złamaniu kości - milknie na chwilę.

- Na ogół nie jestem przeciążony - odzywa się znów Edek. - Klaudia pracuje o wiele intensywniej, i to przeciętnie sześć godzin dziennie. Nie wiem, jak u was, a u nas sześć godzin roboczych to trzysta sześćdziesiąt minut zmobilizowanej energii, ani trochę mniej. Ponadto ona traci dużo czasu na dojazd... Tak, mam żonę pracowitą, sumienną i bardzo, bardzo zamożną. Gdyby nie to, nie mielibyśmy naszej willi. Kosztowna to była impreza, a jednak nie zaciągnęliśmy długów. Zdrowie Klaudii! Bez przesady mogę powiedzieć: taka żona to skarb.

- Mówisz truizmy - śmieje się. - Sam mi to wypominałeś.

- Wypominałem? Wybacz. Śpiewam peany na cześć Klaudii,

bo wciąż jestem w niej zakochany. Dziwne, co?

- Zdarza się, choć nieczęsto. Sprawiacie wrażenie doskonale dobranego małżeństwa.

- Znów cytujesz z mamy, poznaję.

- Ale chyba trafny?

- Jak najbardziej. Dziś już trudno ustalić, kto kogo sobie upatrzył na wakacjach w Wenecji. Mnie wtedy się wydawało, że ja Klaudię, ale mogło być całkiem na odwrót. Czy to ważne? Grunt, że oboje nie żałujemy swojego wyboru.

Jeszcze sobie dolewa. Podsuwam swój kieliszek, żeby jemu zostało mniej wódki, boję się o powrotną drogę.

- Jakie masz dalsze plany? - pytam.

Ożywia się i nawet jakby trzeźwieje.

- Mam plany bardzo szerokie. Rozbuduję gabinet, wynajmę cały parter. Wezmę wspólnika, który będzie prowadził księgowość i pertraktował z urzędem podatkowym; przekażę mu też część pracy przy aparatach.

- Czy starczy wam klienteli?

- Z pewnością! Już teraz przyjeżdżają do mnie z Wersalu i okolic. Tutejszy rentgenolog idzie na emeryturę i związa interes. W niedługim czasie dochody moje podwoją się, a może potroją. Od nikogo nie będę zależał.

- Czy teraz jesteś człowiekiem zależnym?

- Niby nie, ale tylko formalnie. Mam wielki dług.

- Przecież nie macie długów?

- Mam dług wdzięczności, taki najtrudniej spłacić do końca. Chciałbym stworzyć rodzinie luksusowe warunki,

- Po co?

- Musi być postęp. Tata nas dobrze zabezpieczył, ale j;i zostawię moim dzieciom grubo więcej.

- Wydaje mi się, że Madlenie na tym nie zależy.

- To teraz, póki jest smarkata. Sama nie wie, jak może się zmienić. Daniel zaś dobrze już zna się na wartości pieniądza, nie tylko teoretycznie.

- Planujesz rzeczywiście szerokie. Czy starczy na to waszych dochodów, twoich i Klaudii?

- Klaudia może zachować swoje dochody dla siebie

Czas najwyższy, żebym wziął na swoje barki troskę o rodzinę. Mam odłożony kapitał, puszczać go w obrót. Pewien przyjaciel gra na giełdzie, teraz można grubo zarobić na spadkach i zwyczajach kursu dolara.

- Można i stracić.

- Wierzę w jego wyczucie. To szczęściarz, zawsze zbija forszę przy zmianach kursu... Dlaczego nie pijesz? Bardzo dobra wódka, zamówię jeszcze.

- Nie, Edku, wracajmy już.

Patrzę na kuzyna z zażenowaniem. Im dłużej rozprawia o wspaniałej przyszłości, którą tylko sobie będzie zawdzięczał, tym niewyraźniej się czuję. Jakiś złośliwy głos podszeptuje mi niedorzeczne pytanie, które powstrzymuję na końcu języka: „Jeżeli wszystko zapowiada się tak pięknie, czemu jesteś taki niepewny siebie?”

Myśl ta powraca i później. W nocy obudziłem się powtarzając: czemu? czemu? Śnił mi się Edek, rozpaczliwie mocujący się z własnym wilczurem.

---

---

Ludwik zamilkł i odłożył rękopis.

Był już późny wieczór. Tadeusz leżał na kanapie z zamkniętymi oczami.

- To koniec rozdziału - głośno powiedział Ludwik.

- Czego się drzesz? Ja nie śpię.

Usiadł, przechylił butelkę nad szklanką, ale wytoczyły się tylko kropelki.

- Słuchałeś?

- Jasne.

- Nie nudziłeś się?

- Gdybym się nudził, tobym sobie poszedł. Dobrze piszesz o tym miasteczku. Widziałem kiedyś film „Niedziela w Ville d’Avray”, ładny. Chętnie bym go jeszcze obejrzał. A dziewczyną zajmujesz się tak, jakbyś miał na nią chrapkę. Będzie romans?

- Ty masz pomysły! Przecież to moja bratanica.



- No i co z tego? Ale mniejsza. Dziewczyna, zdaje się, całkiem do rzeczy.

- Owszem.

- No, Bobuś - powiedział przeciągając się - czas na kolację. Pójdiesz ze mną?

- Nie jadam kolacji. Poza tym chcę jeszcze popracować.

- To się chwali. Przygotuj na jutro duży kawałek i znow się zabawimy.

Ta propozycja zabrzmiała w jego ustach jak wyraz uznania. Mile polechtany debiutant poczuł przyływ natchnienia i po odejściu gościa z nowym zapalem zabrał się do roboty. Późną nocą odłożył rękopis czując, że już nie jest w stanie pracować. Mignął mu przed oczami Tadeusz pytający rubasznie: „będzie romans?” Znów poczuł niesmak.

„Nie jest takim prostakiem, za jakiego chciałby uchodzić...” pomyślał niewyraźnie, lecz gwałtowna senność przeszkodziła mu w rozwinięciu tej myśli.

## WIECZÓR DRUGI

Tadeusz zjawił się zgodnie z umową, o piątej. Był już pod dobrą datą i przyniósł jeszcze wódkę. Ruchem stałego bywalca strącił na podłogę walizkę z taboretu i przysunął go do kanapy. Urządził się z maksymalną wygodą, mając w zasięgu ręki butelkę, szklanekę, jabłka i papierosy.

- Tęskniłem za tobą - powiedział. - Obiad u Szweda mi nie smakował. A jakie jedzenie masz w stołówce sanatoryjnej?

- Normalne, czyli niesmaczne i mało zachęcające do szaleństw. Zresztą kiedy pracuję, nie piję. Ależ zapędziłeś mnie do harówki!

- Daleko jeszcze do końca?

- Przecież dopiero zaczęliśmy.

- A kiedy nastąpi owo tajemnicze zdarzenie, które zapowiadałeś we wstępie?

- W należytej kolejności. Po to w ogóle zabrałem się do pisania, żeby uporządkować w pamięci wypadki i lepiej

zrozumieć to, co zaszło.

- Podniecasz moją ciekawość. Ile jeszcze będzie rozdziałów?

- Nie wiem, Tadziu. Nie mam doświadczenia pisarskiego, nie umiem ułożyć dokładnego planu. Ostatecznie nie musisz wysłuchać wszystkiego do końca.

- Dobry sobie! Zarzuciłeś haczyk, połknąłem go, a teraz mówisz: spływaj, jeżeli chcesz.

Ludwik roześmiał się:

- No, skoro połknąłeś haczyk, przystąpmy do dzieła.

---

---

## **Święta! Święta!**

Przykre wrażenie, jakie pozostawiła w mojej pamięci rozmowa z Edkiem, rozwinęło się pod naporem wrażeń wigilijnych. Gorączka kupowania prezentów dla rodziny, dla przyjaciół, dla bliższych i dalszych znajomych ogarnia o tej porze roku Francuzów bodaj z jeszcze większą mocą żywiołu niż moich rodaków. Nie mając pieniędzy dla własnych poczynań, włączyłem się do akcji Charmierów jako kibic.

Zwiedziłem wraz z Wandą, Madleną i Danielem większe, domy towarowe w Paryżu - Lafayette, Bon Marché, Samaritaine. Oszłomiła mnie nie tyle obfitość towarów i wielki wybór, bo tak było i za moich czasów, ile przewaga tandety i wręcz zawrotne ceny. Dawno już temu de Gaulle, żeby ukryć nieprzerwany wzrost cen, wprowadził „nowego franka”, który był wart sto starych. Jednakże po tylu latach Francuzi nadal wymieniają wszystkie ceny w starych frankach, i tak już chyba pozostanie.

Moi krewni szaleli. Co chwila słyszałem:

- Oto coś dobrego dla stryja Filipa! A to dla stryjenki, a to dla ich gosposi...

Zazdrościłem im pamięci i środków pieniężnych.

Przez cały grudzień odbywała się wyprzedaż towarów z przeceny, tak zwane „soldes”. Wanda, ogarnięta szalem zakupów, grzebała w stosach różnych „okazji”, raz po raz

wyciągając coś nadzwyczajnego.

Gdy wróciliśmy, czekała na Wandę przykra wiadomość: Filip postanowił spędzić wraz z żoną wilię u teściów' w Szwajcarii.

- Jak zawsze niezdyscyplinowany - skomentował tę decyzję Edek. - Jechać za granicę samochodem teraz, kiedy obowiązkiem naszym - oszczędzać paliwo!

- W ogóle to głupi kaprys - dodała Wanda. - Przecież Helena jest w ciąży i taka jazda z pewnością nie jest dla niej wskazana. Z nim zawsze tak...

Wilię urządzono w domku Wandy. Z rana jeszcze miotała się po mieście dokupując jakieś niezbędne do wieczery specjały. Postanowiła na moją cześć urozmaicić tradycję francuską akcentami polskimi. Stół okryty śnieżnobiałym obrusem przystrojono gałązkami jodły, a do zakąsek dodano dania rybne - śledzia i szczupaka w galarecie.

Cała ta krzątanina wprawiła mnie w nastrój świąteczny. Z niecierpliwością oczekiwałem pierwszej gwiazdy-czysta umowność, ponieważ niebo okrywały chmury, a kolację wyznaczono na ósmą.

Rodzina zeszła się wcześniej na drinka. Klaudia wyglądała prześlicznie w długiej sukni koloru lila, która podkreślała południową sność jej cery i czerń włosów. Madlena chyba nie bez oporów rozstała się z džinsami i włożyła czerwoną sukienkę z bardzo długim wycięciem. Wanda zdjęła fartuszek i została w szarym jedwabnym kostiumie z koronkowym żabotem. Edek włożył czarny garnitur do śnieżnobiałego golfa.

Staliśmy gawędząc i pociągając z kieliszków koktajl, kiedy w sionce dało się słyszeć szuranie nóg o słomiankę, po czym w progu stanęli Filip i jego małżonka. Wanda rzuciła się synowi na szyję.

- Łobuzie! - mówiła całując go. - Zawsze robisz mi niespodzianki! Czy to nie można było zatelefonować, żeście zmienili decyzję?

- Zmieniliśmy ją dopiero w drodze do Szwajcarii - odpowiedział kręcąc głową pod gradem pocałunków. - Dojechalibyśmy na miejsce dopiero nad ranem. Na szosach Bóg wie jaki tłok!

- Mimo trudności paliwowych?

- Jaka tam trudność wobec Wilii! No, pozwólcie nam zdjąć płaszcze.

Nie poznałbym Filipa na ulicy. Z krótkim zarostem wyglądał ładnie i młodo, trudno było uwierzyć, że przekroczył już czterdziestkę; był smukły, wysportowany, miał ruchy sprężyste. Dwudziestoletnia Helena wyglądała prawie jak jego rówieśniczka, pewnie dlatego, że bardzo zaawansowana ciąża zniekształciła jej figurę i nadawała cerze żółtawy odcień.

- A więc zostaliście skazani na Wilię z nami - powiedziała ze śmiechem Klaudia. - Swoją drogą, powinniśmy grzecznie podziękować Arabom za podwyżkę cen na benzynę, bo dziś na szosach było o połowę mniej wypadków niż w zeszłym roku: nikt nie przekraczał dozwolonej osiemdziesiątki na godzinę.

Zasiedliśmy do suto zastawionego stołu. Wśród różnokolorowych butelek wódka polska wyróżniała się kryształową czystością płynu. Barszcz z uszkami zrobił furorę, Daniel skosztował i wykrzyknął:

- Jadę do Polski!

Indyczkę uczczono kwadransiem skupienia, arcydzieło ciocinej kuchni spożywano w należytym ciszy. Znalazło się potem miejsce na sery i owoce. Odszedłem od stołu ociężały, jak nakazuje obyczaj świąteczny. Kawę z tortem orzechowym, który też należy do popisowych numerów Wandy, spożywaliśmy już przy kominku.

Przyjemnie było spojrzeć na okazałą choinkę ozdobioną wymyślnymi kolorowymi zabawkami i laleczkami. Wanda pożyczyła na ten cel śliczne okazy ze swej kolekcji, na honorowym miejscu na wierzchołku znalazła się para > krakowska.

Filip usiadł obok Madleny i zapytał:

- No jak tam, naprawiacie skutecznie świat?

- Bez ciebie nie da rady.

- Nie liczcie na mnie, to zajęcie nie w moim guście.

- Szkoda. Masz tyle talentów...

- Czy do naprawiania świata są potrzebne talenty? jj Raczej brak logiki i upór.

- Tobie się wydaje, że jesteś bardzo logiczny?  
- Nietrudno was w tym prześcignąć.  
- Wystarczy wszystko mieć w nosie i dbać o własny ) interes.  
- Owszem, to całkiem rozsądna zasada. Szkoda, że | polityka nie ma doświadczalnych poetek, na których I zapaleńcy mogliby wyładowywać swój temperament przy j realizacji bzdurnych pomysłów, zamiast robić bigos na wielką skalę.  
- Ci znów się kłóć! - zawołała Klaudia. - Zróbcie wyjątek z powodu święta.

- Lepiej pomóżcie mi zapalić w kominku - dodała Wanda.

Wszyscy wzięli w tym czynny udział, nawet pies kręcił się między nami z uroczystą miną. Daniel pouczał babcię, jak należy rozpałać ogień, powoływał się przy tym na autorytety naukowe, ale ona tylko machnęła ręką:

- Gdybym spróbowała twojego sposobu, tobyśmy wszyscy udusili się dymem.

Kiedy płomień strzelił w górę, zanuciła francuską kolędę:

Narodziło się Boskie Dzieciątko.

Śpiewajcie, flety, śpiewajcie, trąbki!

Po francuskich przyszła kolej na polskie kolędy, śpiewałem wraz z Wandą: „Bóg się rodzi, moc truchleje...” Ogarnęła mnie fala wspomnień z lat dziecińczych.

Zobaczyłem nasze mieszkanko w osadzie górniczej. Wilię urządzano w kuchni, po drzewko jechałem z ojcem do lasu. Przy wieczery cały czas zerkałem na palenisko starając się zgadnąć, jaki prezent znajdę tam jutro. Bo Pére Noel<sup>1</sup> zawsze tam właśnie pakował swój upominek ukryty w moim trepie. Nie zabierano mnie na pasterkę, a ja i tak długo nie mogłem zasnąć z radosnego podniecenia. Rano leciałem do kuchni i wyciągałem z wystygłego paleniska trep z niespodzianką. Cóż za emocja!

- Opowiedz coś - poprosiłem Wandę. - Lubiałaś opowiadać nam po kolacji różne różności.

---

<sup>1</sup> Pére Noel - odpowiednik Świętego Mikołaja, odwiedzający dzieci w noc wigilijną.

- Och, to było dawno! Teraz nie mam nic ciekawego do opowiadania.

- Jak to nic, babciu? - zaprzeczył Daniel. - W twojej księgarni zawsze dzieją się ciekawe rzeczy.

- No chyba... Musisz wiedzieć, Ludwisiu, że mam dwie ekspedientki, młode dziewczyny. Monika, studentka ekonomii, jest rozgarnięta, bystra i sumienna. Druga natomiast, Eliza, to nieuk nad podziw tępy, mam zamiar przy pierwszej okazji pozbyć się jej. Wyobraźcie sobie, moi kochani, jak ta Eliza popisała się parę dni temu!

Na samo wspomnienie zaniosała się śmiechem.

- Otóż klientka prosi o płyty ze śpiewami staroruskimi, mamy taki komplet w okładce z Matką Boską pędzla Rublowa. Eliza zachwala towar i powiada: „To obrazek radziecki. Prawda, że ładny?” Musiałam wyjaśnić, że panienka żartuje.

- Ona nic nie słyszała o Rublowie! - z triumfem zawołał Daniel. - Kretynka.

- Co tam Rublow! Ma lepsze numery. Onegdaj klientka poprosiła o „Braci Karamazow”. Eliza długo grzebała na półkach, po czym oświadczyła, że są wyprzedane. „Chwileczkę - powiedziałam do pani, która zabierała się już do odejścia. - Poszukam na zapleczu.” I cóż? Oba tomy w wydaniu Gallimarda stały na swoim miejscu. Zapytałam później: „Dlaczego, Elizy; nie znalazłaś tych książek?” Proszę zgadnąć, co odpowiedziała!

- Któż zgadnie, co może powiedzieć głupiec! - znów odezwał się Daniel.

- Masz rację. Powiedziała: „Bo, proszę pani, ja szukałam wśród płyt. Myślałam, że chodzi o zespół big-bea-towy”.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

- To jeszcze nie wszystko. Spytałam: „Czy ty, dziewczyno, nigdy nie słyszałaś o Dostojewskim?” Obrzuciła się: „Oczywiście że słyszałam! Przecież to on napisał scenariusz do filmu »Idiota« z Gerardem Philipem. Był taki dreszczowiec, bardzo zabawny”.

- Ja bym i dwóch dni nie tolerowała takiej ekspedientki.

Edek włączył telewizor.

- Patrzcie! - zawołał. - Nadają reportaż z zamachu w Madrycie.

Wszyscy przysunęli się do ekranu.

Znaliśmy z prasy przebieg zamachu w dniu dwudziestego grudnia: zabito admirała CaiTero Blanco, osobistość numer dwa w Hiszpanii frankistowskiej.

Na ekranie widać miejsce wybuchu: ogromny lej na środku jezdni, wokół stopy odłamków, które spadły na chodniki i na dachy zaparkowanych tam samochodów. Mury okolicznych domów popękane, osmolone, zorane odpryskami. Wciąż jeszcze nie dopuszcza się tu przechodniów, tylko policjanci w kaskach spacerują ponuro, oglądając ten obraz zniszczenia.

W chwili gdy auto premiera znalazło się na tyłach klasztoru, nastąpił wybuch pięćdziesięciokilogramowego ładunku podłożonego pod środek jezdni. Samochód z niesłychaną siłą wyrzuciło w powietrze na wysokość trzydziestu metrów, po czym wóz przeleciał nad dachem klasztornym i spadł na taras po drugiej stronie. Ciała pasażerów zostały zupełnie zmiażdżone.

Widzimy ten taras, też uszkodzony. I tu dyżurują znudzeni policjanci. Pokazano nam także dom na uliczce, w którym zamachowcy przez kilka miesięcy wynajmowali pomieszczenie na parterze, podając się za rzeźbiarzy.

Madlena aż zbladła z wrażenia.

- Czy zamachowców złapano? - pyta.

- Na razie nie - wyjaśnia Edek. - Opuścili swoją melinę jeszcze przed wybuchem i zniknęli bez śladu.

Po tym emocjonującym reportażu nie warto było oglądać zwyczajnego programu, Edek wyłączył telewizor.

Rozmowa zahaczyła o rozbudowę Paryża. To proces niemal żywiołowy, nie da się go powstrzymać, nawet gdyby się chciało. Zażarte spory rozgorzały wokół problemu: zachować czy zburzyć słynne Hale pochodzące z XVII stulecia? Mam okazję, by się przekonać, że moim krewnym nie brak temperamentu.

- Mer Mathieu nazywa Hale rudera! - oburza się Wanda. - Powiada: „Rada Miejska nie powinna wyrzucać połowy swojego budżetu na konserwacje walącej się w gruzy szopy!”

Doprawdy, trzeba nie mieć za grosz szacunku dla tradycji ani wyczucia estetycznego! Ta szopa jest piękniejsza od jego supernowoczesnej willi!

- Ale też nie można kierować się samą estetyką! - równie gorąco oponuje Edek. - Mają rację i ci, którzy mówią, że Hale to jaskinia szczurów, siedlisko infekcji. Ja też nie chcę płacić podatków po to, żeby ta rudera ostała się przed postępowaniem technicznym.

- Postęp techniczny! - zachłystuje się Wanda.

- Tak, postęp techniczny. Nowa trasa, która przejdzie w tym miejscu, jest ważniejsza od twoich Hal! Ty' nie prowadzisz wozu, dlatego tak rozumiesz.

Klaudia stawia na stoliku whisky z wodą sodową i lekkie wino. Helena, pólżąc w głębokim fotelu, wyciąga rękę po kieliszek.

- Nie pij, kochanie-mówi Wanda. - W twoim stanie...

- To jej nie zaszkodzi - wtrąca się Filip i podaje żonie wino. - Najwyżej zdrzemnie się trochę. I tak teraz wcześniej zasypia.

Daniel swoim zwyczajem usiadł na podłodze przeglądając magazyny ilustrowane.

- Słuchajcie, słuchajcie! - woła. - Córka Hefnera skarży się, że tatuś nie chce umieszczać jej fotografii w swoim „Playboyu”. i

- Jaki Hefner? Jaki „Playboy”? - pyta Wanda.

- Moja droga - odzywam się - nawet ja, przybysz ze wschodu, wiem, że „Playboy” to najpopularniejsze pismo dla mężczyzn, amatorów kobiecej nagości.

- Czy jest i u was w sprzedaży? - dziwi się Filip.

- Nie, ale znamy je z prasy i z filmów zachodnich, no i ze słyszenia.

- Wy tłumaczę mamie, o co chodzi - mówi Filip. - Mała edukacja jej nie zaszkodzi. Musisz wiedzieć, moja kochana, że „Playboy” to pismo o milionowych nakładach, a jego wydawca, pan Hefner, jest multimilionerem.

- Dorobił się na fotosach nagusek?

- Nic w tym dziwnego. Hefner ma cudowne modelki i fotografuje te miłe stworzonka całkiem nago. Niedopie- szczeni osobnicy sycą się tym widokiem z braku innych rozkoszy, to



najwierniejsza klientela wynalazczego mecenasa.

- Zapomniałeś powiedzieć, że do każdego numeru Hefner daje nowe okazy - uzupełnia Daniel. - Ładnie zbudowane dziewczyny ze wszystkich stanów Ameryki przysyłają mu swoje zdjęcia i ubiegają się o zaszczyt pozowania dla jego pisma.

- No wiecie... - Wanda nie chce uchodzić za osobę staroświecką, ale jest wyraźnie zgorzozona. - Czy te zdjęcia przynajmniej są na jakimś poziomie artystycznym?

- W każdym razie to nie ordynarne porno - stwierdza Filip.

Do dyskusji wkracza Klaudia:

- Pojęcie porno zmieniło się w ciągu ostatniego dwudziestolecia. Granice tego, co można ukazywać, dajmy na to, w filmie nie narażając się na oskarżenie o pornografię, zawężyły się właściwie do seksu, w ścisłym tego słowa znaczeniu.

- Przy czym ograniczenia są surowsze, gdy chodzi o nagość męską niż kobiecą - uzupełnił Filip.

- Owszem. Producenci liczą na masowe powodzenie dzięki ryzykownym obrazkom, ale wydaje mi się, że następuje już przesyt w tej dziedzinie. Ostatnim razem, kiedy oglądałam w kinie łóżkową scenkę, jakaś dziewczyna w wieku mojej córki powiedziała głośno: „Znowu! Jakież to nudne”.

- Zgodziłabym się z nią - odzywa się Madlena. - Nie jestem amatorką marmolady w rodzaju „Love story”, ale doprawdy patrzeć już się nie chce na te erotyczne manipulacje, które nie są dla nas objawieniem. Przecież od maluchów wtajemnicza się nas w sprawy seksu. I po co nam technologia miłosna, jeżeli...

Tu urwała.

- Jeżeli? - powtórzył Filip.

- Nic.

Nie brałam udziału w tej rozmowie, choć z ciekawością jej się przysłuchiwałam. Patrzyłem jednocześnie na telewizor, który Daniel znowu włączył. Na ekranie przesuwały się sylwetki słynnych kobiet.

Zobaczyłem Sophię Loren, szczęśliwą matkę dwóch synków - olśniewającego włoską urodą Carla i pyzatego bobasa Edoarda. Słynna gwiazda, w warunkach domowych jakby uwolniona od swojego aktorstwa, wyglądała nie tak efektownie, za to o wiele

sympatyczniej. Uśmiechała się od ucha do ucha i huśtała na rękę młodszą pociechę.

Zobaczyłem też Françoise Sagan, która parę miesięcy temu miała wypadek i dopiero wyszła ze szpitala. Rozpoczęła życie publiczne od zwiedzenia amerykańskiego lokalu, gdzie popijała whisky z najbliższymi przyjaciółmi. Towarzyszył jej najnowszy kochanek, młody aktor Bud Cort, który zasłynął w filmie „Harold i Maud”.

Zaciekawiła mnie ta raczej męska twarz powieściopisarki, tak umiejętnie odsłaniającej zakamarki serca kobiecego. Saganka ma lekko zezujące oczy, długi nos, szesane na czoło włosy ostrzyżone według ostatniej mody dla panów. Nawet jej ciemny surdut z szerokimi białymi mankietami, nawet długie muskularne dłonie zdają się ostentacyjnie zaprzeczać jej kobiecości. Może nadrabia miną udając, że nie ceni sobie wdzięku niewieściego, którego jej poskapiła natura. Przed kamerą trzyma się z wystudiowaną nonszalancją osoby nawykłej do natarczywości reporterów.

Pokazano nam i Sylwię Vartan, małżonkę Johnny'ego Hallidaya, równie jak on słynną gwiazdę nowoczesnego piosenkarstwa. To wysoka platynowa blondyna o mocnym, acz zwinnym ciele dobrze umięśnionego zwierzęcia. Leniwy uśmiech, czujne brązowe oczy, ramiona całe w błyskotkach.

Małżonkowie mieszkają w luksusowym domu urządzonym w stylu superamerykańskim. Sylvia chodzi boso po wyściełanych podłogach, pozwalając telewidzom podziwiać niczym nie skażone piękno swych stóp. Johnny przewija się jak niespokojny duch, ma oczy nawiedzonego i roztargnionego uśmiech. Są ze sobą już piętnaście lat, w tym mieści się dziewięć lat małżeństwa i kilka separacji. Teraz znowu są razem, bo Johnny zapragnął mieć z Sylwią jeszcze jedno dziecko.

Wszystkie te niedyskrecje telewizja odsłania z bezwzględnością, na którą są skazane kobiety sławne. Chętnie spłacają ten haracz, świadome zasady: „Sensacja dźwignią sukcesu”. Muszę przyznać, że i ja chętnie dowiadywałem się szczegółów ich życia prywatnego.

Nagle wybuchła kolejna sprzeczka między Madleną i Danielem: ona chce słuchać starych francuskich piosenek w drugim programie telewizyjnym, on woli oglądać kolejny odcinek „Arsena Lupin”, którego od niedawna nadaje trzeci program. Spór rozstrzyga na korzyść dżentelmena-włamywacza Helena, która leżąc na kanapie oświadcza:

- Lubię tego aktora, ma wdzięk. Będę stąd oglądała film, póki nie zasnę.

Obrażona Madlena oddała się z książką do biurka babci, reszta gości przysuwa krzesła do telewizora. Wanda została przy kominku z robótką szydełkową. Usiadłem obok niej, na niskim taborecie.

- Jesteś smutna - powiedziałem.

- Wydaje ci się. Jestem po prostu zmęczona. Nawet takie małe przyjęcie jest dla mnie teraz fatygą. A pamiętasz, jak urządziłam przyjęcie na osiemdziesiąt osób?

- Oczywiście pamiętam. Na wasze srebrne wesele.

- Właśnie. Zaprosiłam osiemdziesiąt osób, a przyszło ze sto. I wszyscy zmieścili się w naszych pięciu pokojach. I dla wszystkich starczyło jedzenia i picia, i wszystkim było wesoło. Prawda?

- Prawda, kochanie.

- Zresztą zgadłeś, zrobiło mi się smutno. Paul miał pierwszy zawał osiem lat temu, podczas naszej podróży po Hiszpanii. Kiedy dziś oglądaliśmy reportaż o zamachu, wydało mi się, że poznaję tę madrycką uliczkę i klasztor... A może się myliłam.

Milczymy oboje, w sali rozlega się dialog telewizyjny. Arsen z powodzeniem uwodzi kolejną partnerkę, ale wolę patrzeć na ogień, to całkowicie pochłania moją uwagę. Po pewnym czasie spostrzegam, że Wanda odeszła; pomyślałem, że może poczuła się źle i poszła na górę, żeby się położyć. Tknął mnie niepokój.

Minąłem gromadkę przy telewizorze i ostrożnie, starając się nie robić hałasu, wszedłem po schodach do sypialni ciotki. Było tam ciemno, z dołu docierał tylko odbłask kominka. W tym skąpym świetle zobaczyłem na łóżku dwie osoby, Madlenę i Filipa. Leżeli przytuleni do siebie i całowali się.

Wycofałem się równie bezszelestnie.

Wanda była w kuchni i zmywała naczynia.

\*\*\*

Koło dwunastej podano ostrygi i szampana, jedno i drugie w przednim gatunku. Edek z zadziwiającą wprawą połknął ze trzy tuziny ulubionego przysmaku, Daniel mimo szczerej chęci nie zdołał dorównać ojcu. Znów zrobiło się gwarno, przekrzykiwano się z różnych końców stołu, wznoszono toasty. Siedziałem obok Wandy.

- Kiedy odbędzie się wręczenie prezentów? - zapytałem dyskretnie.

- Jak zwykle, jutro rano. Madlena i Daniel już wyrosli z wieku, kiedy wierzy się w Pére Noël, ale - żeby tradycji stało się zadość - złożymy wszystkie dary w kominku. Do rana zdąży wystygnąć.

- Telewizor Madleny chyba w kominku się nie zmieści?

- Postawimy go obok.

- Przyjdę, żeby ci pomóc.

- Będziesz jeszcze spał. Edek mi zawsze pomaga.

- Wybierasz się na pasterkę?

- Jestem zmęczona. Edkowie też chyba zrezygnują, a Filipowie muszą zaraz wracać do Rosny-sous-Bois. Jeżeli chcesz pójść do kościoła, może ktoś z dzieci będzie ci towarzyszyć.

Po skończeniu uczty pożegnaliśmy Wandę i ruszyliśmy całą gromadką na ulicę, żeby pożegnać też Filipa i Helenę odjeżdżających nowiuteńkim renaultem. Księżyc wyjrzał zza chmury.

- Chodźmy na pasterkę - powiedziała do mnie Madlena. - Lubię wigilijne śpiewy i w ogóle przyjemnie teraz się przejść.

Poszliśmy w dół ulicą Wersalską. Sporo ludzi zmierzało w tym samym kierunku, słychać było wesołe głosy. Zachowywaliśmy milczenie.

W kościele zapalono wszystkie światła, wyglądał bardziej okazale niż w dzień. Na galerii rozbrzmiewały głosiki chóru dziecięcego, wtórowało im wielu wiernych. W rozgrzanym powietrzu unosił się zapach topionego wosku i kadzidła.

Stanęliśmy w bocznej nawie, gdzie było trochę luźniej. Po kwadransie Madlena trąciła mnie w łokieć:

- Pójdziemy już.

Szliśmy w gęstych ciemnościach, księżyc znowu ukrył się w chmurach. Nie miałem zamiaru wszczynać rozmowy, ale Madlena zapytała:

- Widziałeś nas na łóżku babci?

Milczałem.

- No przyznaj się, że widziałeś! Zauważyłam cię, kiedy ukazałeś się na schodach. Nie mogłeś nas nie widzieć.

- Owszem, widziałem.

- Co pomyślałeś?

- Nie pamiętam.

- Czemu nie chcesz powiedzieć?

- No dobrze... Zdziwiłem się. Wydawało mi się, że nie bardzo lubisz Filipa.

- Bo rzeczywiście go nie lubię.

- Więc dlaczego?...

- Co ma jedno z drugim? Do tego nie trzeba lubienia. Po prostu chcę nauczyć się całować. On całuje bardzo dobrze.

- Madleno!!!

- Czego krzyczysz? Jest tak, jak mówię: od niego można się nauczyć.

- Po co?

- Żebym umiała całować chłopca, którego sobie wybiorę.

- Jeszcze nie wybrałaś?

- Prawie.

- Kto to taki?

- Poznasz go jutro, przyjdzie wieczorem. To mój były korepetytor. Jest właściwie dla mnie za stary, ma już dwadzieścia osiem lat. Ale ja lubię starszych panów, ot takich jak ty.

- Dziękuję. Ze mną też mogłabyś tak ćwiczyć?

- Nie wiem... raczej nie. Ciebie lubię. A chciałabyś?

- Nie deprawuję nieletnich.

Staliśmy już przed naszą willą. Z głębi ogrodu wynurzył się Sokrates, polizał Madlenę w rękę i pobiegł z powrotem wielce

zaaferowany. Zanim otworzyłem drzwi wejściowe, powiedziałem ze szczerą złością:

- Smarkata! Proszę cię, jeżeli mnie naprawdę trochę lubisz, do mojego wyjazdu nie całuj się z nikim w celach ćwiczebnych.

- A dla przyjemności można? - zapytała z szelmowskim błyskiem w oku i szybko pobiegła do siebie na górę.

\*\*\*

Nazajutrz wszyscy domownicy dostali swoje prezenty. Okrzyki zachwytu, pocałunki, podziękowania wypełniły mieszkanie Wandy wesołą wrzawą. Każdy otrzymał coś miłego według swoich gustów i pragnień.

Zostałem obdarowany elektryczną maszynką do golenia tudzież swetrem, parasolem składanym, rękawiczkami i skórzaną teczką. Moje upominki z Polski też były przyjęte entuzjastycznie: zakopiański kilim dla Wandy, srebrny naszyjnik dla Klaudii, bursztynowe korale dla Madleny, papierośnica z kości rzeźbionej dla Edka i skórzany portfel dla Daniela. Prezent dla Filipa z żoną, kryształowe kieliszki z karafką, przekazałem im jeszcze wczoraj.

- Zrujnowałeś się na prezenty - martwiła się Wanda.

- Nie bój się - uspokajałem ją - w Polsce nie jestem biedny, jak tu. Ile ty zarabiasz w swojej księgarni?

- Koło trzech tysięcy franków.

- A ja dwa razy tyle w złotówkach. Tego całkowicie starczy na dostatnie życie.

Na obiad była zaproszona Maria z mężem i synkiem. Od początku spodobał mi się stosunek kuzynostwa do służby, bardzo demokratyczny. Traktowano ich niemal jak członków rodziny.

Maria zaczęła tu pracować trzy lata temu. Mieszkała wtedy z mężem w małym sublokatorskim pokoju w bardzo starym domu koło dworca. Doktor Charmier, znany w mieście i bardzo wpływowy, pomógł Miguelowi, wykwalifikowanemu murarzowi, w uzyskaniu pracy na budowie w nowej dzielnicy, gdzie się dużo zarabiało. Wystarał się też o nowe dwupokojowe mieszkanie dla swojej służącej. Oboje umieli oszczędzać, tak że

w dwa lata po przyjeździe do Francji Miguel kupił renaulta, co prawda trochę używany i nie najnowszy model, jak Filipa, ale wóz pakowny i ładny.

Miguel bardzo chętnie wykonywał w domu CHarmierów cięższe roboty, jak dźwiganie materiałów do stolarki gospodarza, malowanie ogrodu itp. z kolei pracodawcy Marii bardzo chętnie i szczerze wynagradzali go za te uprzejmości. Stołowanie się jego w kuchni wraz z żoną i synkiem stało się regułą; po kolacji zabierał swoją rodzinę samochodem do domu.

- Mógłby nie przyjmować od Edka pieniędzy za drobne usługi - mówiła do mnie onegdaj Wanda. - Tyle dla nich zrobił!

- Na pewno byłoby to dla Edków krępujące - zauważyłem. - Są o tyle zamożniejsi od tej robotniczej rodziny, że mogą sobie pozwolić na hojność.

- Zamożniejsi? Miguel szybko się dorobi dużych pieniędzy, zobaczysz. Już dziś jest majstrem, powodzi mu się coraz lepiej. Pomyśleć tylko: po trzech latach pracy w naszym kraju ten prostak ma mieszkanie, samochód... Czy mógł o tym marzyć w Hiszpanii?

Dotknięty wielkopańskim tonem mojej dobrej Wandy, chciałem przypomnieć jej, że ród nasz, którym tak bardzo się szcyci, pochodził z biedoty górniczej - ale zmilczałem. Powiedziałem tylko:

- Słyszałem, że teraz we Francji, jak zresztą i u nas, bardzo trudno o dobrą pomoc domową. Taką służbę, jak ci dwoje, ceni się chyba na wagę złota? Myślę, że traktując ich życzliwie, Edkowie dużo zyskują, bo mają w domu uczciwych i oddanych sobie ludzi.

- Gdybym przynajmniej tego była pewna... - westchnęła ciotka.

Później przypomniały mi się te jej słowa.

\*\*\*

Całe przedpołudnie pierwszego dnia świąt trwała krzątanina, przygotowywano wspaniałą obiad. Klaudia i Wanda robiły coś w kuchni, Daniel co chwila tam zaglądał, żeby spróbować

jakiegoś smakołyku. Potem chłopiec wraz z rodzicami poszedł złożyć krótką wizytę dyrektorowi szkoły. Madlena została na górze, Wanda nadal urzędowała przy piecu. Nastąpiła względna cisza.

Położyłem się z książką u siebie w pokoju. Drzwi były nie domknięte, słyszałem, jak przyszła Maria i zaczęła nakrywać do stołu, jak Miguel wystawił wózek z Pablem na taras i poszedł na górę. Niedługo potem wrócił i między nim a żoną wybuchła dziwna sprzeczka. Mówili cicho, mieszając francuskie słowa z hiszpańskimi. Chociaż znam trochę hiszpański, nie wszystko mogłem zrozumieć, ale było jasne, że Maria wpadła w furję.

- Po co do niej polazłeś? - syczała. - Przysięgałeś na Matkę Boską, że więcej nie będziesz. Łajdaku jeden, mało ci dziewcząt z budowy?

- Regulowałem antenę nowego telewizora - usprawiedliwił się Miguel. - Sama mnie poprosiła.

- Ona też dobra! Ladacznica!

- Dla ciebie każda ładna dziewczyna jest ladacznicą. Mów ciszej, pani starsza usłyszy.

Rzeczywiście, z kuchni odezwała się Wanda:

- Mario, gdzie ty trzymasz liście bobkowe?

Ten mały incydent zakłócił mój spokój. Bardzo prawdopodobne, że Miguel jest kobieciarzem, jak również to, że Madlena mu się podoba. I cóż z tego? Staralem się uprzytomnić sobie, jak ona traktuje Miguela; stwierdziłem, że po koleżeńsku, zupełnie jak Marię. Dlaczego więc służąca nazwała ją ladacznicą? Hiszpanki typu Marii to zazdrośnice, robią z igły widły, przy byle podejrzeniu gotowe są wydrapać oczy domniemanej rywalce. To by tłumaczyło wszystko, a jednak...

Muszę się przyznać, że wczorajsze żarciki Madleny zachwiały moją równowagę. „Niebezpieczna dziewczyna, pomyślałem. Łączy w sobie gorącą włoską krew z francuską skłonnością do analizowania i eksperymentów. Ja w każdym razie winienem trzymać się od niej z daleka.”

Przed wieczorem wyszedłem po papierosy do baru i spotkałem Madlenę z „jej chłopcem”. Był idealnym wcieleniem młodzieńca anno 1974: włosy blond spływające faliście na kark,



dżinsy starannie poplamione i obstrzępione, zamszowa kurteczka włożona na obcisły sweter z półgolfem odsłaniającym muskularną i zgrabną szyję.

„Urwał się z reklamy domu towarowego” pomyślałem złośliwie. I wtem zobaczyłem jego oczy. Nie, oczy nie były z reklamy. Były nieduże, orzechowego koloru, autentycznie smutne, tak jak gdyby przed chwilą kazano mu oglądać coś niewymownie przykrego. A przecież przy jego boku kroczyła Madlena, która wyszła po niego na dworzec.

- Poznajcie się, panowie - powiedziała tonem, który miał być nonszalancki. - To mój stryjek, Ludwik.

- Maks - powiedział krótko, ściskając moją dłoń.

Ręce miał delikatne, uścisk zaskakująco słaby.

- Dokąd idziesz? - spytała mnie Madlena.

- Po papierosy.

- Pójdziemy z tobą - zdecydowała.

Zawrócili, poszliśmy razem w dół wymieniając nic nie znaczące słowa. Chłopiec był skupiony, Madlena zaś rozmowna jak nigdy, widocznie żeby nadrobić jego milkliwość. Ja też nie popisałem się elokwencją. Kupiłem papierosy i wróciliśmy do domu.

- Słuchaj - szepnęła, zanim weszliśmy do ogrodu - powiedz, żeśmy razem wyszli z domu i spotkali Maksa na ulicy. Dobrze?

Powiedziała to w pośpiechu.

- Dobrze. Uważaj tylko, żeby nasze kłamstwo się nie wydało.

Skinęła głową.

Nie wiem, po co jej było potrzebne to małe oszustwo - może jedynie po to, żeby wciągnąć mnie w jakiś konflikt czy spisek i w ten sposób ustawić po swojej stronie. Trudno, dałem się zaskoczyć.

W salonie zebrała się cała rodzina, był też przyjaciel Edka, profesor Bent. Przy drinkach rozmawiało się z przejęciem o sprawie, która wówczas była bolesną niespodzianką dla właścicieli samochodów - o kryzysie naftowym. Nikt oczywiście nie umiał powiedzieć nic o jego ewentualnym zakończeniu, natomiast wszyscy chóralnie narzekali na sprawców.

Kolacja była obfita i smaczna, Klaudia własnoręcznie

przyrządziła wspaniałe spaghetti, które nagrodzono okrzykami zachwyty. U Charmierów wszyscy umieli spożywać te niekończące się zwoje ciasta ze zręcznością prawdziwych Włochów, dobrodusznie naśmiewano się ze mnie, że nie potrafię im w tym dorównać.

Potem znów przeszliśmy do salonu na kawę, tu zapanował nastrój refleksyjny. Profesor Bent poruszył bliski mu temat o najnowszych odkryciach w dziedzinie badań mózgu. Umiał mówić o tym w sposób przystępny.

- Do rewelacyjnych wyników doszedł zespół psycho-neurologów profesora Lhermitte'a. Współdziałanie różnych dziedzin nauki i techniki daje dziś zdumiewające wyniki. Odeszliśmy daleko od dziewiętnastowiecznych wierzeń (bo trudno to nazwać poglądami), że dobre i złe predyspozycje człowieka zależą od wypukłości jego mózgu. Albo że ludzkie zdolności wiążą się z większą czy mniejszą wagą mózgu. Wiemy już, że mózg imbecyla nie jest lżejszy, dajmy na to, od mózgu Picassa.

Zainteresowałem się:

- Cóż mówią najnowsze odkrycia Lhermitte'a?
- Trzeba posiadać wiedzę bardzo specjalistyczną, żeby to pojąć. Mogę rzecz zreferować w ogólnych zarysach.
- Ludwik jest mikrobiologiem - pośpieszyła wyjaśnić Wanda.
- Przyjechał na konferencję, która odbędzie się na początku stycznia w Paryżu.

Edek dodał:

- A Klaudia, jak wiesz, jest specjalistką od elektroniki, która obecnie ma coś do powiedzenia bodaj we wszystkich gałęziach nauki.

- Racja. Ale jest tu też młodzież. Postaram się wszystko wyłożyć w sposób popularny. Tylko poproszę jeszcze o koniak.

Otrzymawszy napełniony kieliszek, zaczął z rozmysłem:

- Sto lat temu nazywano mózg bardzo zwyczajnie częścią organizmu. W wieku dwudziestym zaczęto stosować metafory: miasto, cały kraj, a nawet kontynent, bo coraz lepiej zdawano sobie sprawę ze złożonego systemu rządzących nim praw. W połowie naszego stulecia, w związku z rozwojem wiedzy o

kosmosie, ustalono, że mózg przypomina galaktykę i podlega nie mniej skomplikowanym zależnościom.

- Czy potrafimy je poznać i zbadać? - zapytała Wanda.

- Chyba nie gorzej niż drogi międzyplanetarne. Współpraca naukowców różnych krajów posuwa tę sprawę naprzód: jak powiedział obrazowo profesor Lhermitte, „badacze pracują przy otwartych na oścież oknach”, czyli nie kryją przed zagranicznymi kolegami swoich odkryć.

- O jakie praktyczne doświadczenia chodzi? - zapytałem.

- O różne. Na przykład, dwoje kanadyjskich uczonych, małżonkowie Beatrycze i Allen Gardnerowie, bada strukturę mowy.

- Czy to ten Gardner, który pisze kryminały? - zawołał zachwycony Daniel.

- Nie zadawaj głupich pytań! - skarcił go ojciec.

- Nie, mój chłopcze, to całkiem inna rodzina. Otóż Gardnerowie nauczyli swojego małpizona wymawiać kilka słów i nawet zdań. Pracując z większą ilością małp, osiągnęły imponujące wyniki: ich zwierzęta umieją posługiwać się zasobem stu czterdziestu wyrazów!

- To już prawie słownictwo prymitywnego plemienia - odezwał się Edek.

- A co to daje dla poznania struktury mowy? - zapytała Klaudia.

- Bardzo wiele. Hipoteza istnienia uniwersalnego systemu językowego zahacza o logikę matematyczną, teorię Einsteina i wiele innych dziedzin naukowych. Prawami logiki matematycznej zajmuje się holenderski uczony Freidenthal, nad tym problemem pracuje radziecki językoznawca Kondratow, specjalista od lingwistyki matematycznej.

- Więc słowo zaczyna interesować matematyków? - odezwała się Madlena.

- Nie od dziś, moja droga. Wedle profesora Lhennitte'a dziedziczność, rozwój komórek, życie organizmów, zachowanie się zwierząt, rozmaite struktury społeczne i wiele innych zjawisk ma odpowiedniki w systemie ogólnym, a mianowicie: w systemie językowego myślenia, w posługiwaniu się

gramatyką, zdaniem, słowem.

- Widzisz, jak urasta znaczenie tego surowca literatury! - powiedziałem do dziewczyny, która dotychczas siedziała zamyślona i nie brała udziału w rozmowie. - To ci chyba doda zapału w studiach.

- Przeciwnie. Odstępuje mnie wszystko, co trąci matematyką.

Bo też nigdy nie miałaś matematycznych zdolności - stwierdziła Klaudia. - A szkoda.

- Czy mam referować dalej ? - zapytał profesor. - Chyba już zanudziłem państwa.

.- Skądże! - rozległy się głosy.

- A więc przejdę do czegoś, co w pewnej mierze dotyczy mikrobiologii. Jak się okazuje, najsłabsza aktywność nerwowa wymaga uruchomienia milionów neuronów, czyli jednostek psychoenergii. Nawet pies uruchamia taką ilość neuronów, kiedy chce sobie coś przypomnieć. A weźmy pod uwagę, że każdy neuron może być użyty do niezliczonej ilości połączeń. I że nasz stos pacierzowy zawiera dziesięć miliardów neuronów. Rozumiecie państwo, jakie to niezmiernie pole obserwacji!

- Tego nie można sobie uzmysłowić - powiedziała Wanda.

- Ktoś zapytał Lhermitte'a: „Czy inteligencja ma swoją lokalizację w mózgu?” Wielki uczyony odpowiedział: „Nie. Myśl jest produktem całego mózgu, zupełnie tak, jak wynik obliczeń maszyny do liczenia jest rezultatem działania jej całości”.

- Interesujące - rzuciła w zamyśleniu Klaudia.

To całkowicie odmienia nasze pojęcie o materialnej strukturze mózgowej - ciągnął profesor. - Nie materia tu decyduje, tylko jakieś jeszcze nie zbadane układy połączeń matematycznych.

Pójdę na matematykę! - wykrzyknął Daniel. - Będzie ona królową wszech nauk, to jasne!

- A co z twoją chemią? - roześmiała się matka.

- Ukończę dwa wydziały - odpowiedział z niezachwianą pewnością siebie.

- No, moi dr odzy, sądzę, że dosyć na dzisiaj naukowych tematów - powiedział Bent. - Słyszałem, że podczas ostatnich wakacji na Korsyce ty, Edku, zrobiłeś znakomity film. Może

nam go zademonstrujesz?

Mój kuzyn, tego wieczoru nieco przygaszony, wyraźnie się ożywił. Salon szybko przemieniono w widownię, na jednej ścianie zawieszono spory ekran, przy ścianie przeciwnej ustawiono aparat projekcyjny. Edek pełnił funkcje mechanika.

- To mój reportaż z tegorocznych wakacji - powiedział wprawiając aparat w ruch. - Proszę o taryfę ulgową, nie jestem filmowcem. Ale kamerę mam pierwszorzędną, można powiedzieć, że pracowała za mnie: samoregułuje się z taką precyzją, że można nie troszczyć się o światło i ostrość.

Rozlega się akompaniament muzyczny, piosenki korsykańskie nagrane na magnetofon. Kolory filmu są znakomite, maksymalnie zbliżone do naturalnych. Krajobraz sprawia wrażenie dziewiczej ziemi nie tkniętej stopą człowieka.

Oto bezleśna skała, żółte kamienne urwisko, pieniaący się wśród głązów potok. Na szczycie znieruchomiała kozica uniósłszy głowę wypatruje czegoś w oddali. Nagle robi skok, kreśli olbrzymi łuk i znika za następną, brązową skałą... Zza dużego kamienia wysuwa się smukła sylwetka kobieca, niemal naga. To Klaudia w mini-opalaczu zanurza stopę w strumieniu, cofa ją, bo woda górską jest lodowata, znów muska połyskliwą powierzchnię koniuszkami palców. Kamera pieczołowicie rejestruje każdy jej ruch.

Oto zбочe porośłe rozłożystymi bukami, wiatr faluje listowie, z wierzchołka wysokiego drzewa sfruwa całe stadko kolorowych ptaków i znika gdzieś... Z ciemnej gęstwiny wyłania się brązowa sylwetka Klaudii. Idzie uśmiechnięta, na jej twarzy tańczą słoneczne promienie precedzone przez okap zieleni. Wznosi dłoń w żartobliwym geście powitalnym, jakby pozdrawiała tłumy na tym dzikim pustkowiu.

Oto pastwisko górskie, owce i barany z kręconymi rogami leniwie skubią trawę, podrzucają głowy o rozstawionych uszach, opędzając się od owadów. Pastuch śpi zmorzony upałem położywszy obok swoją strzelbę. Tylko olbrzymi owczarek czuwa nad stadem, przechadza się ociężale i na wszelki wypadek szczyrzy zęby... Klaudia zbliża się do niego, śmiało wyciąga rękę, głaszcze kudłaty łeb, psisko mruży ślepią z

blóгим wyrazem - może po raz pierwszy doznało od człowieka pieszczoty.

Oto dolina, łąka pełna kwiatów, za nią niebieskie jezioro o gładkiej tafli, nad wodą co chwila ulatują dzikie kaczki. Niebo bez chmurki razi oko nieprawdopodobnym błękitem, każe myśleć o ziejącej żarem południowej porze... Klaudia idzie przez łąkę, wdzięcznie schyla się zrywając rośliny, układa je w pełne naręcze, siada na trawie i wije wianek.

Oto podnóże góry okryte niskimi krzewami. Mirty rozkładają krótkie gałęzie o drobnych, twardych, ciemnych listkach, palmy-kałatki wyrzucają tuż nad króciutkim pniem wachlarze szarawych liści zakończonych kolczastymi ogonkami, niczym wystające z ziemi dłonie o długich szponiastych palcach. Klaudia w zamyśleniu przygląda się tym dziwolągom, na jej twarzy ciekawość walczy o lepsze z politowaniem.

Oto wybrzeże. Gaj cytrynowy nad półkolistą zatoką, zachodzące słońce barwi blade owoce na kolor pomarańczy, morze jest ciche, łagodne, jakby usypiające... Klaudia wychodzi z wody, błyszczące kropelki drżą na jej skórze, mokre włosy przykleiły się do kształtnej główki...

- Pełny katalog: mama i Korsyka - mówi zjadliwie Madlena.

- Bardzo piękny katalog - odzywa się Wanda. - Cóż ładniejszego mógł znaleźć tatuś, żeby ożywić pejzaż?

- Mnie - arogancko oświadcza dziewczyna.

- Akurat! - wybucha śmiechem Daniel. - Nie masz nóg ładniejszych od mamy.

- Ty przecież byłaś wtedy w Chamonix, córeńko - mówi łagodnie Edek. - Następnym razem pojedę na Korsykę z tobą, przyrzekam.

- Czas najwyższy - mruczy pod nosem dziewczyna.

- Mój Boże, czy nie mogłabyś być mniej zawistna? - mówi cicho Klaudia, głos jej leciutko drży.

Wanda ujmuje się za słabszym:

- To nie zawiść, to niecierpliwość. Młodzi zawsze śpieszą się, chcieliby mieć wszystko od razu...

- Czy długo uczyłeś się posługiwać kamerą? - pytam Edka.

- Wy tłumaczono mi rzeczy elementarne, tego starczyło. Do

takiego aparatu nie potrzeba żadnych umiejętności.

- Przecież nie sam aparat dobierał obiekty do filmowania?

- O, z tym nie miałem kłopotu. Korsyka jest tak piękna, że każdy obiekt w każdym ujęciu wypada znakomicie.

- W każdym razie zrobiłeś doskonały reportaż, mój drogi - powiedział profesor. - Nie umniejszaj swoich zasług.

Może dlatego, że byłem tego dnia poirytowany, wydało mi się, że atmosfera w salonie ma w sobie coś sztucznego. Zamyśliłem się i zgubiłem wątek rozmowy. Ocknąłem się, kiedy Daniel trącił mnie w ramię:

- Chodź ze mną, pokażę ci moje laboratorium.

Zgodziłem się chętnie.

Jego pokój jest duży, przy oknie stoi szklana szafka, na przeroczystych półkach chemikalia w różnobarwnych opakowaniach wyglądają jak zawieszony w powietrzu. Na dole szafy są kolby, strzykawki, probówki, kroplomierze i mnóstwo innych przyrządów. Pod oknem wąski długi stół z białym plastikowym blatem.

- Tu robię swoje eksperymenty - powiada Daniel z dumą.

- Czy dużo poświęcasz na to czasu?

- Jak kiedy. Zdarza się, że w ciągu jednej niedzieli udaje mi się przeprowadzić do końca całe doświadczenie, innym razem męczę się przez tydzień - i nic z tego.

Rozejrzałem się naokoło. Na ścianach, nad tapczanem, na szafie ściennej wisiały kolorowe plakaty i fotosy, jak to się widzi w chłopięcych pokojach również i w Polsce. Zaciekał mnie jednak wybór obrazów.

Nad tapczanem zawieszono kadr z „Czerwonej pustyni” Antonioniego: prawie czarne pole, nad nim mroczny granat nieba, na horyzoncie szkarłatny skrawek wschodzącego słońca - wokół żywej duszy, tylko na lewym skraju zdjęcia pasmo czarnych włosów z niewidzialnej głowy. Wiało od tego niepojętą grozą

Szafę zdobi wizerunek Tarzana z najnowszego przeboju „Ostatnie tango w dżungli”. Muskularny młodzian przepasany tygrysią skórą walczy na śmierć i życie z ogromnym wężem boa, który owinał jego nogi. Obok reklama rosyjskiego lokalu

„Rasputin” na Polach Elizejskich, z której spozierają hipnotyczne oczy słynnego obłąkańca i rozpustnika, pełne groźnej determinacji. Tryptyk uzupełnia zdjęcie Rogeia Moore’a z filmu „James Bond”: uczepony brzegu wątłej łódeczki, bohater wznosi się na grzbiet fali, naokoło zaś wynurzają się szeroko rozwarte paszcze aligatorów.

- Widzę, że lubisz dreszczowce? - zapytałem.

- Owszem, dają się oglądać. Ale ostatnio popsuly się, tak samo jak porno. Stają się zbyt naiwne. Na przykład to - pstryknął w nos nieustraszonego Jamesa. - Z góry wiadomo, że facet wyjdzie cało z każdej opresji. Ale ten przynajmniej ma fantazję, jego przygody są niesamowite.

Spojrzałem na bratanka uważnie. Sporo było w jego słowach brawury, ulegania modzie, ale - czy sam nie miał takich upodobań? Ta myśl mignęła w mojej głowie i szybko zniknęła.

Obejrzałem też półeczkę z książkami, nader skąpo zaopatrzoną; wypełniały ją prace popularnonaukowe z chemii.

- Nie przepadasz za literaturą piękną? - zapytałem.

Machnął lekceważąco ręką.

- Szkoda na to miejsca. Co mnie interesuje, pożyczam od mamy.

Powróciliśmy do salonu. Dyskutowano tam nad problemem pasjonującym całą Francję: czy znieść zakaz skrobanek?

- To problem szerszy, problem socjalny - niespodziewanie odezwał się Maks. - Są rodziny, które mają za niskie zarobki, żeby mogły sobie pozwolić na chowanie kilkorga dzieci. Trzeba pozostawić im wolność decyzji.

- W ogóle uważam, że to hipokryzja - wtrąciła Madlena. - Z jednej strony czuła troska o embriona, który jeszcze nie jest człowiekiem, z drugiej - zupełna obojętność dla ludzi określonych kategorii. Kogo obchodzą ohydne warunki, w jakich żyją u nas Algierczycy czy Murzyni? Wykorzystuje się ich do najbardziej ciężkich i brudnych robót, to rzecz normalna.

- No, jednak porusza się tę kwestię - zauważyła Wanda.

- Gdzie, w telewizji? Owszem, pokazują czasem, jak całe ich rodziny mieszkają w jednym pokoju: gotują na naftowej kuchence, wodę przynoszą w wiadrach, bieliznę suszą nad



głowami dzieciaków - można pomyśleć, że to się dzieje w jakimś niecywilizowanym kraju!

- Chciałabyś być sprzątaczką w metrze? - rzuciła sarkastycznie Klaudia.

- Może i chciałabym! - odparła zaczepnie.

- Byłabyś wyjątkiem - spokojnie powiedział Maks. - Nikt z Francuzów nie życzy sobie paskudzenia się przy takiej robocie. Od tego właśnie są kolorowi.

Zapadła cisza, jak gdyby wszyscy poczuli zniechęcające zmęczenie.

- Muszę bieć, bo się spóźnię na ostatni pociąg - powiedział Maks wstając.

Dochodziła jedenasta.

- Podrzucę pana na dworzec - zaproponowała Klaudia.

- Na piechotę pan już nie zdąży.

Ledwo miał czas, by wszystkich pożegnać.

Madlena wyszła przed dom i patrzyła, jak lśniący Volkswagen jednym susem zarył się w ciemność i zniknął na zakręcie. Stałem w otwartych drzwiach hallu.

- Dobranoc - rzuciła mijając mnie i, nie zaglądając do salonu, szybko poszła do siebie.

Niedługo potem odjechał profesor własnym wozem. Wanda zabrała się do sprzątanego, pomagałem jej.

„Zmywanie naczyń należy do mężczyzn” - głosi reklama wspaniałej maszyny, która zdobi kuchnię Charmierów. Przekonałem się, że to najmniej uciążliwa praca: wkłada się do odpowiednich otworów talerze odnośnej średnicy, naciska się guzik - i mężczyzna może odejść z poczuciem spełnionego obowiązku.

Po wielce urozmaiconym dniu z przyjemnością znalazłem się w łóżku, ale nie mogłem się odprężyć. Opadły mnie warszawskie troski, przypomniały się sprawy nie załatwione, do których przyjdzie niezwłocznie powrócić z końcem podróży. Nie mogłem tym przejąć się tak, jakbym był w Polsce, wystarczająco jednak, żeby odegnać sen. Kręciłem się z boku na bok, zapalałem i gasiłem światło, liczyłem do stu, do dwustu - wszystko na nic. W końcu wyszedłem do kuchni, żeby napić

się zimnej wody, i natknąłem się na Klaudię, która czegoś szukała w szafce.

- Nie śpisz jeszcze? - zdziwiła się.

- Jakoś nie mogę dziś zasnąć. Pewnie w atmosferze jest jakaś zmiana ciśnienia.

- Ty też jesteś na to wrażliwy? - ucieszyła się, spotkawszy pokrewną duszę. - Ja już wzięłam swój proszek nasenny, a jeszcze nie poskutkował.

- Co bierzesz?

- Tubinal. Bardzo dobry środek, nie zostawia nazajutrz zamroczenia. Macie to w Polsce?

Obejrzałem pudełeczko z czerwono-turkusowymi kapsułkami, spoczywającymi każda w swoim wgłębieniu.

- Owszem, importujemy ten lek. Jak często go zażywasz?

- Co wieczór.

- Fatalne przyzwyczajenie, moja droga. Każdy lek przy systematycznym użyciu staje się szkodliwy, co dopiero proszek nasenny!

- Chyba masz rację, ale ja już bez tego bym nie zasnęła. Przecież muszę punktualnie zjawiać się w biurze, nie wolno mi zasnąć. Spróbujesz? - zaproponowała.

- Nie, dziękuję. Mam uprzedzenie do wszelkich proszków.

Położyłem się znów i w ciszy nocnej długo rozmyślałem o minionym dniu. W kalejdoskopie obrazów przepływających pod zamkniętą powieką jeden powracał z niepokojącym uporem. Chłopiec. Ten Maks. Cały wieczór prawie się nie odzywał, jadł mało, a dużo pił, co wcale nie poprawiało mu humoru. Był jakby wyłączony z towarzystwa, z twarzy jego nie znikał wyraz czujnej uwagi, orzechowe oczy wciąż jakby oglądały coś niemilego. Może zadawał sobie pytanie: co robi wśród tych zupełnie obcych mu ludzi? A przecież przyszedł tu dobrowolnie, jak sędzę.

I obok niego Madlena. Ta kapryśna, nieobliczalna, zbuntowana dziewczyna, skora do impertynencji i wyskoków - znieńska uciszona, spokomiała, niemal anielska. Taka zwykła zakochana gąska. Śmieszne doprawdy i smutne zarazem. A właściwie - dlaczego smutne? Jeżeli jej z tym dobrze...

Wszystko zaczęło się mieszać. Małpiszon podskakiwał na kolanach profesora Benta trajkocząc w nie znanym mi języku, aligatory uganiały się za Rasputinem, Tarzan mrugał do mnie dusząc Monikę Vitti...

„Och, Danielu, Danielu, chłopcze przewrotny...” zdążyłem jeszcze pomyśleć, kiedy łóżko wjechało na jakąś falę, która przyjemnie kołysząc się unosiła mnie w sen. Znalazłem się wśród innych ludzi, w innym mieście. Pewnie w Warszawie.

## **Rok się kończy**

W parę dni później Wanda zaprosiła mnie na obiad w małej restauracyjce, gdzie zwykła była jadać podczas przerwy w pracy. Lokal mieścił się w pobliżu jej księgarni, za metrem La Murette. Było tam czysto i przytulnie, goście należeli przeważnie do bywalców. Wandę powitano jak miłą znajomą, obdarzając życzliwością i mnie.

- Przyjmuję tu często swoich przyjaciół - powiedziała ciotka. - Wybrać się do Ville d'Avray to dla nich całe przedsięwzięcie, nie każdy może sobie na to pozwolić. A ja jestem poza domem pięć dni w tygodniu, od ósmej rano do ósmej wieczorem: czy mogę wykroić czas na wizyty? Nawet do kina i do teatru chodzę rzadko, muszę zadowalać się telewizją.

- I tak podziwiam twoją energię!

- W wolne dni, niedzielę i poniedziałek, mam w domu też sporo roboty. Ale cóż bym robiła bez zajęć?

- Nigdy nie umiałaś odpoczywać beczynnienie. Wyglądasz znakomicie, ale sama mi przypomniałaś, że ukończyłaś siedemdziesiąt lat, więc musisz się trochę oszczędzać.

- Gdy jestem bardzo zmęczona, przyjeżdża po mnie Filip i zabiera na kilka dni do siebie. U nich jest spokojniej, tam lubię spędzać czas w ogródku. Mają śliczny domek, mniejszy niż Edkowie, ale bardzo oryginalnie urządzone. Póki jeszcze nie urodziło się maleństwo, panuje tam cisza. Leżę sobie w hamaku i czytam.

- Powiedz, ciciu: nigdy cię nie brała ochota, żeby zamieszkać

z Filipem? Pamiętam, jak go kochałaś, wprost zachłannie; powiedziałbym, że z ujmą dla Edka. Przepraszam.

- Nie szkodzi, przecież masz rację. Kochałam i kocham go, jak mówisz, zachłannie - ale też kłócimy się często, jak para kochanków. On jest niemożliwy we współżyciu, straszliwy egocentryk, liczy się tylko ze sobą. Nie wiem, czy Helena da sobie z nim radę. Mam nadzieję, że przynajmniej jej nie zdradza. Bo, wiesz, on od wczesnych lat był kobieciarzem.

- Wiem.

- No właśnie. Mam wrażenie, że pod tym względem się ustatkował, chwała Bogu!

„Nie bardzo!” - pomyślałem przypomniawszy sobie Wilię.

- Może duchowo mam z nim więcej wspólnego niż z Edkiem, który jest taki trzeźwy, praktyczny, cały „na ziemi”. Filip natomiast jest artystą.

- Moim zdaniem, mógłby być prawdziwym malarzem. Szkoda, że się marnuje.

- Kiedy to artysta z talentem, ale bez pasji artystycznej

- westchnęła. - Zanadto lubi pieniądze... Nie, Ludwisiu, nie żałuję, że zamieszkałam z Edkami. Zresztą ich też nie obciążam, mam własny kąt i własne zajęcia. Czy smakuje ci poledwica? Jest wyjątkowo miękka i soczysta.

Była znakomita, ale przyznam się, że już mnie znudziły rozmowy o znakomitym jedzeniu - widocznie zbyt szybko do niego się przyzwyczaiłem.

- Za parę dni opuścisz nas, przeniesiesz się do Paryża - powiedziała ciotka ze smutkiem. - Gdzie zamieszkasz?

- Nie wiem jeszcze i trochę tym się martwię. Hotele u was są cholernie drogie, a ja mam mało dewiz.

- Zaraz zadzwonię do mojej dobrej znajomej, pani Deniac, właścicielki małego hoteliku na Montpamassie. Nie będziesz tam miał żadnych luksusów, ale jest czysto, spokojnie, no i niedaleko metra Pemety, tak że właściwie w centrum miasta. Zarezerwuję ci pokój... od kiedy?

- Od trzydziestego pierwszego grudnia, jeżeli można.

- A Sylwester?

- Sylwestra już nie będę mógł świętować, nazajutrz mam

umówione spotkania z kolegami.

- Zaraz zatelefonuję do pani Deniac - powiedziała wstając od stołu.

Wróciła rozpromieniona:

- Będziesz miał pokoik na czwartym piętrze, za trzysta franków dziennie.

- Za dwa i pół dolara? Cudownie! Zaoszczędzę tym sposobem co najmniej pięć dolarów dziennie na inne wydatki, będę mógł przywieźć przyjaciołom drobne upominki.

- Nie ma tam oczywiście windy, ale cóż to dla ciebie znaczy, jesteś młody i zdrowy. Powtarzam, to hotelik bardzo skromny, pani Deniac nie ma służby, pomaga jej tylko córka, która ma własny dom i dzieci. Jednak zawsze jest dobrze posprzątane.

- Jestem ci ogromnie wdzięczny, ciociu, wybawiłaś mnie z kłopotu. Byłem przygotowany na to, że wszystkie dewizy wydam na hotel!

- A więc możesz się czuć jak człowiek zamożny. Dokąd teraz pójdziesz? Bo ja już wracam do księgi.

- Zajrzę do muzeum Marmottan, to przecież parę kr oków stąd. Lubię Moneta, niedawno rozmawialiśmy o nim z Madleną.

Byłem ciekaw tej wystawy, otworzonej dopiero w 1971 roku. Zbiory składają się z darów Michela Moneta, syna artysty, zawierają ponad sześćdziesiąt nie wystawianych przedtem płócien mistrza, przeważnie z ostatniego okresu. Ponadto są tam obrazy jego słynnych przyjaciół, które tamci mu ofiarowali.

Muzeum Marmottan mieści się na zacisznej uliczce Louis-Boilly. Nie docierają tu hałasy uliczne ani głosy rozkrzyczonej dzieciarni z pobliskiego skweru, gdzie stoi karuzela i kursują małe samochodziki tudzież osiołek z kolorowym siodłem. W salach jest mało zwiedzających, można spokojnie się skupić.

Zatrzymałem się przed portretem Moneta pędzla Seve- raka z roku 1865: młoda, pochmurna twarz bez zarostu, długie włosy, oczy spoglądające z jakimś wyniosłym oczekiwaniem. Taki był, kiedy gościł w Ville d'Avray u Coro ta. Wyobraziłem go sobie na dobrze mi znanej uliczce i postać malarza od razu nabrała żywszego wyrazu.

Zwróciłem uwagę na prace przyjaciół Moneta. Oczarował mnie Renoira portret Vittoriny de Bellio, jej półuśmiech nieśmiały i bardzo czarne oczy istoty młodziutkiej, trwożliwej. Pissarro odmalował bulwary w śniegu, przechodniów za lekko ubranych, kulących się z zimna, biegnących przez mgiełkę bezsłonecznego dnia zimowego.

I znów portret Moneta, późniejszy. Karol Duran ukazał go jako czarnego brodacza: spod gęstego wąsa tryska niepokojąca czerwień ust, ciemne oczy patrzą z uporem, przenikliwie. Wtedy jeszcze nie miał pieniędzy na wynajmowanie modeli, pozowali mu przyjaciele i żona.

W następnych salach są już tylko jego płótna. Długo stoję przed olejnym obrazem „Most w Vervit”. Ciężkimi rzutami farby zaznaczone brzegi rzeczki górskiej w gamie granatowo-brązowo-niebieskiej, z rażąco białym rozbryzgiem piany. Na górze wąski most, blisko wody przycupnęło kilka małych domków, jakby zbiegłych z pobocza lesistej góry. Wszystko razem zasnute oparami późnego zmierzchu. Miejsce dzikie, piękne, odludne.

W środku jednej z sal stoi okrągły stół ze szklaną pokrywą, na nim binokle w srebrnej oprawie, pióro z różowym opierzeniem (flaminga?), fajeczka z terakoty, robocza paleta zapaćkana farbami. I pisane tym piórem listy, przeraźliwie jednostajne w treści: wołanie o pieniądze.

Przy tym stole zatrzymuje się małżeńska para z chłopcem może piętnastoletnim. Matka odczytuje na głos:

„Drogi panie, jestem w skrajnej potrzebie, nie mam ani centyma gotówki i nie wiem, gdzie ją zdobyć... Czy interesowałoby pana nabycie dwóch szkiców za sto pięćdziesiąt franków?”

- Widzisz, Henryku - komentuje dama - w jakiej nędzy żył ten utalentowany malarz!

- Bo głupcy nie znają się na dobrym malarstwie - stwierdza chłopiec.

- To było sto lat temu. A teraz sam widzisz, jakie ładne muzeum urządzili dla pana Moneta

- Bo już nie żyje. Teraz tak samo nie ceni się prawdziwych

talentów, coś o tym wiem!

- Jakież ty znasz prawdziwe talenty, które klepią biedę? - wtrąca się ojciec.

- Znam brata mojego kolegi. Zbieramy dla niego kamyczki nad Sekwaną i różne szkiełka na ulicach, on to wszystko pakuje na swoje płótna. I stłuczone garnki, i strzępy szmatek, i gwoździe, i sznurki...

- To mają być obrazy? - oburza się dama.

- No właśnie! Ignoranci nie rozumieją, że to nowoczesna sztuka.

Rodzina oddała się kontynuując dyskusję, ja zostaję przy oszklonym stole. Patrzę na wypłowiałe kartki, które pan Monet rozsyłał na wszystkie strony w poszukiwaniu paru franków niezbędnych do nabycia jedzenia, płótna i farb. Atrament miejscami tak zżółkł, że nie da się odczytać poszczególnych wyrazów.

Ruszam w dalszą wędrówkę. Oto pejzaże w szaroniebieskiej zadymce: „Verteuil we mgle”, „Mgła nad portem w Hawrze”. Na tym ostatnim miedziana kula słońca odbijając się w morzu rozcina całą płaszczyznę ognistą klingą. A oto słynny „Parlament w Londynie”, to już sama niebieskawa zieloność, gmach jakby niematerialny, cały z zielonkawoszarych cieni, usadowiony wprost na księżycowej smudze rozesłanej szeroko na placu.

I jakby to odrealnienie jeszcze artyście nie wystarczało, „Most Charing Cross”. Supersymfonia wszelkiej różowo- niebieskawej mgławicowości. Na widmowym moście zbliżające się ku sobie pociągi ze snu, za nimi w różne strony ścielą się smugi dymu niczym rozwiane ogony balowe jakichś niewidzialnych tancerek.

Tak odrealniony obraz tworzył malarz tam, gdzie ręka człowieka urządziła świat dla siebie. Inaczej malował naturę od człowieka uwolnioną. Z niesłabnącym zapałem oddawał się studiowaniu materii roślinnej, powtarzał swoją wizję w różnych tonacjach i zestawach świetlnych. Pejzaż nocny to granat, fiolety, niemal czarna zieleń. Pejzaż dzienny to żar słoneczny, prężące się kwiaty na mięsistych lodygach, mające w

sobie coś krwiożerczego, jakąś żądzę okrutną, nienasyconą.

Zapatrzenie się w świat roślin. Kwiaty, całe ukwiecone gałęzie, zielen we wszystkich odcieniach. Zmysłowe spojrzenie artysty na to królestwo soków napinających tkanki, na tę zaborczą walkę o przestrzeń, na te przekrzykujące się barwy. Ogromna rozpiętość nastrojów - od lirycznej kontemplacji do wścieklej zawiści o żywotność, o stałą regenerację, o wieczne odrodzenie.

Niestrudzone studium natury. Obsesja.

Opętanie najwyższego stopnia ogarniało go na widok nenufarów. Zafascynowany ich bujnym podskórnym życiem, wędrówką ich soków, modulacjami ciepłych barw na zimnej tafli wodnej, za każdym razem stawał w oszołomieniu wobec nowej kombinacji kolorów, odcieni, konturów, załamania światła i ulegał imperatywnej potrzebie: utrwalić to wszystko, dowieść naturze, że ma ry wala.

Przypomniał mi się jego list do przyjaciela:

„Podjąłem się rzeczy nieosiągalnych: namalować wodę z falującymi w jej głębi roślinami... Rozkoszą jest na to patrzeć, ale męczarnią - próbować oddać to na płótnie!!!”

Przed odejściem zatrzymałem się przy dużym obrazie. Pejzaż nocny: staw, w mroku gdzieniegdzie rozbłyskują szkarłatem nenufary, płoną jak znicze, chciałyby się powiedzieć - krzyczą. Opętanie! Niemal czułem je we własnych żyłach, idąc niepewnym krokiem ku wyjściu.

Za kontuarem przy ladzie urzędniczka muzeum proponowała mi albumy i reprodukcje. Wiedziałem, że nie będę mógł kupić, ale obejrzałem uważnie.

Mój ty Boże! Dobrze, że sprzedaje się te kopie tuż po obejrzeniu wystawy. Kontrast z oryginałami jest rażący. Gdy się ma jeszcze pod powieką te barwy i linie, tę nieustępliwą walkę z matką naturą, która nie chce artyście się poddać, ten obraz jego rozpaczliwych zmagania z własną zachłannością - jakże żałosne wydają się naśladownicze reprodukcje, które zgubiły wszystko, co najistotniejsze!

- Czy spodobała się panu nasza wystawa? - zapytała urzędniczka.



- Jest znakomita! - odpowiedziałem najbanalniej jak mogłem i wyszedłem na ulicę.

Skwer opustoszał, dzieci pewnie udały się na podwieczorek. Karuzela, zatrzymana w ruchu, wyglądała smętnie, osiołek zniknął.

Usiadłem na ławce, żeby ochłoniąć z wrażeń. Po chwili zauważyłem o parę ławek dalej siedzącą parę. Mężczyzna ramieniem otoczył szyję kobiety i przytulił głowę do jej barku, ona głaskała jego włosy. Wpatrzeni w siebie, nie widzieli nikogo więcej...

Chciałem dyskretnie odwrócić się, kiedy coś w sylwetce kobiety zwróciło moją uwagę. No tak! To była Klaudia. A obok niej Maks.

Przez dłuższy czas siedziałem w oszołomieniu. Potem podniosłem się i oddaliłem niemal na palcach.

Tamci się nie odwrócili.

Idąc miałem przed oczyma ogniste nenufary, buchające w czerni nocy nieprzytomnym szkarłatem.

---

---

- Czy tak było naprawdę? - nagle odezwał się Tadeusz.

- O co pytasz?

- No, z tym chłopakiem i Klaudią.

- Przecież opisuję prawdziwe zdarzenia - powiedział Ludwik.

- Gzili się na skwerze, nie wstydząc się przechodniów?

- W Paryżu to normalne zjawisko, nikt rozsądny nie zwraca na to uwagi, gorszą się tylko kołtuny.

- A jednak...

- Umówiliśmy się, Tadziu, że nie będziesz mi przerywał lektury.

- Przepraszam. Poniosło mnie. Ta Klaudia...

- O co ci chodzi?

- Stara baba leci na młodzieniaszka Paskudztwo!

- Jakaż ona stara? Ma czterdzieści parę lat, różnica wieku między nią a kochankiem nie ma znaczenia.

- Był jej kochankiem?

- Tak. Widocznie odpowiadała mu lepiej niż młodziutka Madlena. Tajemnice seksu. Ale proszę cię, Tadiusi, miej cierpliwość, do końca rozdziału zostało już kilka stron.

- Dobrze, dobrze, Bobuś, jeszcze raz przepraszam. Czytaj dalej.

---

---

Nie chciało mi się wracać do domu. Błąkałem się po ulicach paryskich, gapilem się na wystawy sklepowe i na reklamy kin, wstępowałem do jakichś sklepików, kupowałem jakieś drobiazgi, które zaraz potem gubiłem.

Czułem niepokój. Zadzzwoniłem do Wandy, że nie przyjadę na kolację, zjadłem parę kanapek w małym barze, pozwoliłem sobie też na kieliszek koniaku. Nie polepszyło to mojego stanu ducha.

„Do diabła, co mnie to wszystko obchodzi? - rozzłościłem się w końcu. - Historia najbanalniejsza, szkoda tylko dziewczyny. Ale przecież nie uchroni się jej przed takimi niespodziankami. Zresztą, może nie dowie się prawdy”.

Było po jedenastej, gdy wysiadłem z pociągu na peron Ville d'Avray. Szedłem powolnym krokiem w nadziei, że wszyscy już będą spali. Za ogrodzeniem czekał na mnie Sokrates. Nie zamerdał ogonem, kiedy go pogłaskałem, odprowadził mnie tylko do wejścia z rezerwą osoby pełniącej obowiązki służbowe. Taki widać był zawsze podczas nocnego czuwania.

Na stoliku przy łóżku znalazłem talerzyk z owocami i ciastem, postawiła go czyjaś przyjazna ręka. Uśmiechnąłem się po raz pierwszy od chwili, kiedy opuściłem muzeum Marmottan.

\*\*\*

Pozostały już tylko dwa dni do mojego wyjazdu. Konferencja paryska rozpoczynała się w poniedziałek siódmego stycznia, ale miałem do załatwienia wiele innych spraw.

Szczerze mówiąc, nie żałowałem, że wyjeżdżam, byłem nasycony urokami Ville d'Avray i kontaktem z krewnymi.

Madlena ostatnio wyraźnie unikała mnie, była skupiona i milcząca. Rad byłem, że nie muszę z nią rozmawiać, bo chcąc ukryć, że wiem o zdradzie jej ukochanego, skazany byłbym na to, by kluczyć i kłamać. Chwilami wydawało mi się, że dziewczyna sama zgaduje tę tajemnicę; może ktoś naprowadził ją na podejrzenie.... ale kto?

Na przykład Daniel. Chłopak złośliwy, wszędobylski, z duszą kapusia, jak twierdzi Madlena. Jaki miałby w tym interes? Dokuczyć siostrze, to byłby powód wystarczający. „Ale na pewno krzywdzę go takim przypuszczeniem” - powiedziałem sobie.

Rozmowy z Klaudią były dla mnie krępujące. Nadal była przyjazna, gościnna, olśniewająca urodą i wdziękiem. Wprost promieniała wewnętrzną radością kobiety kochanej i kochającej, a ja dobrze rozumiałem, że o czymkolwiek mówi, myślami krąży daleko - tam, gdzie skupia się teraz jej życie prawdziwe.

Krępowałaby mnie i rozmowa z Edkiem, który też się zmienił ostatnio, stał się mrukliwy, na długo zniknął z domu, tak że widzieliśmy się tylko przy posiłkach. Słowem, w ciągu dwu tygodni pogodna aura tego domu zamieniła się w przedburzową.

Ostatniego wieczora przed Sylwestrem poszedłem po kolacji do siebie tłumacząc się tym, że muszę przejrzeć tekst swojego i-eferatu. Rzeczywiście wyciągnąłem maszynopis z teczki, lecz nie zdążyłem rozpocząć lektury, bo w drzwiach stanął Edek z butelką koniaku i kieliszkami.

- Przepraszam - powiedział dość niewyraźnie. - Czy bardzo ci przeszkadzę, jeżeli wstąpię na chwilkę?

- Oczywiście, że nie. Proszę bardzo.

Postawił koniak na stole i opadł ciężko na fotel.

- A więc wyjeżdżasz - powiedział po dłuższej chwili. - Szkoda.

- Cóż zrobić,...

- Obowiązek, rozumiem. Zawsze ten przekłety obowiązek! Ale ma on i dobre Strony... Napij się ze mną.

Pociągnąłem z kieliszka. Widziałem, że mój kuzyn jest porządnie wstawiony, bo dużo pił przy kolacji.

- Czy tak bywa z tobą - podjął znów - że znienacka, nie wiadomo skąd i dlaczego, wszystko naokoło zaczyna cię mierzić? To wszystko, do czego od lat się przyzwyczyłeś, co nawet, jak ci się wydawało, lubiłeś, a w każdym razie uważałeś za niezbędną część twojego życia? Powiedz, bywało tak z tobą?

- Myślę, że chwile takiego zniechęcenia zdarzają się każdemu - zrobiłem unik.

- Nie pytam o każdego. Tobie coś podobnego się zdarzało?

- Owszem.

- No, to zrozumiesz mnie. Jestem u szczytu tego zniechęcenia. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz mnie to naszło, ale nigdy z taką mocą. Ot, trochę psuł mi się humor, przestawały się podobać rzeczy zazwyczaj miłe, własne nawyki zaczynały wydawać się dziwaczne. Pamiętam, że nie robiłem z tego tragedii, prowadziłem dalej ten sam tryb życia, chociaż wewnętrznie się zżymałem. Po pewnym czasie powracałem do normy, jak gdyby nigdy nic. Teraz co innego.

Unikałem zadawania pytań.

- Pewnie i teraz prędko ci przejdzie - powiedziałem.

- Nie. Czuję, że nie. Teraz coś we mnie, w samym środku przesunęło się i nie chce wrócić na miejsce. Jakaś sprężynka pękła. Po obrzydzeniu, jakie odczułem do wszystkiego, co uważałem za godne zachodu, rozumiesz... co budowałem własnymi rękami albo wydawało mi się, że własnymi... bo moje chęci nie zawsze były moimi...

Nalał sobie nowy kieliszek.

„Och, Francuziku, odezwała się w tobie krew słowiańska. Rozdrapywanie ran, wynurzenia...” - pomyślałem i sięgnąłem po papierosa. Wizyta nie zapowiadała się na krótką. Edek miał ruchy niepewne, palce mu lekko drżały.

- No więc - powiedział odstawiając kieliszek. - Zastanawiam się: co czuje na pół ślepy człowiek, który od dawna żyje w świecie zamazanym, ledwo widocznym, a który tak do tego się przyzwyczył, że doskonale w tym świecie się porusza... rozumiesz? Już znalazł tam swoje miejsce, dostosował się, ma swoje przyjemności i chce tylko, żeby nic nie zmieniło się na gorsze. Aż pewnego dnia zdejmują mu kataraktę... wyobrażasz

sobie? Niczego poznać nie może, wszystko jest inne, wszystko go razi, czuje się zagubiony, widzi, że zabrnął tam, dokąd nie zmierzał. Skąd tu się wziąłem, pyta Siebie. I jednego pragnie: uciekać, uciekać... Oto jak dzisiaj się czuję.

„Dowiedział się o romansie Klaudii z Makssem - wyczułem z nagłą pewnością. - Prawdopodobnie nie jest to pewnie pierwsza jej zdrada.”

- Zapędziłeś się, Edku, to nastrój chwilowy - powiedziałem obłudnie, by zapobiec dalszym zwierzeniom. - Jesteś przywiązany do swojego domu, do rodziny, do pracy.

- Przywiązany, właśnie! W sensie przymusu. Uwiązano mnie raczej, bo od dzieciństwa byłem karygodnie potulny. Czy ja wiedziałem, czego chcę? Nie dawano mi czasu, żebym sobie to uprzytomnił. Ojciec był lekarzem, więc i ja poszedłem na medycynę. Klaudia chciała rodzić, więc mamy dzieci...

- No, Klaudię sam sobie wybrałeś.

- Nieprawda, to ona mnie wybrała. W Wenecji, gdzie razem spędzaliśmy wakacje i gdzie nawiązał się między nami romansik, przez pewien czas łudziłem się, że w każdej chwili możemy się rozstać, że nic nas nie wiąże oprócz uczucia. Kiedy zaszła w ciążę, nawet pytała mnie, czy chcę mieć dziecko - pewnie dla przyzwoitości pytała. A mnie nie wypadało namawiać jej na skrobankę. Póty hamletyzo- wałem, aż zrobiło się za późno na zabieg. Tak Klaudia postawiła mnie i naszych rodziców przed faktem dokonany.

- Chyba nie żałujesz tego?

- Masz na myśli rolę, jaką odegrała żona w moim kształceniu się zawodowym, w osiągnięciu naszego dobrobytu i pozycji towarzyskiej? Temu nie przeczę, ale wcale nie jestem pewien, czy akurat to było mi potrzebne do szczęścia.

- Mam na myśli przede wszystkim wasze dzieci. Madlena...

- Madlena to rozdział osobny. O Madlenie jeszcze będzie mowa.

- A Daniel?

Roześmiał się zgryźliwie. Już przedtem zauważyłem, że w stanie nietrzeźwym staje się agresywny.

- Daniel to drugi Filip, egoista i cynik, tylko bez artys-

tycznego polotu mojego brata. I chyba od niego głupszy, za to bardziej zarozumiały. Ojca ma w nosie, w ogóle nikogo w rodzinie nie kocha, umie tylko wkradać się w łaski mamusi, o, jeszcze jak umie! Czy sam tego nie zauważyłeś?

Wzruszyłem tylko ramionami.

- Syn to pięta achillesowa mojej małżonki, kobiety pod każdym względem mocnej. Z lękiem myślę o tym, co z niego wyrośnie. Chłopcy jego pokolenia są bardzo bezwzględni, a że jest on nastawiony na sukcesy za wszelką cenę, będzie bardzo podatny na negację hamulców moralnych, lansowaną teraz w środowiskach młodzieżowych.

- Przecież nie wszystkich? Chyba koloryzujesz.

- Niestety nie. Przystępczość zwiększa się wśród dorastającej młodzieży nie tylko we Francji, słyszałem, że i u was nie jest pod tym względem w porządku.

- Owszem.

- U nas sytuacja staje się wręcz groźna, szczególnie wśród młodzieży z zamożnych domów. Działa tu chojracy- two, chęć sprawdzenia siebie w „mocnym czynie”, zachęta kolegów... W Ville d'Avray jest względnie spokojnie, dopiero w Paryżu zobaczysz, co się dzieje wieczorem w ciemnych uliczkach! Wyrrywają torebki Starszym kobietom, gwałcą młode, biją do nieprzytomności mężczyzn bezbronnych, żeby odebrać im portfel, a niekiedy bez żadnego powodu, po prostu żeby się popisać. Zdarzają się też mordy...

- Ponosi cię fantazja. Daniel jeszcze przez kilka lat zostanie z wami w Ville d'Avray..

- Niepokoi mnie, że lubi towarzystwo starszych od siebie. Przy tej przewadze wieku mogą od niego żądać różnych świadczeń... Zresztą, masz rację, za wcześnie na takie zmartwienia.

Znów nappełnił swój kieliszek.

- Po przyjeździe na pewno pomyślałeś, że znalazłeś się w cichej przystani, przy wymarżonym ognisku domowym. Tak?

- Racja.

- Do dziś tak myślisz?

Wahałem się chwilę.

- Dostrzegam pewne pęknięcia... pewne zgrzyty... czy ja wiem?

Znów się roześmiał.

- Łagodnie to określasz. Nasze ognisko to dekoracja, nic więcej. Wszystko trzyma się na pozorach. O, w budowaniu pozorów moja małżonka jest rekordzistką! Czy zauważyłeś, jaka jest troskliwa wobec mojej matki? A przecież mama jej się zwyczajnie boi. W sobotę, kiedy Klaudia ma dzień wolny, mama najczęściej nie wraca do Paryża, zostaje u kogoś z przyjaciół. Zauważyłeś chyba, że prawie nie otwiera ust przy wspólnych posiłkach, chociaż jest na ogół bardzo rozmowna.

Stwierdziłem w duchu, że ma rację.

- Dzieci przychodzą do niej, zanim Klaudia wraca z pracy. Babcia zawsze ma dla nich łakocie, oboje to lubią. Ale matce nie powiedzą o tych odwiedzinach.

Zamilkł paląc papierosa. Kiwał się, a cień za jego plecami wznosił się i opadał; te falowania szarej plamy na ścianie wpędzały mnie w senność, którą usiłowałem ukryć.

- Z mamą na pewno masz dobre stosunki - rzuciłem, żeby przerwać milczenie.

- To też pozory. Nigdy nie byłem jej ukochanym synem, beniaminek to Filip. Po zgonie ojca marzyła w skrytości ducha, że zamieszka razem z nim. Ale Filip na to za sprytny, żeby do takiej rzeczy dopuścić, po co mu to było? I mama nadrabia miną, udaje, że woli mieszkać z nami, tym bardziej że znalazłem teren z osobnym domkiem dla niej. Ona nawet sama uwierzyła, że jej z nami lepiej. Bo moja mama - nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę - posiada jedną szczęśliwą cechę...

- Witalność?

- Owszem, witalność też. Ale sęk w tym, rozumiesz, że ma ona stałą potrzebę upewniania się, że w naszej rodzime wszystko układa się jak najlepiej i że zawdzięczamy to sobie, swoim wrodzonym zaletom. W ten sposób zachowuje optymizm i pogodne spojrzenie na świat. Nawet błahe świadectwo naszych powodzeń wprawia ją w zachwyt, natomiast broni się przeciw objawom ujemnym, lekceważąc je lub po prostu negując. U Charmierów nie może się zdarzyć

nieszczęście, to byłaby hańba.

- A zgon Paula?

- To było coś więcej niż utrata ukochanego męża, to była katastrofa zagrażająca całej jej postawie życiowej. Nie wiedzieliśmy, czy to przetrzyma. Ale przetrzymała.

Zapadła dłuższa cisza. Edek znów kiwał się w fotelu, jego cień znów falował na ścianie. Odezwał się nagle:

- Mówisz: Madlena. O to właśnie chodzi. Ona nie umie być obojętna, to dusza żywa. Sentymentalnie się wyraziłem? Niech tam. Żywa dusza, tak. Dziewczyna jeszcze nie opierzona, a już się rozgląda, dokąd by uciec od nas. I ma rację oczywiście. Niech no trochę zadomowi się wśród młodzieży uniwersyteckiej, a zaczną jej przychodzić do głowy różne idee, mądre i niemądre, ale zawsze inne niż te, którymi ją częstujemy w domu. Te domowe już umie na pamięć i brzydzi się nimi. Bo rzeczywiście: czym możemy jej zaimponować?

- Choćby kulturą ogólną. Należycie do inteligencji, jesteście ocytani...

Machnął ręką.

- Bzdury. Co to znaczy inteligent? Czy to ktoś z wyższym wykształceniem? Bzdury, mówię ci. Z dyplomem można przeżyć życie tak samo bezmyślnie, jak z maturą czy nawet bez. I co my czytamy? Literaturę zawodową, bo bez tego przegramy w walce o karierę, prócz tego gazetę, każdy swoją (ja czytam „Figaro”), no i wertujemy książki reklamowane w prasie i radiu, wertujemy z musu, żeby móc coś niecoś o nich powiedzieć w towarzystwie „ludzi na poziomie”, którzy również czytają je ze snobizmu. Nie, Ludwiku, ty mi o naszej kulturze nie mów, wiem dobrze, co ona warta. Jeżeli możemy czymś dziewczynie zaimponować, to tylko dobrobytem.

- No widzisz - wtrąciłem. - Chociażby tym.

- A cóż to dla niej dobrobyt? Wychowała się w dobrych warunkach, innych nie zna i dlatego materialnych wygod nie ceni. Jak odejdzie i zazna biedy, może pomyśli kiedyś, że w domu nie było tak źle. Ale i wtedy nie pomyśli z czułością o matce... ani o mnie.

- Sam w to nie wierzysz. Madlena cię kocha, to widać.



- Mnie? Może i lubi trochę, kto wie... Bo jej się nie czepiam jak Klaudia. Zauważyłeś, jaka jest dla córki niedobra?

Bąknąłem coś niewyraźnie.

- Powiedz, zauważyłeś? - nalegał. - Zresztą, wszyscy to widzą. Klaudia daje jej szkołę! Nigdy nie ustąpi choćby w drobnej sprawie, a gdy idzie o coś ważniejszego... Samolubna jest ta moja dobrotliwa małżonka, może tylko ja i Madlena wiemy, jaka potrafi być samolubna.

„Wie o tym nowym romansie” - powiedziałem sobie już , całkowitą pewnością.

Zerknął na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy i ja coś o tym wiem. Postarałem się, żeby moja twarz nie wyrażała absolutnie nic. Westchnął i znów nalał sobie koniaku.

- Nieważne - powiedział, z trudem poruszając językiem. - To też nieważne. Tylko mam już dość udawania Greka. Pięćdziesiątka, siwizna na skroniach, córka dorasta... Właśnie o córkę mi chodzi, bo żonę pies drapał, niech się udławi tym, co komuś urwała. No bo jasne: babie lato, każdy roczek jak podarowany... ale krzywdzić dziecko!

Bełkotał jeszcze coś, całkiem już niewyraźnie. Nie odzywałem się w nadziei, że na tym niebezpiecznym zakręcie monolog się skończy. Odchylił głowę na oparcie fotela, przymknął powieki i oddychał miarowo, jakby usypiał. Znienacka wyprostował się i spojrzał na mnie.

- Nie jestem pijany - powiedział artykułując słowa tak starannie, jak to potrafią pijacy, kiedy tracą kontrolę nad sobą.

- Jestem tylko zde-gu-sto-wany, rozumiesz? Nikt nie pytał mnie, czy chcę brać udział w szopce, a ja właśnie nie chcę. Nie muszę. Pozwolą państwo, że się wyłączę... Powiedziałeś coś?

- Nic.

- Myślałem, że pytasz, co mam zamiar zrobić. Odpowiem, choć nie pytałeś. Wyjadę.

- Dokąd?

- Do Chamonix. Byliśmy tam z tobą dawniej, pamiętasz?

- A jakże! Bardzo lubiłem tę miejscowość u stóp Mont Blanc. Mieszkaliśmy w schronisku, jeździliśmy na nartach, trochę laźliśmy po górach...

- Teraz mam w Chamonix luksusowe mieszkanie. U Charmierów wszystko jest luksusowe. Rokrocznie spędzamy tam zimowe wakacje, ale w tym roku Klaudia nie chce wyjeżdżać, dzieci też mają inne plany. Pojadę sam, na tydzień.

- Doskonały pomysł. Wrócisz w dobrej formie.

Podniósł się nie bez wysiłku.

- Na pewno w lepszej niż teraz, bo trudno o gorszą.

Zapalił ostatniego papierosa, zgniótł pudełko i wrzucił do śmietniczki.

- Słuchaj - powiedział nagle głosem zupełnie trzeźwym. - Mam do ciebie prośbę: zapomnij, o czym tu gadałem. Przysięgnij, że zapomnisz.

- Po co tak uroczyście? Obiecuję ci, że wyrzucę to z pamięci. Zresztą jestem śpiący i niezbyt uważnie cię słuchałem.

- Przysięgnij jednak. Dla mnie to ważne.

- No, jeżeli ci tak na tym zależy, to przysięgam.

Spojrzał na mnie uważnie i wyszedł bez słowa.

Nazajutrz po kolacji wyjechałem do Paryża. Zawiózł mnie Edek, który wraz z Klaudią, Madleną i Maksem jechał do restauracji włoskiej „La mamma” na Polach Elizejskich, gdzie mieli spędzić noc sylwestrową. Nie skorzystałem z zaproszenia, powołując się na pilne zajęcia. Wanda spotykała Nowy Rok u przyjaciół paryskich, Daniel wolał zostać w domu, żeby dokończyć jakieś doświadczenie w swoim laboratorium.

Przed hotelikiem pani Deniac-wszyscy wysiedli i złożyliśmy sobie życzenia. Ze ściśniętym sercem patrzyłem na bardzo bladą twarzyczkę Madleny. Jej matka wyglądała szczególnie pięknie. Panowie byli raczej sztywni i pochmurni, każdy na swój sposób.

- O północy będziemy pili twoje zdrowie! - powiedziała Madlena i uśmiechnęła się jakby z przymusem.

- Ja też będę myślał o was - powiedziałem całując jej zimny policzek.

Ford-escort lekko ruszył naprzód i zaraz zniknął w potoku samochodów.

Gdybym mógł wtedy przewidzieć, że już nigdy nie zobaczę ich wszystkich razem!

---

---

---

Ludwik odsunął od siebie rękopis. Tadeusz leżał utkwivszy oczy w sufit.

- Rozdział skończony - powiedział Ludwik. - Następny dopiero pojutrze.

- Dlaczego?

- Bo wcześniej nie zdążę opracować brulionu.

Tadeusz usiadł na kanapie i ziewnął przeciągle.

- Byłeś tam dwa lata temu?

- Więcej niż dwa. Wróciłem w styczniu 1974 roku.

- I pamiętasz tak dobrze wszystkie szczegóły?

- Mam dobrą pamięć.

Tadeusz ugryzł jabłko i skrzywił się.

- Nie spodobał ci się dzisiejszy odcinek? - z niepokojem zapytał Ludwik. - Nie jest ciekawy?

- Bardzo nawet ciekawy. Ale po co ten Edek wyłożył ci cały pasztet: córka, żona, żonine amory... Tego się nie opowiada nawet najbliższemu.

- Może właśnie dlatego był ze mną szczery, że nie należę do jego najbliższych. Przyjechałem na krótko, nie wiadomo było, czy jeszcze kiedyś się zjawię. Poza tym dużo pił tego wieczoru.

- Francuz, a nie umie pić! Niedorajda. Powiedz: twoja rodzinka rzeczywiście jest taka zbzikowana? Może przesadzasz dla większego efektu?

- Wydaje ci się, że są zbzikowani? Opuszczając ich dom, myślałem tylko, że każdy z nich ma swojego mola, co go gryzie.

- To swoją drogą. Mówiąc szczerze, zezłościłeś mnie dzisiaj. Ta zdzira...

- Mówisz o Klaudii?

- Jasne. Znam kobiety tego gatunku. Nie daj Boże z taką się ożenić!

- Niejeden Edkowi zazdrościł.

- Z głupoty. Niezła z takiej babki kochanka, ale żona... dziękuję!

- Nie zgadzam się z tobą.

- Bo nie jesteś Edkiem.

- W każdym razie, cieszy mnie, że tak przejmujesz się moją

opowieścią.

- Czuję, że na następne spotkanie szykujesz jakąś paskudną niespodziankę. Zgadłem?

- Nie wybiegaj naprzód, Tadziu. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie.

- Tak jest, panie autorze! A teraz cześć. Życzę natchnienia i owocnej pracy.

Gdy wyszedł i zamknął drzwi, gospodarz zdał sobie sprawę, że jego jedyny czytelnik był dzisiaj w wyjątkowo posępnym nastroju.

## WIECZÓR TRZECI

Tadeusz spóźnił się o kwadrans. Był jakiś skwaszony. Ulokowawszy się na kanapie, od razu wychylił kieliszek i powiedział opryskliwie:

- No, Bobuś, czas najwyższy, żebyś przeszedł do rzeczy. Wszystko ładnie, pięknie, rodzinka i miasteczko bardzo zajmujące, ale przyrzekłeś sensację. Niczego w tym rodzaju nie widać.

Ludwik uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Słuszne pretensje, Tadziu. Zwlekałem chyba podświadomie z tą, jak to nazywasz, sensacją. Dla mnie to nie była sensacja, tylko ciężki cios osobisty. Trudno o tym pisać...

- Po co wdałeś się w tę zabawę?

- No właśnie. Za późno na odwrót. Zresztą nie chciałbym rezygnować. Mam nadzieję, że odtwarzając wypadki sprzed paru lat lepiej zrozumiem, co w nich się kryło.

- A więc zaczynaj.

---

---

## Życie paryskie

Wstyd się przyznać, ale z pewną ulgą opuszczałem dom Charmierów. Po pierwszej euforii spotkania coraz wyraźniej

zaczęły mnie nękać ukryte napięcia w atmosferze rodzinnej, zaczęło się nawet wydawać, że wszystko jest inne, niż wyglądało na pierwszy rzut oka. Przykre to było uczucie, krępowało mnie, a jednak nie mogłem się go pozbyć. Wyjazd do Paryża był poniekąd uwolnieniem.

Siedziba pani Deniac miała wzruszająco anachroniczną nazwę „Gołąb pocztowy”, której odpowiadał wygląd niezupełnie dzisiejszy. Fronton o trzech oknach posiadał aż pięć pięter, był wysoki i wąski. Polerowany czarny szyld z ręcznie wypisanymi złotymi literami obwieszczał że hotel jest zaopatrzony w światło elektryczne, centralne ogrzewanie, łazienkę i telefon, które to wygody, jak widać, nie były dobrem powszechnym z tej części Montpar-nasse'u.

Mimo późnej pory właścicielka powitała mnie z wylewną radością.

- Bratanek pani Charmier! - wołała cienkim głosem.

- Z Polski! Któż by mógł się spodziewać! O, ta biedna Polska, ileż wycierpiała podczas wojny i okupacji!

Jak przekonałem się później, nie bardzo umiała odróżnić Polskę od Węgier czy Bułgarii, mówiła zazwyczaj ogólnikowo „te kraje wokół Rosji”, ale pamiętała twardo, że moja ojczyzna przeszła ogrom cierpień i klęsk, więc nigdy nie nazywała jej inaczej jak „biedna Polska”.

Wszystko w domu było miniaturowe: sień ze stromymi kręconymi schodami, salonik z telefonem i telewizorem, kancelaria, pokoiki mieszkalne tudzież toalety na każdym półpiętrze, z których nie mogłyby korzystać osoby pokaźnej tuszy.

Mój pokój z oknem na ulicę, położony na przedostatnim piętrze, mieścił na przestrzeni niecałych pięciu metrów wygodne łóżko, szafę, stolik, krzeselko i umywalkę z bieżącą ciepłą i zimną wodą, co z miejsca uznałem za główny luksus. Nie spodziewałem się tylu wygód za jedne trzynaście franków! Zważywszy, że taką właśnie sumę płaciło się już wtedy za bilet do kina lub za skromny obiad, jeszcze raz podziękowałem w duchu mojej ciotce, która urządziła mnie tak znakomicie.

Najmilszą bodaj osobliwością „Gołębia pocztowego” była

sama gospodyni. Przyznawała się do siedemdziesiątki, miała pewnie więcej, a energią życiową mogłaby podzielić się z młodą dziewczyną. Była mała, kępna, zwinna, szare włosy ściągała w mizerny koczek, na zadartym nosku ledwo trzymały się okulary w złotej oprawie, zza szkieł z ciekawością wróbelka spoglądały bystre ciemne oczka, usta chętnie otwierały się do uśmiechu i do rozmowy.

Ilość wykonywanej przez nią pracy była niewiarygodna. ! We własnym domu była pokojową, praczką, palaczem, konsjerżką, księgowym, kasjerką i kierowniczką. W sprzątaniu pomagała jej córka, matka dorosłych dzieci, która przychodziła z rana na kilka godzin. I na wszystkich pięciu piętrach panował porządek i czystość.

Konferencja mikrobiologów rozpoczynała się dopiero w poniedziałek, miałem do dyspozycji sześć dni wolnych od oficjalnych zajęć. Przeznaczyłem ten czas głównie na Spotkania z kolegami belgijskim i holenderskim, którzy pracowali nad tym samym zagadnieniem, co ja. Jeszcze przedtem umówiliśmy się listownie, że przyjedziemy do Paryża wcześniej i zestawimy wyniki naszych badań.

Spotkania nasze zaczynały się w Sorbonie, tam spożywaliśmy skromny obiad w stołówce samoobsługowej, potem siadaliśmy na ławeczce w Ogrodzie Luksemburskim lub spacerowaliśmy spletanymi uliczkami Dzielnicy Łacińskiej, omawiając wspólne kłopoty na drodze naszych poszukiwań.

Miałem wolne przedpołudnia i wieczory, poświęcałem je na zwiedzanie wystaw i kin; teatr był zbyt drogi na moją kieszeń, mogłem korzystać tylko z zaproszeń. Z największą przyjemnością wędrowałem przez Paryż bez określonego celu, po prostu dla konfrontacji moich wspomnień ze stanem dzisiejszym. Zmian było wiele, miasto się amerykanizowało. Stwierdziłem ze smutkiem, że stopniowo i nieuchronnie zanika z niczym nieporównywalna uroda francuskiej stolicy.

Zdumiał mnie zalew pornografii - od kiczów za szybami sklepów do gigantycznych reklam filmowych w najpodlejszym guście, wyobrażających - dajmy na to - sadystę biczącągo nagą kobietę lub uścisk miłosny dwóch chłopców. Porno stało

się usankcjonowanym i nieodzownym akcentem urbanistycznym, na który Francuzi już nie reagują, bo zjawisko zdążyło im się opatrzyć. Natomiast przybysze otwierają w zdumieniu oczy, zaszokowani i zawstydzeni własnymi emocjami, lecz i oni po paru dniach tracą pierwotną wrażliwość. Wszechobecność porno powoduje jego dewaluację, wyjałowienie, zanik mocy podniecającej - a więc jest nadzieja, że straciwszy funkcjonalność, porno straci i prawo do szpecenia stolicy.

Zabawny casus. Odwiedzając kolegę Holendra zamieszkałego koło Place Pigalle, stwierdziłem, że tradycyjne królestwo prostytutki nie nadąża za upowszechnieniem porno. Ogromne fotosy nagich cór Koryntu w pozycjach wyzywających, ale zawsze ze skrawkiem tkaniny lub z kwiatem w miejscu wstydlwym wyglądają naiwnie, wręcz po staroświecku wobec bezwstydu zdjęć i malowideł w innych dzielnicach Paryża.

Zapytałem przyjaciela Francuza, skąd ten umiar w krainie zawodowej rozpusty; wytłumaczył mi, że działa tu bardzo dawny zakaz policyjny zabraniający reklamowania całkowitej nagości na zewnątrz specjalnych zakładów. W ten sposób słynny Pigalle awansował na rekordowo skromną pod względem wizualnym dzielnicę!

Wiele się dowiedziałem studiując paryski informator kulturalny. Filmy klasyfikuje się jako przygodowe, westerny, dramaty, komedie itd. Otóż koło trzydziestu procent stanowiły wówczas filmy tzw. erotyczne, które są zwykłą pornografią, wyświetlaną niegdyś po kryjomu w nielegalnych salkach „cinema cochon”. Dziś procent tych filmów wzrósł już do pięćdziesięciu pięciu, a co będzie jutro?

W informatorze „Paryski tydzień” natrafiłem na zabawną ankietę „Czy w kinach nadal uprawia się flirt?” („Flirt”, ma się rozumieć, jest tu wyrazem zastępczym). Odpowiedzi zebrane wśród obsługi kin paryskich zdają się świadczyć o tendencji niżkowej w tej międzynarodowej tradycji na terenie francuskim. Oto garść cytatów.

„Ludzie nie zawsze przychodzą dla flirtu, czasem oglądają film. Na ogół zachowują się przyzwoicie - oprócz tych, którzy są

pod wpływem narkotyków. Trafiają się też ekshibicjoniści.”

„Nie spotyka się u nas takich, co przychodzą, żeby flirtować. Rodzice oddają mieszkania do dyspozycji młodych - po cóż mieliby w tym celu chodzić do kina?” „Ludzie stanowczo zaprzestali chodzenia do kina dla flirtu. Bywają oczywiście wyjątki, ale nieczęsto. Nie widziałam, żeby kładli się jedno na drugim, nasz lokal jest przyzwoity.”

„Myślę, że ludzie przychodzą głównie dla filmu. Zdarza się jednak, że pary zostają przez dwa seanse: pierwszy dla pieśczęt, drugi dla filmu.”

„Ludzie przychodzą do kina nie po to, żeby flirtować. Inaczej bywa podczas seansów nocnych, na które chodzą wyłącznie po to.”

„Widzowie nie myślą o flircie, z wyjątkiem wieczornych seansów w sobotę, kiedy na sali pełno chuliganów, psychopatów i takich, co to nie wiadomo - chłopak czy dziewczyna. Zresztą tyle jest innych lokali, o wiele wygodniejszych dla uprawiania tych rzeczy.”

„To zależy od filmu. Ci, którzy przychodzą na «Krzyki i szepty» Bergmana, nie myślą o flircie.”

Ja osobiście nie mógłbym zabrać głosu w tej sprawie, bo siedząc w kinie zbyt byłam pochłonięta ekranem, by zwracać uwagę na widownię. W pierwszej kolejności obejrzałem filmy, które nie mają szans na szybkie wyświetlenie w Warszawie, jak „Wielkie żarcie”, „Mechaniczna pomarańcza”, „Ostatnie tango w Paryżu”. Ten film, choć nie najlepszy, zyskał sobie największą popularność wśród paryżan; pokazuje się cudzoziemcom dom, w którym ponoć rozegrała się tragedia bohatera.

W sobotę piątego stycznia Wanda zaprosiła mnie do teatru na słynny komediodramat amerykański „Harold i Maud” z blisko osiemdziesięcioletnią Madelaine Renaud w roli głównej. Klaudia miała dzień wolny, więc ciotka, jak zwykle, dyskretnie usunęła się z domu i nocowała w Paryżu u przyjaciółki.

Wstąpiłem po nią do księgami, zjedliśmy naprędce kolację w jej ulubionej restauracyjce koło metra La Murette i przed pół do dziewiątej zasiedliśmy na parterze Teatru Récamier, gdzie



występował zespół Renaud i Barrault. Pozbawiony od paru lat własnego gmachu, zespół ten tułał się po wynajętych pomieszczeniach.

Niestrudzona Madelaine z wielką maestrią kreowała postać Maud, również osiemdziesięcioletniej, która skutecznie uwodziła młodzieniaszka Harolda, ratując go swoim wigorem przed samobójczą depresją. Patrząc, z jaką zręcznością bohaterka fika kozły, wdrapuje się na trapez i skacze przez meble, zapominało się o jej podeszłym wieku i wierzyło, że pokona każdą rywalkę. Publiczność szalała i raz po raz nagradzała oklaskami swoją uwielbianą aktorkę.

Odprowadziłem Wandę na piechotę do jej przyjaciółki. Lubię nocny Paryż, mniej ruchliwy, nie rozhlukany, skromniejszy, jakby korzystający z ciszy dla paru godzin skupienia i zadumy.

- Smutno zrobiło się u nas od twojego wyjazdu - mówiła Wanda. - Nikt nie zapuka do mojego okna, nie zawoła na spacer...

- A dzieci?

- Madlena prawie nie wychodzi ze swojego pokoju, Daniel jest zajęty doświadczeniami. W środę Edek wyjechał do Chamonix na cały tydzień, stało się jeszcze smutniej. Gdyby Maria nie kłóciła się z Miguelem, nie byłoby znać, że w domu coś się dzieje.

- Kłóć się?

- Ostatnio często. Maria to zazdrosna diablica. Nie wiem, czy ma powody, ale ustawicznie zatruwa mu życie.

- A Klaudia?

- Ma dużo roboty, często wraca późno w nocy. Przyjeżdżesz do nas jutro? Przecież to Trzech Króli.

- Bardzo żałuję, ale organizator naszej konferencji, profesor Legrand, zaprosił mnie na obiad, a potem na film naukowy.

- Szkoda, Ludwisiu... Brak mi ciebie w Ville d'Avray. Ale trudno.

Zapamiętałem, że była tego wieczora dziwnie roztargniona, jakby kryła jakiś niepokój.

Od ulicy Martignac miałem już dwa kroki do metra Invalides. Koło północy wróciłem do hotelu i ostrożnie wstąpiłem na

schody, starając się nie robić hałasu. Wtem okienko gospodyni wychodzące do sieni otworzyło się i usłyszałem szept:

- Drogi panie, proszę do mnie na małą chwilkę.

Wstąpiłem do jej pokoju położonego między kancelarią i kuchnią. Usadowiła mnie przy stoliku, na którym stał koniak i dwa kieliszki.

- Pani jeszcze nie śpi? - zdziwiłem się.

- O dwunastej mam podrzucić węgiel do pieca, potem będę mogła się położyć. Proszę wypić ze mną kieliszek, tak smutno pić w samotności.

Chętnie spełniłem jej prośbę. Opowiedziałem, że byłem w teatrze z ciotką.

- Oooo! - zawołała znacząco, dla większej sugestii podnosząc palec. - Pani Charmier to ktoś. Bardzo ją szanuję. Poznałyśmy się w Ruchu Oporu, była bardzo dzielna.

Oczywiście nie skończyło się na jednym kieliszku, pani Deniac okazała podziwu godną wprawę.

- Lubię sobie popić - powiedziała błyszcząc oczkami i śmiejąc się figlarnie. - Zawsze lubiłam. Mamusia besztła mnie za to, ale proszę powiedzieć: czy można tyrać od świtu do nocy i nie zaglądać do kieliszka? Skąd by człowiek miał siły?

- Pani wcześniej zaczęła pracować?

- Odkąd siebie pamiętam. Ten hotel należał do mamusi, a trzeba powiedzieć, że mamusia nabyła rudere i zamieniła ją we wzorowy zakład, no nie? Pan nie uwierzy, jak wyglądał przed pierwszą wojną światową: dom ogrzewało się żelaznymi piecykami, oświetlało gazem, wodę trzeba było nosić z pompy przy metrze, gotowało się na kuchence naftowej... Byłam wtedy smarkata, ale pamiętam, jak żeśmy harowały! Bo mamusia nigdy nie miała służby, pracowałyśmy z siostrą jak woły robocze, a kiedy siostra wyszła za mąż, zostałam ja jedna za Kopciuszka.

- Pracowała pani u matki i po zamążpójściu?

Oczywiście. Pracowałam dalej, bo nie chciała mnie zwolnić. Ponoć nie należy mówić źle o nieboszczykach, ale powiem jednak: moja mamusia była niedobra. Och, jaka niedobra! Musiałam przychodzić o szóstej rano, o pierwszej

zjadaliśmy posiłek wraz z Pierre'em, moim małżonkiem, potem znów pracowałam do piątej. A w domu też nikt za mnie nie robił! I w niedzielę przychodziłam na kilka godzin.

Oczka jej zmętniały, westchnęła głęboko i zamyśliła się. Ja też milczałem.

- A jaka była skąpa!-podjęła z nową energią.-Widział pan zasłony w kancelarii? Porządne, prawda?

- Bardzo ładne.

- Zmieniam zasłony co dziesięć lat, nie oszczędzam na tym. A u mamusi od niepamiętnych czasów wisiały białe koronkowe, rozlażyły się po każdym praniu, a ja musiałam je cerować, wciąż cerować, aż oczy i palce bolały! I nie daj Boże, jeżeli dostrzegła gdzieś nie zacerowaną dziureczkę - awantura gotowa. Potrafiła mnie nawet uderzyć...

Zasmucona tym wspomnieniem, dołała nam koniaku.

- Siostry nigdy nie uderzyła, ale mnie... Jeżeli narzekałam, mówiła: „Czy ja sama nie tyram? Poczekaj, teraz już niedługo dostaniesz ten hotel w spadku. Teresie (to siostra) zostawię gotówkę, a tobie hotel. Pracujesz właściwie na swoim”. I tak, proszę pana, naprawdę było! Dotrzymała słowa, dostałam ten hotel. Ale naczekałam się! Mamusia była długowieczna, wszystkie jesteśmy takie, robotne i długowieczne. A mężczyźni w naszej rodzinie umierają młodo.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Pani Deniac, jakby otrząsając się z przykrych myśli, powiedziała z dumą:

Moja córka też otrzyma po mnie ten hotel. Ale mam nadzieję, że jeszcze nieprędko.

Po libacji z niejakim trudem wspinałem się krętymi SCHODAMI na czwarte piętro. Ledwo rozebrałem się i położyłem do łóżka, zmorzył mnie sen. Jednakże nie sądzone mi było spędzić tej nocy spokojnie.

Obudziły mnie wrzaski na ulicy, jacyś mężczyźni obrzucali się wyzwiskami i bili na pięści. Wyrzałem przez okno i dziwny zobaczyłem obrazek, jakby z filmu gangsterskiego.

Naprzeciw naszego domu stało małe auto z otwartymi na oścież tylnymi drzwiczkami. Dwóch drabów wpychało kogoś do auta nogami do przodu, ten się wrywał, wierzgał, krzyczał i

usiłował ugryźć napastników. Mężczyzna przy kierownicy spokojnie wyczekiwał końca tej walki.

O tej porze ruch na ulicy prawie ustał, ale nadjechała taksówka, zwolniła biegu, kierowca przyjrzał się awanturze i ominąwszy grupę na jezdni, odjechał. Następny wóz się zatrzymał, lecz kiedy jeden z drabów obejrzał się i gestem nakazał niewtrącanie się, samochód potoczył się dalej.

Walka z mężczyzną, który nie chciał wsiadać do auta, rozpoczęła się na nowo. Jego system obrończy był nieskomplikowany, lecz dotąd skuteczny: pókŁbył na chodniku, wierzgał i wyrwał się, a kiedy nogi jego wrzucano do wozu, zapierał się obydwoma stopami i walił przeciwników głową. Jeżeli byłem obecny przy próbie porwania, to ofiara miała dużo szans na złamanie kręgosłupa.

Ubrałem się i zbiegłem na dół. Przy uchylonych drzwiach wejściowych stała pani Deniac w szlafroku i przyglądała się zajściu. Zobaczywszy mnie zatrzasnęła drzwi i spytała:

- Gdzie pan się wybiera?

- Widziała pani, ci ludzie napadli faceta i chcą go uprowadzić.

To gangsterzy.

Przekreśliła klucz w zamku.

- Ma pan broń?

- Nie mam.

- Tak właśnie myślałam. Ale proszę się uspokoić, to nie żadni gangsterzy, znam ich: to Algierczycy mieszkający w sąsiednim domu.

- Czego chcą od faceta?

- To ich kumpel. Od wczoraj odbywa się u nich wesele, to zabawa na kilka dni. Gość widocznie zanadto się upił, chcą go odwieźć do domu.

Stanęliśmy przy oknie w kancelarii i nie zapalając światła śledziliśmy dalszy rozwój wydarzeń. Manewr z wpychaniem mężczyzny do auta powtarzał się bezskutecznie jeszcze kilka razy, aż wreszcie udało się usadowić go na podłodze, kumple zaś umieścili się na tylnym siedzeniu, przytrzymując pijanego za głowę i nogi. Drzwiczki zatrzasnęły się i wóz natychmiast odjechał.

- No widzi pan - powiedziała pani Deniac i zapaliła światło. - A pan chciał się wtrącać! Oberwałby pan i mieliby rację.

Uznała, że chwila jest odpowiednia, by napić się jeszcze po kieliszku, co też uczyniliśmy.

- Kiedy pan wyjechał z Francji? - zapytała.

- W pięćdziesiątym szóstym.

- Wiele od tego czasu się zmieniło, mój panie. Gdyby wówczas przed moim domem zaczęła się taka heca, wezwałabym od razu policję, a teraz... Pan wie, wczoraj jakiś motocyklista przystanął przy chodniku naprzeciw kina „Elisées”, podczas gdy publiczność po seansie wychodziła na ulicę; wydarł z rąk jakiejś pani torebkę i poleciał dalej. To taki nowy sposób. A przecież tam było pełno ludzi i mundurowi pilnowali porządku!

- Czemu pani dziś nie zadzwoniła na policję?

- Po co mi kłopot na głowę? Przyjechaliby już po wszystkim, a mnie kazaliby zapłacić mandat za próżne wezwanie. Widać, że pan cudzoziemiec, paryżanie nie mieszają się do takich awantur.

- Rzeczywiście wiele się zmieniło.

- Opowiem panu coś. Niedawno przechodziłam wieczorem koło Dworca Liońskiego i natrafiłam na takie widowisko: z podestu schodzi tłumek przyjezdnych, wśród nich ładna dziewczyna w eleganckim futrze; doskakujedo niej dwóch chłopaków, ujmują pod ręce, ciągną za sobą. Myśli pan, że chociażby jeden za nią się ujął? Udawali, że nie widzą.

- I co dalej?

- Pomyślałam już: marny twój los, dziewczyno! Aż nagle jeden odleciał na prawo, drugi na lewo, trzymają się obaj za brzuch. I zwiali. Okazało się, że to uczestniczka meczu siatkówki między Francją a Kanadą. Wszyscy zaczęli bić brawo, a ona obróciła się do nich i zapytała:

Gdzieżeście byli, kiedy zostałam napadnięta?” Wstyd mi było przed nią, doprawdy!

Wróciłem do siebie i po chwili już mocno spałem.

W niedzielę rano zwiedziłem pawilon Flory w Luwrze. Mieści się tam stała wystawa „Kopie, repliki, pastisze” obejmująca

plótna z XVI - XIX stuleci. Na pierwszy rzut oka trudno odróżnić je od autentyków wystawionych w innych salach.

Rozglądałem się wśród dzieł Rafaela, Rubensa, Rembrandta, Brueghla i innych mistrzów z tym niekłamanym 'uczuciem mistycznego zachwycenia, jakie ogarnia nas w obliczu wielkiej sztuki. Cenię to uczucie, toteż nie śpieszyłem się z zaglądaniem do małej tabliczki umieszczonej na dole każdego obrazu, na której można było przeczytać jedno z następujących określeń: „Falsyfikat. Praca zespołowa. Pastisz. Oryginał”. Tu tkwiła pułapka, ponieważ w pawilonie były wystawione również niektóre oryginały!

W epoce Odrodzenia zespołowe malowanie było w zwyczaju, odbywało się z udziałem mistrza lub tylko pod jego kierunkiem. Czy z powodu zespołowego autorstwa należy odmawiać tym pracom rangi arcydzieł?

Zatrzymałem się dłużej przed „Uciezką Lota” Rubensa. Intensywność kolorów, ziejąca grozą łuna w głębi obrazu, wyrazista rozpacz uciekinierów, dynamika ogólnej kompozycji kazały mi się domyślać, że stoję przed oryginałem. Była to jednak kopia.

Z Luwru udałem się na obiad proszony do profesora Legranda, potem oglądałem w jego laboratorium filmy demonstrujące przeprowadzone przezeń doświadczenia. Omawialiśmy z przejęciem zagadnienia teoretyczne i praktyczne współczesnej mikrobiologii.

Potem pojechałem do kina „Noctambules” w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie od dłuższego czasu odbywał się cieszący się niezmiennym powodzeniem Festiwal filmów Polańskiego. Trafiłem na „Bal wampirów”, zabawny film grozy, nasycony groteską i bajkowością. Mimo późnej pory sala była pełna. Po seansie zjadłem kolację w nocnym barze i wróciłem do domu już po dwunastej.

Tym razem pani Deniac nie słyszała, jak wchodzę, pewnie była w piwnicy i dosypywała węgla do pieca. W drzwiach mojego pokoju znalazłem jej kartkę: „Kilka razy telefonowała pani Charmier, prosiła, żeby pan zadzwonił do Ville d'Avray w pilnej sprawie”. Nie zdecydowałem się jednak na telefonowanie

o tak późnej godzinie.

Nazajutrz zadzwoniłem do Wandy o ósmej rano. Nie od razu podniosła słuchawkę, a gdy odezwała się, zaskoczył mnie jej cichy bezbarwny głos. Powiedziała:

- Stało się nieszczęście.

- Jakie?

- Madlena nie żyje.

Z trudem wykrztusiłem z siebie:

- Jak to się stało?

- Samobójstwo. Przyjedź prędzej, Ludwiku. I odłożyła słuchawkę.

---

---

Tadeusz gwałtownie poruszył się na kanapie i brzydko zaklął.

- Nie mogłeś znaleźć innej ofiary? - zapytał.

Ludwik odsunął na bok rękopis i w milczeniu zapalił papierosa.

- Lepiej byś zrobił uśmiercając tego małego drania, tego maminsynka i kapusia... Co ci strzeliło do głowy?

- Wciąż zapominasz, Tadziu, że opisuję zdarzenia prawdziwe. Gdyby ode mnie zależało, bądź spokojny, że Madlenie włos nie spadłby z głowy.

- Nie jesteś chyba niewolnikiem zdarzeń?

- Właśnie że jestem. Jeśli ci się nie podoba taki obrót sprawy, przerwijmy naszą lekturę. Mógłbyś się domyślić, że i mnie nie sprawia przyjemności rekonstrukcja tamtych wypadków. Im dalej, z tym większym przymusem to robię.

Tadeusz nalał sobie wódki, ale odstawił kieliszek z nagłą odrazą.

- Sam mówiłeś na początku, że kiedy zaczniesz rozdział, nie wiesz, dokąd cię zaprowadzi fantazja. A więc? Nie wszystko w twojej powieści jest autentyczne? Jak w tym Luwrze?

Było coś ostentacyjnego w jego napastliwości.

- Owszem, popuszczałem niekiedy cugli wyobraźni - powiedział Ludwik - ale tylko w odniesieniu do szczegółów, do tła, do spraw drugorzędnych. Natomiast trzon wydarzeń...

Mówiąc to zaczął wkładać rękopis do teczki. Tadeusz zerwał się i wyjął mu z rąk blok listowy.

- Co ty? Obraziłeś się? Nie bądź taki wrażliwy. Przepraszam, jeżeli nadepnałem na autorski odcisk. Co mnie to wszystko zresztą obchodzi? Twoja rodzinka, twoje nieszczęście... Czytaj dalej.

Ludwik ociągając się znów rozłożył rękopis.

- Wiesz co, Tadziu - powiedział w zamyśleniu. - Może i lepiej, że reagujesz tak żywo. Zależy mi przecież na spontanicznych odruchach czytelników, dodajesz mi w ten sposób otuchy.

- Dobrze już, dobrze, możesz nie dziękować. Postaram się jednak ci nie przeszkadzać.

Położył się i .wychylił napełniony kieliszek.

---

---

## **Katastrofa**

Zawiadomiłem profesora Legranda, że nie będę na otwarciu konferencji, i pogałem taksówką do Ville d'Avray. Wanda czekała na mnie przy furtce. Nie płakała, tylko miała zupełnie szarą twarz bez wyrazu.

- Chodź do mnie - powiedziała. - Wszystko ci opowiem.

- A... gdzie Madlena?

- Zabrali ją wczoraj. Dla zrobienia sekcji.

Aż do tej chwili nie wierzyłem w jej śmierć.

- Kiedy to się stało? - zapytałem, kiedyśmy usiedli przed kominkiem.

- W nocy z soboty na niedzielę. Otruła się.

- Zostawiła list?

- Nie. Po prostu znaleziono ją martwą nazajutrz rano.

- Opowiedz szczegóły.

- Wiem o tym tylko ze słyszenia, przecież nocowałam przedwczoraj w Paryżu. A Edek był w Chamonix. W domu została tylko Klaudia z dziećmi. Opowiada, że Madlena tego dnia źle się czuła, prawie nic nie jadła przy obiedzie. Skarżyła



się na ból głowy. Nie zeszła na kolację, bo nie miała apetytu. Klaudia kazała Marii zanieść jedzenie do jej pokoju, potem posłała też proszek nasenny. „Prześpi się i będzie zdrowa” powiedziała. Ona uważa, że te jej proszki pomagają na wszystko.

- Jaki to był proszek?
- Tubinal czy coś w tym rodzaju.
- Co było potem?

Nikt już do niej nie zaglądał. W pokoju było cicho, myśleli, że śpi. Potem...

Głos Wandy załamał się. Długo milczała, zanim była w stanie przemówić.

- Potem, to znaczy w niedzielę rano, Klaudia nie chciała jej budzić i zjedli śniadanie we dwoje z Danielem.

O dziesiątej zatelefonowała do Madleny jej przyjaciółka, Matylda. Wtedy Daniel poszedł na górę, zapukał do siostry, a nie doczekawszy odpowiedzi, uchylił drzwi...

Twarz Wandy wykrzywiła się żałością, powstrzymała jednak łzy.

- Była nieżywa - wyszeptala.

Chodziłem nerwowo z kąta w kąt, nie mogłem ustać spokojnie.

- Co zrobiła Klaudia? - zapytałem.

- Zadzwoniła na pogotowie. Przyjechali od razu. Lekarz stwierdził zgon i wezwał policję, bo były objawy zatrucia. Zjawiała się cała ekipa, zrobili wszystko, co zwykle się robi, to trwało kilka godzin. Kiedy wreszcie odjechali, Klaudia zatelefonowała do mnie. Nie od razu powiedziała mi prawdę, tylko że z Madleną zdarzył się wypadek. Przyjechałam natychmiast, ale już ją zabrano z domu.

Przerwała swoje opowiadanie. Spacerowałem nadal po pokoju.

- Zawiadomiono też Edka - podjęła znów. - Przyjechał z Chamonix około północy. Jest w takim stanie, że boję się z nim rozmawiać.

- Przygnębiony?
- Nie. Wściekły. Inni też go się boją, nawet Klaudia.

„Zwłaszcza Klaudia!” pomyślałem, przypomniawszy sobie naszą z nim ostatnią rozmowę.

- Może byś do niego poszedł? - nieśmiało zapytała Wanda. - Człowiek nie powinien być zupełnie sam w pierwszych godzinach po nieszczęściu.

- Nie wiem, czy będzie tego chciał.

- Na pewno! W każdym razie spróbuj, Ludwisiu.

Poszedłem do Edka. Znalazłem go w warsztacie stolarskim, stał z heblem w ręku i uważnie mu się przyglądał, z pewnością nic nie widząc. Przywitałem się. Przeniósł spojrzenie na mnie, lecz z początku i mnie nie widział, potem jednak kiwnął głową, ale się nie odezwał. Ja też milczałem. Kiedy już chciałem wyjść, nagle oznajmił:

- No widzisz. Sam teraz widzisz.

I więcej nic nie powiedział do mnie przez kilka dni.

Klaudia natomiast już wyszła z szoku. Gdyby nie silna bladeść i jakiś sztywny wyraz twarzy, byłaby podobna do dawnej Klaudii. Przywitała się ze mną bez uśmiechu, ale zapytała uprzejmie:

- Czy jadłeś śniadanie?

Trzymała się dzięki rutynie.

Z kuchni wyrzała Maria, przerażona i zdaje się zapłakana. Daniela tego dnia nie widziałem.

Przed moim odejściem dzwonili z policji, że wykryto podczas sekcji śmiertelną dawkę morfiny i że zgon nastąpił pomiędzy drugą a piątą godziną szóstego stycznia.

Odtąd nie odstępowały mnie dwa pytania: dlaczego Madlena na to się zdecydowała? I - jak to zrobiła? Czymkolwiek byłem zajęty, drażyły mój mózg, bez większych zresztą wyników. Bo i cóż ja właściwie o niej wiedziałem? Nie mogłem zgadnąć, jak zareagowała, kiedy przypuszczalnie natrafiła na dowód, że Maks romansuje z jej matką.

I jeszcze jedno pytanie powracało z uporem: gdybyśmy, ojciec i ja, byli w pobliżu, czy również nie zawahałaby się odebrać sobie życia? A choć nie była to kwestia główna, rozważania te sprawiały mi ostry ból.

Nie wiedziałem wtedy, że śmierć Madleny okaże się

pierwszym ogniwem w łańcuchu nieszczęść, które spadły na jej rodzinę.

\*\*\*

We wtorek ósmego stycznia Madlena w trumnie wróciła z prosektorium do domu. Rankiem następnego dnia pochowano ją w grobowcu rodzinnym obok dziadka Paula Charmiera. Pogrzeb był świecki, bo sama odebrała sobie życie.

Orszak żałobny rozciągnął się na trzysta metrów. Byli przyjaciele i znajomi rodziny, licealni i uniwersyteccy koledzy zmarłej, dostojnicy miasta i tłum nieznanym, których sprowadziła ciekawość. Pogrzeb stał się lokalną sensacją.

Szedłem obok Wandy, podtrzymując ją za ramię. Zmobilizowała się na tyle, że stąpała miarowym krokiem, przez spuszczoną woalkę nie widać było jej twarzy. Z drugiej strony podtrzymywał ją Edek, sztywny i jakby zastygły w wyrazie skupienia. Obok mnie szedł Daniel, za Edkiem - Klaudia i Filip.

Wszystko, zdaje się, odbyło się jak należy. Pamiętam, Matylda rozplakała się składając kwiaty na grób przyjaciółki. Za nią stał Maks - skrzywiony, jakby miał migrenę, odrobinę zirytowany, lecz bez właściwego mi wyrazu posępnej dezaprobaty; schylił się, położył ogromną szkarłatną różę i szybko odszedł. Pamiętam jeszcze, jak Maria wysunęła się z tłumy, złożyła swój bukiet i otarła chusteczką kąciaki oczu; zauważyłem przy tym, że Miguel, odprowadził ją dziwnie nienawistnym spojrzeniem.

Szczegóły pogrzebu przypomniały mi się dużo później, wówczas byłem pochłonięty jedyną troską - żeby, czuwając nad Wandą, zachować niewzruszoną maskę żałobnej powagi.

Po skończeniu ceremonii wróciłem autem profesora Benta do Paryża, bo po południu miałem wygłosić swój referat. Dopiero potem mogłem zostać sam i pozwolić sobie na wspomnienia i rozważania.

Dlaczego Madlena to zrobiła? Był to akt zemsty czy rozpacz? Jak działała: pod wpływem nagłego impulsu czy według ułożonego z góry planu? To były zasadnicze pytania.

W każdym z tych wypadków wydawało się pewne, że doszła

ją jakaś wiadomość potwierdzająca ufonnowane już podejrzenia. Chodziło oczywiście o romans Klaudii i Maksa. Może, podobnie jak ja, zobaczyła ich w uścisku na jakiejś paryskiej uliczce? Może tego niedzielnego wieczora zażądała od matki wyjaśnień? Jeżeli tak, co powiedziała Klaudia, jak zachowała się wobec zbuntowanej córki? Czy usiłowała kłamać, a może wygarnęła prawdę jako osoba pewna swych praw i racji?

Cokolwiek między nimi zaszło, ta rozmowa odbyła się bez świadków, dziś wie o niej tylko Klaudia - chyba że Daniel swoim zwyczajem podsłuchiwał. Ale przecież nie zdradziłby tajemnicy matki! Raczej skorzystałby z okazji do szantażu...

Odpędziłem tę brzydką myśl uświadomiwszy sobie, że jestem tendencyjnie nastawiony wobec chłopca, bez dostatecznych po temu podstaw prócz faktu, że był bardzo nie lubiany przez siostrę.

„Więcej obiektywności, przyjacielu! - powiedziałem sobie. - Jeżeli chcesz dojść do prawdy, trzeba z góry wyrzec się wszelkich osobistych sympatii i antypatii, które mogłyby tylko zniekształcić rzeczywisty obraz wypadków”.

I tu nagle wypłynął w mojej pamięci obrazek.

W wieczór przed moim wyjazdem do Paryża Daniel zaprosił mnie znów do swojego laboratorium. Na stole przy oknie zauważyłem leżącą na podstawce martwą mysz przykrytą szklanym kloszem. Leżała na plecach z łapkami przygwożdżonymi do podstawki, na brzuszku i na piersi miała głębokie rozcięcie, tak że widać było wnętrzności.

Obrazek ten, dobrze mi znany z praktyki, tutaj zadziwił mnie swoją niestosownością.

- Po co tym się zajmujesz? - zapytałem.

- Robię doświadczenie. Zatrąłem mysz morf iną i obserwowałem, jak zdycha.

- O co ci chodziło.

- Po pierwsze, odnotowałem, jak szybko po zażyciu trucizny nastąpiła śmierć. Po drugie, w kilka godzin później rozprułem ją i obejrzałem płuca: miały krwawiące ogniska. Dokładnie, jak w podręczniku.

Wtedy zbagatelizowałem ten drobny incydent, teraz jednak przypomniał mi się w przykry sposób, bo kojarzył się ze śmiercią Madleny.

W czwartek znów pojechałem do krewnych. Nie dowiedziałem się niczego nowego o tragicznym zajściu, bowiem temat ten stał się tu tabu.

Z Edkiem w ogóle nie można było nawiązać kontaktu, odgrodził się od ludzi murem milczenia. Dużo pracował i mało przebywał z bliskimi, a kiedy wracał do domu, zamykał się w swojej stolarni na długie godziny, choć nic nie majstrował. Ostatnie dni życia córki spędził z dala od niej, więc nawet gdyby chciał opowiadać, niewielkie by to miało dla mnie znaczenie.

Wanda? Owszem, gdy się ocknie z pierwszego bólu, może zechce o tym rozmawiać, ale mnie już wtedy we Francji nie będzie: na następny poniedziałek wyznaczono uroczyste zamknięcie konferencji. Klaudia? Ta z pewnością nie będzie mi się zwierzać. Daniel? I z jego strony wykluczam taką chęć, przecież stosunki nasze ograniczały się do wymiany zdawkowych grzeczności. Maria? Miguel? Tak, z nimi warto by pomówić na osobności.

Zszedłem do ogrodu, gdzie Miguel układał drwa przeznaczone do kominka w wysokie sągi. Zrzuciłem kurtkę i zacząłem mu pomagać. Zerknął na mnie i dalej pracował. Nie potrafił jednak długo milczeć.

- Moja żona mówi, że panienka bardzo źle wyglądała ostatniego wieczora - powiedział. - Prawie nic nie jadła przy obiedzie.

- Może była chora?

- Tego nie wiem. Maria mówi, że ona jeszcze o jedenastej nie spała.

- Czy pańska żona tak późno skończyła pracę w zeszłą sobotę?

- Nie, odjechaliśmy tuż po kolacji, ale Maria zapomniała zabrać lekarstwo Pabla, więc podrzuciłem ją samochodem o jedenastej. W domu było ciemno, świeciło się tylko okno panienki.

- Maria do niej zaglądała?

- Nie wiem odpowiedział z nagłą rezerwą. - Chyba nie.

Zakarbowałem sobie, że oboje byli w willi owego wieczora i że Miguel wyraźnie żałował, że się z tym wygadał. Nie wiedziałem, czy to ma jakieś znaczenie.

- Przed moim wyjazdem stąd zauważyłem, że Madlena jest jakaś zmieniona, bez humoru - powiedziałem, żeby pociągnąć go za język. - Przecież zazwyczaj była wesoła, prawda?

- Prawda. Szkoda takiej dziewczyny, powiem, panu! Ten łobuz nie był jej wart.

- O kim pan mówi?

- O tym nauczycielu. Panienska przepadała za nim, a on ją skrzywdził, pewnie znalazł sobie inną. Ja bym go... - tu użył kilku mocnych wyrazów.

- Czy to on był u Madlency o jedenastej wieczorem? - rzuciłem na chybił trafił.

- Nie, pan Filip. Przyjechał swoim renaultem. A skąd pan wie, że ktoś był? - zapytał z nagłą czujnością.

- Sama mi mówiła, że spodziewa się gościa - skłamałem.

Więc i Filip był tu krytycznej nocy? Zastanowiłem się nad tym faktem.

Dziwne stosunki łączyły Filipa z Madleną, niby to rodzinne - styjek i bratanica, a jednak mogli ścisnąć się i całować wcale nie rodzinnie, jak wtedy w Wilię. Czy to się zdarzyło po raz pierwszy? I czy na tej „próbie”, jak wyraziła się Madlena, ich zażyłość się skończyła?

Stwierdziłem, że zbyt mało wiem o tym, żeby budować wiarygodne hipotezy. Nie sposób jednak było ich nie budować, bo skoro Filip znalazł się o tak późnej porze w domu Edków, najprawdopodobniej przyjechał do Madlency: „W domu było ciemno, tylko okno panienski się świeciło” - powiedział Miguel.

Załóżmy, że Filip zastał ją w stanie wielkiego wzburzenia, rozżaloną na Maksa, pragnącą odwetu. A tu okazja... Czy nie zaszła zbyt daleko w tym flircie familijno-erotycznym? I czy nie przeraziła się potem swojego uczynku do tego stopnia, że wyczerpana nerwowo całą sytuacją, roztrzęsiona, nieprzytomna - zażyła trucizny? To oczywiście może być

wytworem mojej fantazji, ale może też posłużyć za punkt wyjścia do luźnej hipotezy.

Wachlarz ewentualnych wariantów zajścia się poszerzał. Jedno wydawało się pewne: owego dnia zaszły jakieś ważne okoliczności, które popchnęły Madlenę od desperackiej decyzji.

Po obiedzie poszedłem z Wandą do jej mieszkania. Była nie tylko przygnębiona, była czymś zdenerwowana.

Nie wiesz, czego chce od nas policja? - spytała.

- Znów byli u was? - zdziwiłem się.

- Wczoraj wieczorem. Rozmawiali osobno z Edkiem, z Klaudią i nawet z Danielem.

- Czy rozpytywali też Marię i jej męża?

- Tak.

- Z tobą też mówili?

- Zajrzeli tu, a kiedy powiedziałam, że w sobotę wieczorem byłam z tobą w teatrze i nocowałam w Paryżu, dali spokój. Zapytali tylko o twój adres, interesowali się też, w jakim humorze była moja wnuczka w ciągu ostatnich dni przed wypadkiem. Powiedziałam, że w bardzo złym, bo przecież to każdemu rzucało się w oczy.

- O co pytali Edka?

- Nawet nie próbowałam się dowiedzieć, z nim teraz nie sposób rozmawiać.

- A Klaudię o co pytali?

- Głównie o środek nasenny, który posłała przez Marię do Madleny.

- Czego chcieli od Daniela?

- Długo rozmawiali z nim, obejrzeni jego laboratorium, prosili, żeby opowiedział o doświadczeniach. Rozpytywali też o znajomych siostry. Daniel jest dumny z tego, że poświęcili mu tyle czasu. Głuptasek! Ale powiedz, Ludwisiu, po co oni nas nachodzą? Czy nie dosyć, że stało się takie nieszczęście...

- Nie bardzo się znam na przepisach, ale wydaje mi się, że policja postępuje tak zawsze w wypadku samobójstwa.

- Dlaczego?

- Bo muszą wyjaśnić okoliczności każdego nagłego, nienaturalnego zgonu.

- Chyba już więcej nie przyjdą?

- Miejmy nadzieję.

Nie miałem tej nadziei. Jakaś myśl, jeszcze dla mnie niejasna, uporczywie drążyła mój mózg. Niemal ucieszyłem się znalazłszy w hotelu list zapraszający mnie do odwiedzenia komisarza Dubona w Prefekturze paryskiej w sobotę o godzinie osiemnastej w pokoju numer dwadzieścia.

W tej sytuacji martwiła mnie konieczność wyjazdu z Francji. Postanowiłem zatrzymać się po konferencji na parę dni w celu obserwacji szczególnie dla mnie ważnego eksperymentu w laboratorium profesora Legranda.

W sobotę zjawiłem się w Prefekturze, na Quai des Orfèvres. Z niemalą ciekawością wstąpiłem do budynku tak dobrze znanego czytelnikom pasjonującym się przygodami służbowymi komisarza Maigreta. Nie dotarłem, co prawda, do gabinetu szefa brygady kryminalnej, ale wystarczyła wędrówka po brzydkich kamiennych schodach i ciemnych korytarzach, żeby wyczuć całą nużącą szarzyznę policyjnego dnia powszedniego, opisanego tak sugestywnie przez mistrza Simenona.

W pokoju numer dwadzieścia na drugim piętrze komisarz Dubon, łysiejący szatyn o piwnych oczach, przyjął mnie z urzędową uprzejmością.

- Pan jest Polakiem? - zapytał po obejrzeniu moich dokumentów. - Uczestnik konferencji mikrobiologów? Kiedy pan wraca do Warszawy?

- Zostaję po zakończeniu konferencji jeszcze kilka dni.

- W sprawach służbowych?

- Nie tylko. Mam we Francji bliską rodzinę.

- W Ville d'Avray, prawda?

- Tak.

- Właśnie w tej sprawie pozwoliliśmy sobie pana niepokoić. Chodzi, jak pan zapewne się domyśla, o zgon pańskiej bratanicy. Co pan o tym wie?

- Z pewnością mniej niż pan. Słyszałem, że przedwczoraj policja była u doktora Charmiera i przeprowadziła rozmowy z rodziną i służbą.



- Owszem. Pan, jak nas poinformowano, tydzień przed zajściem wyjechał do Paryża i nie był krytycznej nocy u kuzynostwa. Jednakże interesuje nas kilka kwestii. Czy byłby pan taki uprzejmy...

- Proszę pytać. Mnie samemu zależy na wyjaśnieniu tej sprawy.

- To znaczy, że pan widzi w niej jakieś niejasności?

- Jeżeli młoda, zdrowa dziewczyna popełnia samobójstwo, sprawa nie może być jasna. Co ją do tego popchnęło?

- Otóż to. Prosiłbym, żeby pan zechciał opowiedzieć o zwyczajach w domu pańskiego kuzyna, o różnych osobach, które tam bywają.

- Nie jestem w tej materii kompetentny, gościłem tam krótko.

- Dwa tygodnie to nie tak krótko. Czy mógłby pan scharakteryzować członków rodziny Charmierów?

- A czy mógłbym wiedzieć, do jakiego konkretnego celu potrzebne są panu te charakterystyki?

- Chociażby po to, żeby zrozumieć, co doprowadziło pannę Charmier do samobójczego kroku. Czy rodzina jest kochająca się, zgodna?

- To pojęcie względne. Myślę, że obecnie w większości rodzin zaostrzają się sprzeczności między starszym a młodszym pokoleniem.

- Więc istniały jakiejś scysje między doktorostwem a córką?

- Scysje to za mocno powiedziane. Myślę, że lepiej nadawałoby się określenie „niezgodność poglądów, usposobień”...

- A rodzeństwo? Czy się kochali?

- Raczej nie.

- Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami:

Któż to zgadnie? Znowż chyba chodziło o niezgodność usposobień.

- Może o lywalizację? O względy, powiedzmy, matki?

Spojrzałem na niego uważniej: któż to poinformował go tak dobrze? Może sam Daniel?

- To też odgrywało swoją rolę - przyznałem. Do tej rodziny

dałoby się przyłożyć schemat freudowski, tak zwany kompleks Edypa.

- Doktor kochał córkę, a doktorowa syna?

- Oczywiście, to uproszczenie. Powiedziałbym tak: mój kuzyn kochał córkę więcej niż syna.

- A doktorowa na odwrót? Dobrze, przyjmijmy takie sformułowanie. A co pan powie o pani doktorowej?

- Jest bardzo inteligentna, ma wybitne uzdolnienia w swojej dziedzinie, umysł ścisły i wielką zaradność w sprawach praktycznych.

- Czy jest uczuciowa?

- Wobec kogo?

- W ogóle.

Zastanowiłem się.

- W ogóle, jak mi się zdaje, kieruje się raczej rozsądkiem niż sentymentem. Jest opanowana. Nie zdarzyło mi się widzieć jej w stanie rozdrażnienia, kiedy człowieka ponosi złość.

- A inne namiętności?

Zmieszałem się, bo stanął mi przed oczyma obrazek: Klaudia i Maks na ławce na skwerze, w całkowitym zapamiętaniu... Komisarz bacznie mi się przyglądał.

- Niech pan nie zapomina - zauważyłem - że nie miałem okazji obserwować czegoś takiego w domowych warunkach, a poza domem nie widywałem się z moją bratową.

- No tak, naturalnie. Może przypadkiem pan wie: czy doktorowa zdradzała albo zdradza męża?

Postarałem się, żeby moją twarz nie zmieniła wyrazu.

- Nie sądzę - powiedziałem spokojnie. - A gdyby tak było, z pewnością nic bym o tym nie mógł wiedzieć.

- Jeszcze jedno pytanie. Kogo z postronnych pań spotykał w domu doktora?

- Profesora Benta i Maksa Rouvela. Obaj byli na kolacji pierwszego dnia świąt.

- Co panu o nich wiadomo?

- Profesor był wykładowcą mojego kuzyna w czasie jego studiów i jest zaprzyjaźniony z całą rodziną. Maks Rouvel był korepetytorem mojej bratanicy i też należy do przyjaciół

rodziny. Tylko tyle mogę o nich powiedzieć.

- Dziękuję panu. To byłoby mniej więcej wszystko.

- Chciałbym i ja zadać pytanie.

- Proszę bardzo.

- Czemu wezwała mnie policja stołeczna, nie zaś ta z Ville d'Avray? Przecież wypadek zdarzył się na jej terenie.

- Żeby to panu wyjaśnić, musiałbym odsłonić pewną tajemnicę służbową. Gotów jestem to zrobić, bo od mojego teścia, profesora Legranda, słyszałem wiele dobrego o panu.

- Pan jest zięciem profesora?

- Od dwudziestu lat. Otóż, wierzę bez zastrzeżeń, że pan jest człowiekiem nieskazitelnej uczciwości. Jeżeli pan zobowiąże się formalnie, że nie będzie rozgłaszał powierzonej mu tajemnicy... Może nam pan nawet bardzo pomóc, gdyby pan zechciał...

- Oczywiście! Zobowiążę się słowem honoru albo, jak pan woli, choćby na piśmie.

- Dziękuję, wierzę panu na słowo. Więc muszę panu zakomunikować, że panna Charmier nie popełniła samobójstwa.

- Co to ma znaczyć?

- Panna Charmier została otruta.

Gdy to mówił, w mózgu moim błyskawicznie połączyły się w całość jakieś drobne zdarzenia, na które nie zwracałem uwagi. Pojąłem, że mówi prawdę.

W jaki sposób to się stało? - zapytałem.

- Truciznę zawierała kapsułka proszku nasennego tubinal.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

Czy pan jest tego całkowicie pewien?

- Całkowicie.

- Na jakiej podstawie?

- Owego dnia denatka prawie nie kosztowała południowego posiłku, potem zaś już nic nie jadła. Mówią to świadkowie, potwierdza sekcja zwłok. Analiza wykryła śmiertelną dawkę morfiny podanej doustnie (nie ma śladów wstrzyknięcia), nie wykryto natomiast tubinalu, tylko tworzywo kapsułki. Tak więc, musiała połknąć morfinę w kapsułce po tubinalu. Wyniki te są jednoznaczne.

- To wszystko?

- Nie. W pudełku tubinalu, a ściślej - we wgłębieniu, z którego denatka wyjęła ostatnią kapsułkę, pozostały mikroskopijne ślady morfiny. Widocznie otworzono kapsułkę, zamieniono jej zawartość na morfinę i złączono znów obie połówki - jednakże nie dość szczelnie.

Zapadła długa cisza. Nie mogłem zebrać rozbieganych myśli ani ukryć wzburzenia.

- Czy zechciałby pan dodać coś do swoich informacji? - zapytał wreszcie komisarz.

Ocknąłem się i powiedziałem:

- W tej sytuacji powinienem chyba wyjaśnić, gdzie spędziłem wieczór i noc z piątego na szósty stycznia?

- Dziękuję, wiemy już o tym. Spektakl w teatrze Réca- mier skończył się za kwadrans jedenasta. Pan odprowadził na piechotę swoją ciotkę na ulicę Martignac, wrócił metrem do domu i spędził pół godzinki w towarzystwie właścicielki hotelu. O pierwszej w nocy pański spokój zakłóciła awantura na ulicy... Alibi nie do podważenia, drogi panie! Ale mnie interesują innego rodzaju informacje: o stosunkach w domu pańskiego kuzyna, o ewentualnych komplikacjach rodzinnych, o nieporozumieniach ze służbą itd.

- Będę chciał wyjaśnić policji wszystko, co mogłoby się okazać przydatne dla śledztwa. Poproszę tylko o pewien czas dla dokonania retrospekcji i sprecyzowania moich wrażeń i obserwacji. W tej chwili nie jestem do tego zdolny.

- Rozumiem pana. Kiedy zechce pan przyjść do mnie, proszę zatelefonować pod ten numer - powiedział podając mi kartkę.

## **Śledztwo**

Staął przede mną nowy problem do rozstrzygnięcia, trudniejszy i jeszcze bardziej bolesny: kto zabił Madlenę?

Najpierw spróbowałem ustalić, kto miał praktyczną możliwość dokonania tego czynu. Krytycznego wieczora w willi Edka znajdowali się Klaudia, Daniel i służąca z mężem; o jedenastej

Maria i Miguel znów byli tam obecni, ponadto zjawił się na krótko Filip. Rozważałem, w jaki sposób każda z tych osób mogła podać ofierze truciznę.

Klaudia. Na kolacji była w szlafroku i, jak zwykle, miała proszki nasenne w kieszeni. Przekazała Madlenie pudełko tubinalu przez Marię, zalecając córce, żeby zażyła ten środek.

Wobec tego Klaudia jest najbardziej obciążona w tej sprawie, ale zarazem sama jawność, z jaką wysłała pudełko z lekiem, świadczy na jej korzyść. Kobieta tak trzeźwo myśląca nie popełniłaby podobnej nieostrożności, gdyby kapsułka zawierała truciznę. Miała mnóstwo okazji do wręczenia jej Madlenie na osobności.

Daniel. Wiedząc o tym, że Madlena ma zażyć na noc tubinal, mógł pod byle pretekstem wejść do pokoju siostry i niepostrzeżenie zamienić kapsułek tubinalu na przygotowaną z góry kapsułkę z morfiną, którą miał w swoim laboratorium. Czy zbrodniczy zamiar nie zrodził się w jego głowie wcześniej - na przykład, podczas uśmiercania myszy?

Maria. Mogła wsypać truciznę do kapsułki po tubinalu. Daniel w tym czasie jadł kolację, więc bez trudności mogła zaopatrzyć się w morfinę z jego pokoju. Niewątpliwie zauważyła tę truciznę przy eksperymentowaniu chłopaka z myszą.

Miguel. Mógł działać w podobny sposób.

Oboje mieli możliwość zamiany kapsułki na trującą albo przed końcem kolacji, albo w okolicach godziny jedenastej, kiedy zjawili się w willi powtórnie.

Filip. On również mógł dokonać zamiany kapsułki na trującą, musiałyby jednak z góry wiedzieć, że nasunie się taka okazja, i mieć przy sobie kapsułek do wymiany, co jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną.

W drugiej kolejności rozpatrzyłem motywy, jakie mogła mieć każda z tych osób dla popełnienia zbrodni.

Na pierwszym miejscu znów znalazła się Klaudia. Przypuśćmy, że Maks zawahał się w stosunku do niej, miał nawrót uczucia dla Madleny, popadł w rozterkę. Postanowiła więc usunąć niebezpieczną rywalkę, która groziła jej utratą

kochanka. Że tą rywalką była własna córka, nie miało większego znaczenia. W istocie nigdy nie traktowała Madleny z macierzyńską czułością. (Dowodem - wierszyk małej Madlgnki: „Niedobra, kiedy będziesz mi matką?”)

Kto wie, do jakich szaleńczych kroków potrafiła ją doprowadzić ta późna i tym bardziej nieokiełznana namiętność? Była kobietą zrównoważoną, ale zazdrość i obawa utraty Maksa mogły łatwo przerodzić się w ślełą nienawiść do Madleny. Oglądając się wstecz, niejedno widziałem na potwierdzenie tej hipotezy.

Jednak bardziej byłem skłonny podejrzewać Daniela o zamordowanie siostry. Madlena na każdym kroku dawała mu do zrozumienia, że nim gardzi, zaś chłopak jest mściwy, ponad wiek rozwinięty i, jak wyczuwałem, ma trochę psychopatyczne cechy. Zgadywałem w nim okrucieństwo, zimną ciekawość rzeczy nie wypróbowanych, jakąś graniczącą ze zboczeniem znieczulicę moralną. Kapuś, donosiciel wyzyskujący bez skrupułów uczucie matki

czemuż nie eksperymentator sprawdzający, czy stać go na uśmiercenie nie tylko myszy?

Maria, kobieta namiętna, porywcza i prymitywna, miała aż nadto ważki powód do zabicia Madleny - zazdrość o męża, któremu panienka najwyraźniej się podobała. Nie po raz pierwszy Miguel dawał żonie powód do zazdrości, ale na pewno nigdy nie tyczyło to dziewczyny tak uroczej i pociągającej.

Trudniej było wykryć jakiś motyw zbrodni u Miguela. Może zalecał się do Madleny i został okrutnie wyśmiany? Może pragnął usunąć panienkę, by mieć święty spokój z żoną? Domysły te były, jak sam rozumiałem, zbyt naciągane.

Zastanawiając się nad każdą ze swoich hipotez, musiałem stwierdzić, że wszystkie są słabo podbudowane. Żadna z tych osób nie wyglądała na mordercę, z zimną krwią przygotowującego uśmiercenie Madleny. A jednak Madlena została zabita! Ktoś z nich musiał, wbrew pozorom, okazać się zdolny do mordu z premedytacją.

„Największą nielogicznością i fantastyką odznacza się sama rzeczywistość” - przypomniałem sobie słowa profesora

Legranda. Wobec absurdalności tego mordu nawet niedorzeczne hipotezy nabierały wiarygodności.

Zdopingowany tą myślą, pokusiłem się o jeszcze jedną hipotezę. A nuż owej nocy był w willi obecny ktoś spoza rodziny i służby? Dajmy na to, jakiś zakochany w Madlenie mężczyzna, który wiedział o jej miłości do Maksa? Motyw zazdrości byłby oczywisty. Zniechęciłem się jednak do rozwinięcia tego wariantu, który byłby oparty na całkiem dowolnych przypuszczeniach.

Czas swobodny od zajęć spędziłem w Lasku Bulońskim, gdzie łatwo znaleźć nie uczęszczane zakątki. Spacerując tam aż do zmęczenia, roztrząsałem w kółko te same problemy, weryfikowałem te same hipotezy. Nazajutrz doszedłem do przekonania, że dysponuję zbyt szczupłym zasobem faktów, i udałem się do komisarza.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedział ściskając moją dłoń. - Czy ma pan mi coś interesującego do powiedzenia? Może wysnuł pan jakieś hipotezy?

- Aż za wiele, ale żadna nie trzyma się kupy. Zdałem sobie sprawę, że zbyt mało wiem o faktycznej stronie zdarzenia. Byłbym wdzięczny, gdyby pan podzielił się ze mną wiadomościami zebranymi w tym czasie.

- Zrobię to chętnie, ale dopiero po tym, jak pan wyłoży mi swoje wiadomości i sugestie. Wtedy urządzimy coś w rodzaju konfrontacji naszych wersji.

Musiałem przyjąć taką kolejność.

Skreśliłem charakterystyki wszystkich osób z grona Charmierów, nie wykluczając przyjaciół domu i służby. Najwięcej interesowało komisarza to, co tyczyło stosunków między Madleną i matką, w ogóle wszystko, co miało związek z Klaudią. Zrozumiałem, że jest ona obiektem głównych podejrzeń, i wbrew woli zrobiłem się ostrożniejszy w tyczących ją wypowiedziach.

Zataiłem, między innymi, że siedząc na skwerze stałem się mimowolnym świadkiem miłosnej sceny między Klaudią i Maksem. Jeżeli ich romans trwa, niech policja sama to wykryje, czemu mają dowiadywać się ode mnie? Nie zdra-

dziłem też, co mówił o żonie Edek podczas naszej ostatniej rozmowy przed wyjazdem - związał mnie przecież przysięgą, że nie powtórzę tego nikomu.

Natomiast pokonałem opory i opowiedziałem wszystko, co wiem o Madlenie: że „ćwiczyła” pocałunki z Filipem, że kochała się w Maksie i była pod jego wpływem, że ostatnio, wskutek nie znanych mi okoliczności, była czymś bardzo przygnębiona. Nie tak obszernie mówiłem o Edku, ale inspektor najwidoczniej nim się nie interesował, chyba dlatego, że jako osoba nieobecna w domu podczas wypadku został on automatycznie wyeliminowany z kręgu podejrzeń.

Skończywszy relację, wyłożyłem i swoje hipotezy, zaznaczywszy, że budowałem je bez specjalnego przekonania. Na samym końcu dla ścisłości wspomniałem o swoim domyśle, że w willi mógł w owym czasie znajdować się ktoś, dotąd nie ujawniony. Ku mojemu zdziwieniu, komisarz uśmiechnął się i powiedział:

- Tu pan trafił w dziesiątkę. Ktoś rzeczywiście spędził tę noc w gościnnym pokoju, dostawszy się tam z ogrodu przez taras.

- To niemożliwe! - zawołałem. - Mieszkałem w tym pokoju dwa tygodnie i dobrze wiem, że zamek w drzwiach balkonowych zardzewiał, nie da się ich otworzyć.

- Widać dlatego zamek został świeżo naoliwiony.

Poczułem się głupio.

- To by oznaczało, że ten ktoś był przez kogoś w domu oczekiwany?

- Tak. Przez kobietę.

- Chce pan powiedzieć, że przez Klaudię lub Madlenę?

- Tak by się wydawało.

- Na jakiej podstawie?

- Widzi pan, ta noc spędzona w pokoju gościnnym była nocą miłą. Dowody? Proszę bardzo. Schowano co prawda nazajutrz pościel, ale zostały świeże ślady na materacu, nie zauważone przez partnerkę nocnego gościa.

- Proszę pana - zacząłem - czy Madlena...

- Denatka była dziewicą - wyjaśnił domyślnie komisarz.

Nie patrzył na mnie, musiałem wyglądać żałośnie.



- Pan sam rozumie - podjął po chwili - że to zmienia postać rzeczy. W grę wchodzi spotkanie pani domu z kimś nam nie znanym, urządzone sprytnie pod nieobecność męża. Panie z towarzystwa miewają różne kaprysy.

Nowa rewelacja wydała mi się czymś monstrualnym. Istotnie ktoś z dwojga kochanków musiał mieć osobliwy kaprys... Gotów byłem zgodzić się z komisarzem, że pomysł należał do Klaudii. Zafundowała sobie perwersyjną przyjemność zdradzania męża w jego własnym domu, pod jednym dachem z córką, którą w ten sposób okrutnie krzywdziła... Byłem absolutnie pewien, że tym nocnym gościem był Maks.

- Państwo Charmierowie mają psa, prawda? - przerwał moje rozmyślenia komisarz.

- Sokratesa. Jest bardzo mądry i czujny.

- I, jak mi powiedziano, w nocy stróżuje w ogrodzie.

- Tak.

- Nie podniósł jednak tym razem alarmu. To chyba znaczy, że intruz należy do bywalców domu.

- Prawdopodobnie - rzuciłem nieobowiązująco.

„Maks! Maks! - krzyczał mój głos wewnętrzny. - Czemu nie mówisz o Maksie?”

- Póki nie dowiemy się, kim był ten człowiek - ciągnął policjant - nie będziemy mieli klucza do zagadki. Czy to prosty zbieg okoliczności, że mord popełniono właśnie tej nocy, kiedy on był w willi?

Odezwałem się po krótkim wahaniu:

- Przyznam się panu szczerze, komisarzu: im więcej dowiaduję się o tej sprawie, tym mniej ją rozumiem. Oszłomiły mnie nowe fakty.

- Będzie ich więcej. Filip Charmier stanowi osobny problem. Wiemy już, że tej nocy był w willi z krótką wizytą. Co sprowadziło go wtedy na miejsce wypadku? Godzina dwudziesta trzecia to niezupełnie normalna pora na odwiedziny. Sprawa służącej i jej męża też nasuwa wiele pytań: czy zapomniane lekarstwo dziecka nie było pretekstem do zjawienia się w willi o nocnej porze? Chłopaka też nie należy wyłączać z podejrzeń.

- Bo klócił się z siostrą?

- Nie tylko dlatego. Kilka dni przedtem miał morfinę, kiedy uśmiercał mysz. Potem pozbył się tej trucizny. W jakim celu?

- Kiedy dowiedział się, że siostra zażyła morfinę, na wszelki wypadek mógł ją wyrzucić, po prostu żeby nie mieć kłopotu.

- Oczywiście, i tak mogło być. W każdym razie, muszę przeprowadzić rozmowy z nimi wszystkimi. Zwłaszcza rozmowa z Filipem Charmierem, w świetle tego, co pan dziś zakomunikował, byłaby bardzo wskazana. Wie pan, co mi przychodzi do głowy?

Zawahał się i dłuższą chwilę zastanawiał się patrząc na mnie, potem podjął stanowczo:

- Cóż, złamałem już jeden zakaz, powierzając panu tajemnicę śledztwa, a teraz popełnię nowe wykroczenie.

- Jakie? - spytałem zaintrygowany.

- Wiem, że pan nie ma nic wspólnego z policją czy sądem, więc nie ma też doświadczenia w pracy śledczej. A jednak zwrócę się do pana o pomoc, że tak powiem, prywatnie. Nadużywam, być może, pańskiej uprzejmości...

- Czy chodzi o jakieś fakty związane z zabójstwem Madleny?

- Tak.

- Gotów jestem do wszelkiej pomocy, na jaką tylko mnie stać. I niech pan nie ma żadnych skrupułów, proszę mną dysponować.

- Dziękuję. Byłbym więc panu bardzo zobowiązany, gdyby zechciał pan rozmówić się z Filipem Charmierem. Kuzynowi prędzej powie prawdę niż policjantom.

- Sam miałem zamiar pomówić z nim. Co pana będzie interesowało?

Przede wszystkim: czy tego wieczora, będąc w willi brata, widział się z bratanicą. W ogóle, cenne będzie wszystko, z czym zechce panu się zwierzyć.

- Czy ten fakt, że był tam owego wieczoru, bardzo go obciąży?

- Nie można tego z góry założyć. Powiem panu, co jest najtrudniejsze dla nas przy rozwikłaniu spraw poszlakowych. Rekonstruując okoliczności towarzyszące zbrodni, a niekiedy całkiem z nią nie związane, ulegamy tendencji dopatrywania

się we wszystkim wspólnoty z wydarzeniem głównym.

-- Co pan ma teraz na myśli?

- Chociażby nocną wizytę pańskiego kuzyna w domu doktora. Może ona znaczyć wiele i nic. Jest mnóstwo powodów, dla których mógł tam się zjawić, ale każdy z góry będziemy uważać za podejrzanego. Być może, nie widział się nawet z bratanicą, bo miał interes do pani doktorowej.

- Wątpliwe, żeby umówiła się z nim na wieczór, kiedy miała wyznaczoną randkę.

Racja. O ile wiem, Filip Charmier jest człowiekiem z fantazją, mógł zjawić się bez uprzedzenia. Mówię to wszystko przykładowo, co oczywiście nie oznacza, że nie interesuje mnie, czy młodszy Charmier był owej nocy w miejscu zabójstwa, a jeżeli był, to w jakim celu. Bardzo będę panu wdzięczny za informację. A ze służącą i jej mężem sam porozmawiam.

Z ciężkim sercem pożegnałem komisarza. Bardzo pragnąłem wykryć sprawcę śmierci Madleny, kimkolwiek by się okazał. Bez współdziałania z fachowcami nic bym nie wskórał, bo nie dysponowałem ani własnym doświadczeniem, ani zasobem odpowiednich środków.

Nie zwlekając zatelefonowałem do Filipa, kupiłem bukiet dla Heleny i pojechałem do Rosny-sous-Bois.

\*\*\*

Willa Filipa położona jest na krańcu miasteczka, wśród ogrodów i sadów. To niewielki piętrowy dom o skromnej fasadzie, nie zapowiadającej wytwornego wnętrza. A jest na co popatrzeć choćby w salonie, gdzie na półkach i stolikach z artystyczną swobodą są porzucane prześliczne cacka z drzewa, kości słoniowej i srebra. Drogocenne kilimy tworzą barwne plamy na ścianach rywalizując z dobrymi obrazami, wśród których zgaduję kilka prac gospodarza. Podłogę pokrywa puszysty dywan kremowego koloru, niskie stoliki i fotele usposabiają do rozkosznego lenistwa. Dostatek, wygoda, dobry smak właściciela.

Patrzyłem na wszystko roztargnionym okiem, pochłonięty myślą o tym, co mnie tu sprowadziło.

Helena przyjęła mój bukiet przepisowym okrzykiem zachwyty, Filip powiedział „jak się masz” i niezwłocznie zaczął oprowadzać mnie po mieszkaniu.

- Tu będzie pokój dziecienny - powiedział na piętrze. - Obok naszej sypialni.

- Ślicznie jest tu u was - rzekłem z udawanym przejęciem. - Ile macie pokoi?

- Tylko pięć. To oczywiście za mało w perspektywie. Będziemy mieli co najmniej troje dzieci.

- Nie wiedziałem, że taki z ciebie tatuś!

- Inaczej nie ma sensu się żenić. Już pertraktuję ze znanym architektem o zbudowanie dla mnie większej willi w południowej części Rosny-sous-Bois. Będzie naprawdę nowoczesna i luksusowa. Jeżeli przyjedziesz za parę lat, znajdziesz nas w nowym mieszkaniu.

- I z trojgiem dzieci?

- Niewykluczone.

Rozmawiał ze mną jak zadowolony z siebie mieszczuch, któremu wszystko się udaje - a ja mimo to wyczuwałem w nim wewnętrzne pęknięcie i niepokój. Schudł w ciągu ostatnich dni, oczy miał zapadnięte, brodę nieco mniej zadbaną.

Zeszliśmy znów do salonu, zapaliliśmy. Helena w kuchni szykowała obiad.

- Byłem w Ville d'Avray - powiedziałem. - Mama bardzo źle wygląda. Jeszcze nie zaczęła pracować, to niedobry znak.

- A Edek?

- Z nim, zdaje się, będzie najgorzej.

- Tak. O Klaudię i Daniela jestem spokojny.

- Nie bardzo lubisz Klaudię?

Wzruszył ramionami:

- Ona ma w nosie moje lubienie czy nielubienie. Ale masz rację, nie przepadam za moją śliczną bratową. Dostyc często mnie drażni.

- Czym?

- Tym swoim poczuciem własnej doskonałości. Intelektualistka! Nie wierzę w intelektualne powołanie kobiet, które mają takie nogi i taki temperament.

- Klaudia rzeczywiście jest intelektualistką.  
- Mylisz się. Ona tylko umie precyzyjnie myśleć, ale bardzo rzadko interesuje się na serio czymś poza swoim zawodem. Mimo wysokich kwalifikacji jest w gruncie rzeczy ograniczona.

- A Madlena?

- Co Madlena?

- Mogłaby wyrosnąć na intelektualistkę. Jak myślisz?

- Nie wiem.

- Znałeś ją przecież.

- Mało. Spotykaliśmy się okazyjnie, od święta do święta.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Drgnął nieznacznie, odpowiedział po chwili:

- Wieczorem tej soboty, kiedy się otruła.

- O której godzinie? - wykrzyknąłem.

- Przyjechałem o jedenastej.

Zerwałem się z miejsca:

- Byłeś na pewno ostatnim człowiekiem, który ją widział przy życiu! Opowiedz: co mówiła, jak wyglądała?

Odłożył papierosa, zapalił nerwowo cygaro. Przemówił, patrząc gdzieś poza mną:

- Była jakby w gorączce, miała spieczone wargi, czerwone policzki i bardzo błyszczące oczy. Przywiozłem książkę, o którą prosiła jeszcze w Wilię, o teorii snów Freuda. Wzięła ją, popatrzyła na okładkę i odłożyła.

„Dziękuję - powiedziała. - Przeczytam to później.” Miałem wrażenie, że jest bliska płaczu.

„Co ci jest? - zapytałem. - Stało się coś?”

Uśmiechnęła się z przymusem:

„Nic ważnego. Oberwałam od mamusi. Jak małe dziecko.”

„Zbesztala cię? Nie przejmuj się.”

„Gorzej: spoliczkowała. Nie wierzysz?”

„No, wiesz...”

„Zapomniała, że kończę osiemnaście lat. Dawno zaniechała metody rękoczynów, zdążyłam się odzwyczaić.” „Doprawdy, nie warto się przejmować.”

„Jasne. Żałuję tylko, że nie oddałam jej. Należało przejechać się po tej buzi.”

„Nie wyobrażam sobie, jak twoja wykwintna mamusia...”

„Wykwintpa! - roześmiała się niewesoło. - Akurat! Zachowała się jak przekupka na targu. Nawet gorzej, bo przekupki obrzucają się obelgami, ale rzadko dochodzi między nimi do mordobicia.”

„Wyrzuć to z głowy, Madlenko. Mama sama będzie się wstydzić, kiedy jej złość przejdzie.”

„Już się wstydzi. Jakies pół godziny temu przyszła do mnie z przeprosinami. Boi się, że poskarżę się tatusiowi. Z nim jednak liczy się trochę.”

„No i co, pogodziłyście się?”

„Jeszcze czego! Nie chciałam z nią gadać. Rozzłościła mnie tą swoją udawaną troską: weź proszek, prześpisz się spokojnie, a jutro porozmawiamy... O czym mamy rozmawiać, u licha, jeżeli...” - tu urwała.

Zrozumiałem, że nic więcej nie powie. Nie nalegałem.

„Zdaje się, zemasz gorączkę” - powiedziałem i chciałem dotknąć jej czoła.

Odsunęła się gwałtownie:

„Nic mi nie jest. Jutro wyjadę do ojca. Nie mam po co tu sterczeć.”

„Masz rację. W górach, powiadają, prawdziwa zima, dużo śniegu.”

„Wyjadę. Byle gdzie. Nie chcę ich widzieć.”

Nie wiem, kogo miała na myśli.

„A proszek rzeczywiście wezmę - dodała. - Po co mam szarpać się całą noc... Idź już, dobranoc.”

- Wyszedłem - powiedział Filip. - Gdybym mógł przewidzieć!

- Czy widziałeś kogoś poza nią?

- Klaudia i Daniel już spali.

- Kto ci otworzył drzwi?

- Maria była w domu, Miguel czekał na nią w samochodzie.

Helena wniosła srebrną tacę z zakąskami. Usiedliśmy przy stole. Filip od razu odzyskał sztuczny humor, ja zmuszałem się do jedzenia i do rozmowy. Pani domu ani razu nie wspomniała o zmarłej, widać unikała zdenerwowania, które jest wysoce niewskazane przy jej stanie.

- Pokaż mi wasz ogród - poprosiłem Filipa, kiedy skończyliśmy obiad.

Zaprowadził mnie wykładaną płytkami ścieżką w głąb ogrodu, gdzie płynął wartki strumyk. Nad wodą zobaczyłem rzeźbę - półleżącą nagą dziewczynę z książką. Przypomniałem sobie: Madlena pozowała Filipowi do tego aktu. Łatwo można było ją poznać.

Stojąc w milczeniu, złożyłem w duchu przysięgę, że nie zaznam spokoju, póki nie wykryję mordercy Madleny. Gdybym powiedział to głośno, zabrzmiałoby zbyt uroczyście, wiedziałem o tym, ale wcale się nie wstydziłem. Może i Filip, ponuro wpatrzony w ziemię, składał podobną.

---

---

- Uczuciowiec! - pogardliwie odezwał się z kanapy Tadeusz.

- Kto? - zapytał Ludwik.

- Ty oczywiście. Filip nie składał żadnej przysięgi, bądź pewien. Zimny drań, ale jedyiny przytomny człowiek w rodzinie.

- A Klaudia?

- Ona? Przytomna? Jakaż przytomna kobieta sprowadziłaby kochanka do własnego domu? Mało to w Paryżu hoteli i miejsc, gdzie odnajmuje się pokój na noc albo na godziny?

- Może krępowwałyby ją takie warunki.

- Klaudie?! - zaniósł się śmiechem. - Z jej doświadczeniem!

- Skąd wiesz o jej doświadczeniu? Nie znasz jej przecież.

- Ale znam kobiety jej typu. Tylko taki uczuciowiec jak ty może mieć złudzenia. Dobrze jeszcze, że zawodowo zajmujesz się mikroorganizmami, a nie ludźmi. Dopiero byś narobił bigosu!

- Może i jestem uczuciowcem, ale nie uważam tego za wadę - powiedział Ludwik z urazą. - Bez wrażliwości, wyobraź sobie, trudno pracować nawet w moim zawodzie.

Dobrze, dobrze, znów się obraziłeś. To już koniec rozdziału?

- Jeszcze nie.

To czytaj. Więcej słówkiem się nie odezwę.

---

---

W poniedziałek przekazałem komisarzowi wszystko, czego dowiedziałem się od Filipa. Słuchał mnie bardzo uważnie, a gdy skończyłem, powiedział:

- Więc pani doktorowa po kolacji co najmniej dwa razy była w pokoju córki. Jeżeli popełniła mord...

- To nieprawdopodobne! - przerwałem mu. - Kobieta o tak precyzyjnym umyśle nie posyłałaby trucizny przez służącą, w obecności syna; to przecież od razu rzuciłoby na nią podejrzenie. Mogła dać córce tubinal bez świadków, okazji by nie zabrakło.

- Nie twierdzę, że kapsułka już wtedy zawierała truciznę. Prawdopodobnie, posyłając ten środek nasenny, pani Charmier jeszcze nie miała zamiaru otrucia córki. Mogła powziąć tę decyzję później, na przykład po burzliwej sprzeczce zakończonej spoliczkowaniem dziewczyny. Obie musiały dojść do stanu wielkiej irytacji, nie sądzi pan?

- Owszem.

- Nie mam niestety materiału, żeby się domyślać, o co tym kobietom poszło, ale sprawa na pewno nie była błaha. Trzeba uwzględnić, że pani doktorowa w oczekiwaniu tajnej randki we własnym domu musiała mieć nerwy bardzo napięte i łatwiej traciła równowagę. Bo słyszałem, że zazwyczaj jest opanowana?

- Nawet bardzo.

- Pozwoli pan, że naszkicuję swoją wersję. Łatwo możemy sobie wyobrazić, że opuściła ona pokój córki, rozjątrzona jakąś obelgą czy pogrózką - czy ja wiem? Nie będę się bawił w domysły na ten temat, nie mając w ręku konkretnych danych. Może pan zaproponuje jakąś sugestię?

Zrobiłem unik:

- Wiele zależy od ustalenia, kto spędził ową noc z moją bratową.

- Wkrótce pewnie będziemy o tym wiedzieli, a na razie snujmy dalej tę hipotezę. Po drastycznej scenie pani Charmier zapragnęła odwetu za doznaną zniewagę. Zauważywszy, że córka dotychczas nie zażyła proszku nasennego, wpada na pomysł, by zamienić kapsułkę leku na kapsułkę trującą. Ma



rzadką okazję, by pozbawić ofiarę życia, nie narażając się na podejrzenia.

- Jakże to? Przecież Maria i Daniel wiedzieli, że to ona zaaplikowała Madlenie tubinal!

- Ale właśnie ta jawność czynu, jak pan sam przed chwilą bardzo logicznie dowiódł, przemawia na jej korzyść. Pani doktorowa istotnie rozumuje z wyjątkową precyzją, oceniła w lot tę sprzyjającą jej okoliczność. A więc: mając zapas tubinalu, opróżnia następną kapsułkę z leku, pakuje w nią śmiertelną dawkę morfiny, zjawia się znów u córki niby to z przeprosinami, w dogodnym momencie zamienia kapsułki, a dla większej pewności przypomina córce na odchodnym, żeby nie zapomniała wziąć proszku nasennego. Ważny szczegół, nieprawdaż?

- Tak. A skąd wzięła morfinę?

- Może miała w swojej apteczce (nic trudnego dla żony lekarza), a może sięgnęła do zapasów syna. Chwileczkę! - powiedział inspektor i zajrzał do tygodnika „Pariscope”. - No, proszę: piątego stycznia o godzinie dwudziestej pierwszej nadawano serial telewizyjny „James Bond”; o ile się orientuję, pański bratanek jest wielbicielem sławnego Bondy?

- Ma pan rację, o tej porze Daniel niezawodnie siedział w salonie przy telewizorze.

- Czyli jego pokój był pusty co najmniej przez godzinę, i matka o tym wiedziała.

- Pan jest przekonany o winie mojej bratowej?

- Tego bym nie powiedział. Matka ofiary mogła to zrobić, tyle tylko mamy prawo stwierdzić w obecnym stadium śledztwa. Ale kilka innych osób również mogło to zrobić; nasze zadanie polega na tym, żeby ustalić, która z nich to zrobiła naprawdę.

Wyjął z szuflady plik zadrukowanych kartek.

- Dzisiejsze pana informacje są dla nas bardzo cenne, być może posuną one naprzód nasze poszukiwania. Z kolei ja udostępnię panu garść informacji. Oto zeznania pani doktorowej. Proszę przejrzeć miejsca zaznaczone kreską na marginesie.

Zabrałem się do lektury.

„Pytanie: Jak określiłaby pani charakter córki?

Odpowiedź: Była trudna we współżyciu, miałam z nią kłopoty od dzieciństwa. Była inteligentna, zdolna, wrażliwa aż do patologii, łatwo wpadała w histerię i wybuchwała gniewem.

Pytanie: Czy była przywiązana do pani?

Odpowiedź: Naturalnie, ale mniej niż do ojca. Jestem bardziej od niego wymagająca.

Pytanie: Czy zdarzały się na tym tle nieporozumienia?

Odpowiedź: Tak. Madlena miewała urojone poczucie krzywdy.

Pytanie: Czy zdarzały się również wypadki krzywdy rzeczywistej?

Odpowiedź: O to niech pan zapyta kogoś innego, nie jestem pewna własnej obiektywności. Wiem tylko, że świadomie i celowo nigdy nie wyrządzałam jej krzywdy. Ale czy można wychować córkę bez zadraśnięć jej ambicji? Taką córkę jak moja?

Pytanie: Jak układały się jej stosunki z ojcem?

Odpowiedź: Lepiej niż ze mną. Mąż jej na wszystko pozwalał.

Pytanie: Czy pani była wtajemniczona w jej intymne przeżycia?

Odpowiedź: Nie. Była bardzo skryta.

Pytanie: Czy miała przyjaciela?

Odpowiedź: Nie wiem.

Pytanie: Jaką rolę odgrywał w jej życiu Maks Rouvel?

Odpowiedź: Pan Rouvel udzielał jej lekcji, kiedy robiła maturę. Cieszył się jej szacunkiem, na pewno miał wpływ na jej poglądy, ale nie sądzę, 'eby ich łączyło jakieś uczucie. Madlena była bardzo dziecinna pod względem seksualnym.”

- Nie zgadzam się z taką charakterystyką Madleny - powiedział przerywając lekturę. - Nie była historyczką, a jej zadawnione urazy pod adresem matki miały realne podstawy, wiem o tym. Co do Rouvela, wszyscy w domu wiedzieli, że Madlena kochała się w nim, i to 2 wzajemnością.

- Matka widocznie stanowiła wyjątek albo udaje niewiedzę: ciekaw jestem, dlaczego? Jeszcze jeden punkt do wyjaśnienia.

- Zauważyłem, że ostatnio między Madleną i Maksem coś się

popsuło.

- Z jakiego powodu?

- Mam wrażenie, że jego stosunek do Magdaleny uległ zmianie na jej niekorzyść.

Wróciłem do przerwanej lektury.

„Pytanie: Czy mogłaby pani scharakteryzować Maksa Rouvela?

Odpowiedź: Za mało go znam. Sprawia wrażenie człowieka inteligentnego, ale jest dosyć źle wychowany, szorstki w obejściu i ma dziwaczne poglądy: należy do skrajnej lewicy, brał zdaje się udział w majowych rozruchach studenckich w roku 1968. Więcej nic nie umiałabym o nim powiedzieć.

Pytanie: Pani posłała córce proszek nasenny około godziny ósmej; czy ona go zażyła od razu?

Odpowiedź: Nie. Zanim położyłam się do łóżka, wstąpiłam do niej o pół do jedenastej, żeby sprawdzić, jak się czuje; widziałam proszek jeszcze w pudełku. Madlena nigdy nie brała środków nasennych, żywiła do nich nieufność.

Pytanie: W jakim była stanie?

Odpowiedź: Czymś podniecona.

Pytanie: Z jakiego powodu?

Odpowiedź: Tego mi nie wyjaśniła. Poradziłam jej, żeby jednak wzięła na noc tubinal, który działa kojąco na nerwy.

Pytanie: Czy służąca państwa żyje w zgodzie ze swoim mężem?

Odpowiedź: Prawdopodobnie. To ludzie prości, prymitywni, ale uczciwi i są bez zarzutu pod względem wykonywania swoich obowiązków.

Pytanie: Czy można jednak powiedzieć, że to zgodne małżeństwo?

Odpowiedź: Do pewnego stopnia. Widzi pan...

Pytanie: Coś zakłóca spokój ich współżycia?

Odpowiedź: Powiem wprost: Miguel jest zanadto kochliwy, każda spódniczka wprawia go w podniecenie, wciąż ma jakieś amory na mieście, a nawet... (tu nagle milknie).

Pytanie: Chciała pani powiedzieć, że nawet w kręgu wspólnych znajomych pozwala sobie na flirty?

Odpowiedź: Oni właściwie nie mają wspólnych znajomych, poza nami. Miguel spędza u nas dużo czasu, jada w naszym domu, dopiero po kolacji zawozi rodzinę do swojego mieszkania.

Pytanie: Czy można zrozumieć poprzednie pani słowa w ten sposób, że i w domu państwa Miguel nie hamuje swoich miłosnych zapędów? (Pani Charmier milczy). Proszę pani, każdy szczegół w tej sprawie może mieć znaczenie. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, nie krępując się ubocznymi względami.

Odpowiedź: Dobrze. Miguelowi podobała się moja córka.

Pytanie: Czy usiłował się do niej zbliżyć?

Odpowiedź: W pewnym sensie tak. Wynajdował preteksty, żeby wchodzić do jej pokoju - czy to dla regulacji telewizora, czy dla sprawdzenia kaloryferów.

Pytanie: Córka pani orientowała się w jego zamiarach?

Odpowiedź: Niewątpliwie. To ją bawiło, niekiedy pozwalała mu na pewną poufałość... oczywiście nie zdając sobie sprawy z dwuznaczności takiej postawy. Pewnego razu weszłam niespodziewanie do niej i widziałam, jak ją całował.

Pytanie: Czy służąca podejrzewała męża o te zaloty?

Odpowiedź: Maria jest bardzo zazdrosna i podejrzliwa, stale szpieguje męża. Bardzo możliwe, że i ona kiedyś przyłapała Miguela i Madlenę na gorącym uczynku. Zauważyłam w każdym razie, że od pewnego czasu zrobiła się wobec Madleny arogancka i niechętnie jej usługiwała.”

- Co pan powie o tych zeznaniach? - zapytał Dubon, kiedy odłożyłem maszynopis. - Uwierzyłyby pan, że bratanica zachęcała Miguela do swawoli?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wykluczam tego. Opowiadałem przecież panu, jak Madlena „ćwiczyła” pocałunki z własnym stryjem. Zaloty Miguela mogły ją rzeczywiście bawić... Ale Klaudia wyjawiała pół- i ćwierćprawdy, zatajając rzeczy istotnie ważne, jak ostatnia sprzeczka z córką.

- Jeszcze jeden dowód jej bystrości i roztropności - uśmiechnął się komisarz. - Wyeliminowała ze swojej relacji

wszystko, co można by zinterpretować na jej niekorzyść.

- Czy pytano ją na temat nocnego gościa?

- Nie. Ten atut zostawiam na później, może bardzo a bardzo się przydać. Również doktorowi o tym nie wspomniałem - po cóż urażać męża bez skrajnej potrzeby? Zeznania doktora są skąpe i nieciekawe, bo prawdę mówiąc, niewiele ma on do powiedzenia. Natomiast warto przejrzeć zeznania jego syna, który mówił chętnie i dużo, a zawsze przytomnie.

Znów zabrałem się do czytania.

„Pytanie: Jakie były stosunki między tobą i siostrą?

Odpowiedź: Bardzo złe. Kłóciliśmy się przy każdej okazji.

Pytanie: Dlaczego?

Odpowiedź: Dokuczała mi na każdym kroku. Nic mnie nie obchodziły jej sprawy i gdyby nie mieszała się do moich, wszystko byłoby w porządku.

Pytanie: Jak byś określił jej charakter?

Odpowiedź: Była zapóźniona w rozwoju fizjologicznym, stąd jej głupie wyskoki i nieznośny charakter.

Pytanie: Co chcesz przez to powiedzieć?

Odpowiedź: To przecież jasne. Dziewczyny jeszcze nie rozbudzone starają się to ukryć za wszelką cenę, nadrabiają miną, udają niemal rozpustnice. A w rzeczywistości boją się życia seksualnego i długo zachowują dziewictwo. Ona była z tego znana jeszcze w liceum, chłopcy nie chcieli z nią się wiązać, bo tylko kłopot z taką niedotykalską. Koleżanki śmiały się z niej: ma osiemnaście lat, a jeszcze nie spała z mężczyzną!

Pytanie: A one kiedy rozpoczynały życie seksualne?

Odpowiedź: Nie wiem, ale moje rówieśniczki już mają to za sobą.

Pytanie: Piętnastoletnie? I ty masz takie doświadczenie?

Odpowiedź: Jasne. Mógłbym być ojcem, ale moje dziewczyny są sprytne.

Pytanie: Co powiesz o Maksie Rouvelu?

Odpowiedź: Madlena kochała go romantyczną miłością, jak na nią przystało. A to nie był mężczyzna dla niej.

Pytanie: Dlaczego? Nie płacił jej wzajemnością?

Odpowiedź: Durzył się w niej, to było widać, ale jakoś po

swojemu, niemądrze. On jest mocny w gębie na tematy polityczne, ale w takich sprawach to ciamajda. Nie on będzie atakował kobiety, tylko jego będą zdobywały te bardziej doświadczone, z inicjatywą.

Pytanie: Skąd ty masz rozeznanie w dziedzinie seksu? Pasjonujesz się, jak słycać, chemią?

Odpowiedź: Niekoniecznie będę studiował chemię, mam czas do namysłu. Może będę seksuologiem. Właśnie czytam teraz pracę niemieckiego autora »Seksualne życie współczesnej młodzieży w Europie Zachodniej«. Zna pan tę książkę? Kapitalna!

Pytanie: Jakie były stosunki twojej siostry ze służbą?

Odpowiedź: Dwuznaczne. Miguel to kobieciarz i prostak, Madlena, rzecz jasna, piekielnie mu się podobała.

Pytanie: Czy dawał jej to do poznania?

Odpowiedź: Pan chce zapytać, czy dowalał się do niej? Owszem, ale ją to śmieszyło. Jakby mu na złość, podkreślała, że nie traktuje go jak mężczyznę. Pozwalała mu wchodzić do pokoju, kiedy była jeszcze w łóżku, wstawała przy nim i wkładała szlafrok. Sam to widziałem, kiedy drzwi były nie domknięte.

Pytanie: Jak on na to reagował?

Odpowiedź: Normalnie. Usiłował schwytać ją i całować. Wtedy wyrywała się, dawała mu po łapach. Zaśmiewała się przy tym, a on wychodził cały czerwony.

Pytanie: Czy jego żona o tym wiedziała?

Odpowiedź: Oczywiście! Madlena nie dbała o tajemnicę, Maria mogła ich podejrzeć tak samo, jak ja. Szpiegowała Miguela, od kilku miesięcy polowała na nich, żeby przyłapać oboje na pocałunkach. Kilka razy słyszałem, jak mu wymyślała.

Pytanie: Czy siostra o tym wiedziała?

Odpowiedź: Nie wiem. Ja w każdym razie miałem świetną zabawę, podsłuchując, kiedy Miguel wchodził do Madleny. Pewnego razu ona zapytała: »Czy każdy Hiszpan jest taki łąsy na pocałunki?« Myślę, że czasem pozwalała mu się całować.”

Z niesmakiem odłożyłem protokół.

- Jak pan widzi - zauważył inspektor - chłopak zeznawał nad

podziw sprytnie. Ośmieszał siostrę, jej przyjaciela, służącą wraz z mężem, a wszystko w określonym celu. Na wstępie dał niby dowód szczerości, przyznając się otwarcie do złych stosunków ze zmarłą siostrą, a zrobił to z prostego obliczenia, że był to fakt nie do ukrycia. Natomiast zatuszował to wszystko, co dotyczyło jego konkretnych posunięć tego wieczora. Może pan teraz przejrzy zeznania służącej?

- Bardzo chętnie.

„Pytanie: Czy w dniach poprzedzających wypadek zdarzyło się w domu coś niezwykłego?

Odpowiedź: Tak, proszę pana. W zaprzeszłą środę sprzątałam u panienki i zauważyłam, że ona się czymś bardzo martwi. Pyta mnie: Mario, czy pani nie widziała mojego portfela? Jakiego, pytam. Tego, powiada, co go dostałam na nowy rok od tatusia. Leżał, powiada, w moim biurku. Nie widziałam, mówię. Bo, proszę pana, ja nie zaglądam do szuflad.

Pytanie: Cóż, znalazł się portfel?

Odpowiedź: Tak właśnie zapytałam następnego dnia: znalazł się portfel? Nie, powiada panienska, ale to nic ważnego, pewnie zostawiłam go u przyjaciółki. Nawet zapomniałam o tym, ale przed pogrzebem robiłam porządek w pokoju Daniela, odsunęłam od ściany biblioteczkę, patrzę - z tyłu widać wetknięty między książkami portfel nieboszczki. Jezus, Maria! Przestraszyłam się, czym prędzej przysunęłam półkę z powrotem i nic państwu nie powiedziałam. Dość mają oni teraz zmartwienia, a panience przecież portfel już niepotrzebny.

Pytanie: Były tam pieniądze?

Odpowiedź: Nie wiem, nie brałam go do ręki.”

- Kiedy Maria złożyła te zeznania? - zapytałam Dubona.

- W ubiegły czwartek policja przeprowadziła rozmowy z rodziną Charmier i ze służbą. Natychmiast po uzyskaniu tej wiadomości sprawdzono dyskretnie, czy portfel denatki nadal znajduje się we wskazanym miejscu; był za książkami na półce Daniela, a wewnątrz leżały cztery banknoty po pięćset franków.

- Co pan o tym sądzi?

- Że chłopak popełnił kradzież; chyba że służąca sama skradła portfel, a przestraszywszy się policji, podrzuciła go

Danielowi.

- Wykluczam to, komisarzu. Zarówno Maria, jak Miguel są poza takimi podejrzeniami, ich uczciwość była wielokrotnie sprawdzona podczas wyjazdów całej rodziny, kiedy dom zostawał pod ich opieką.

- Tak też przypuszczałem. Odnotujmy na razie fakt dosyć znamienne: Daniel okradł siostrę z poważnej sumy i bał się, że to się wyda.

- Czy to mógłby być wystarczający motyw?...

- W oderwaniu od innych ten motyw pewnie by nie wystarczył, ale przecież istniały inne: wrogość wobec siostry, osobliwe cechy zaobserwowane przez pana, jak rozmiłowanie w sadystycznych obrazach, zabijanie zwierząt niby to w celach naukowych, stopień hamulców moralnych, skłonność do zimnych okrucieństw, a może i do perwersji...

- Ależ, komisarzu, to są tylko moje wrażenia, nie sprawdzone i być może zbyt subiektywne!

- Tego nie wykluczam, chociaż pańskie wrażenia dziwnym trafem zbiegają się z moimi. W ogóle za wcześnie jeszcze na wyciąganie daleko idących wniosków wobec chłopca, jak też wobec innych podejrzanych.

- Czy pan powiadomił rodziców Daniela o popełnionej przez niego kradzieży?

- Na razie powiedziałem to tylko doktorowi, który potwierdził, że przed wyjazdem do Chamonix ofiarował córce portfel z dwoma tysiącami franków. Prosiłem go, żeby w interesie śledztwa nie mówił o tym wypadku nikomu, nawet małżonce. Przynależ mi i myślę, że dotrzyma słowa.

Wróciłem do zeznań Marii.

„Pytanie: Czy pani widziała w pokoju Daniela morfinę?

Odpowiedź: Widziałam przed Nowym Rokiem, kiedy zatrzymał mysz. Przez dwa dni ta padlina leżała na stole, a na oknie stała flaszeczka z napisem »Morfina«. Chciałam ją schować do szafki, ale on nie pozwolił. Gdzie potem się podziała, nie wiem.

Pytanie: Ile proszków zawierało pudełko tubinalu, które pani doktorowa posłała córce?



Odpowiedź: Jeden proszek, ostatni.

Pytanie: Skąd pani wie? (Służąca jest zmieszana.)

Odpowiedź: Panienska przy mnie zajrzała do pudełka.”

Zamyśliłem się.

- Czy na pudełku wykryto jakieś ślady? - zapytałem.

- Wykryto odciski palców trzech osób: pani Charmier, służącej i denatki. Wszystkie zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz pudełka.

- A więc Maria skłamała, że go nie otwierała. Dlaczego?

- Może po prostu ze strachu, że to ją obciążą.

- Miała rację. To chyba obciąża i Marię, i moją bratową?

- Niezupełnie tak. Ślady doktorowej są rzeczą naturalną, bo nieraz miała to pudełko w ręku. Winowajca zaś mógł być na tyle przebiegły, że włożył rękawiczki.

W głowie mi się kręciło od takiej dawki rewelacji.

- Dziękuję panu - powiedziałem. - Trochę jestem oszomiony i... zażenowany. Spędziłem dwa tygodnie w domu, gdzie w czyjejś głowie leżała się zbrodnia - i nic nie wyczułem! A przecież z pewnością można było uchwycić jakieś objawy.

- Niepotrzebnie pan sobie robi wyrzuty. Przecież pan nie ma skrzywień zawodowych, jak ludzie naszego fachu: to tylko my z góry zakładamy, że zbrodnia może zostać popełniona w każdym gronie, przez każdego człowieka. Myśli pan, że nie żywiłem podejrzeń wobec pana? Gdyby nie dobre alibi, nie czytałby pan tu zeznań osób podejrzanych, tylko byłby śledzony jak one.

- Mimo dobrych referencji od pańskiego teścia?

- Tak.

- Dziękuję za szczerość - uśmiechnąłem się z przymusem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Kiedy pan wraca do Polski?

- Dziś po południu odbędzie się uroczyste zamknięcie naszej konferencji. Parę dni chcę poświęcić ciotce i francuskim kolegom, wyjadę prawdopodobnie dziewiętnastego.

- Prosiłbym pana o adres warszawski. Niewykluczone, że będę chciał zwrócić się do pana o jakieś wyjaśnienia.

- Odpiszę niezwłocznie, komisarzu. Chciałbym ze swej strony

prosić o wiadomość, jeżeli winowajca zostanie wykryty.

- Dopiero kiedy zostanie ujęty, drogi panie, bo wcześniej, i to w zagranicznym liście... za duże byłoby wykroczenie. Na razie, jak pan wie, śledztwo nie wyszło ze stadium obserwacji podejrzanych. Kiedy sprawę przejmie prokuratura, będziemy zależni od niej.

- Żałuję, że wyjeżdżam w toku śledztwa - powiedziałem wstając.

- Ja też tego żałuję - powiedział Dubon z miłym uśmiechem. - Pan nam dużo pomógł. Dziękuję za dobrą wolę.

\*\*\*

Bardzo się zaprzyjaźniłem z profesorem Legrandem, który dowiedziawszy się o żalobie w naszej rodzinie okazał mi dużo delikatnego współczucia. Sporo czasu spędzałem w jego laboratorium śledząc przebieg prowadzonego przezeń eksperymentu, a niekiedy po prostu gawędząc o tym i owym. Te godziny były jedynym moim odprężeniem.

Smutne stały się teraz spotkania z Wandą. Zaczęła już przyjeżdżać do pracy, więc widywaliśmy się w Paryżu - w księgarni lub w restauracji, gdzie jadła codziennie. Straciła młodzieńczą żywość ruchów, spojrzenia, mowy, zestarzała się gwałtownie i choć nadal starannie robiła makijaż i dbała o fryzurę, znać było, że przeżyła już wiele lat, które jej ciążyą.

Od niej dowiadywałem się nowin o rodzinie. Edek nadal był zamknięty w sobie, Klaudia zrobiła się domatorką i nikogo nie przyjmowała, Daniel pilnie się uczył i zbierał dobre stopnie.

- Maria opuszcza się w pracy - zauważyła ciotka. - Ja bym na miejscu Klaudii pomyślała o zmianie służącej, ale oczywiście nie teraz, później.

Podobnie jak żona Filipa, unikała rozmów o Madlenie, a kiedy to się jej zdarzało, nie nazywała wnuczki po imieniu.

- Pojąć nie mogę, dlaczego ona to zrobiła - powiedziała pewnego razu. - Zupełnie nie mogę. Może ty wiesz?

- Skądże! Znałem ją tak krótko.

- Miewała jakieś... no, jakieś dziwne pomysły. Wiosną uciekła z domu i cały tydzień ukrywała się w Paryżu.

- Opowiadałaś mi o tym.

- Do dziś nie wiem, dlaczego.

Nie patrzyła na mnie i miała niewyraźną minę. Czyżby dotarły do niej słuchy o popełnieniu morderstwa? Pewnie uważała, że to byłoby jeszcze większym skandalem dla rodziny. Miała rację o tyle, że groziło to jeszcze większym rozgłosem. Biedna moja Wanda! Jak zwykle, dbała o honor rodu.

Ostatni wieczór spędziłem w Ville d'Avray.

Daniel gadał bez ustanku, a gdyby tego nie robił, panowałyby przy stole krępująca cisza. Klaudia zmuszała się do serdeczności dla mnie, ale chwilami nieruchomiała ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad naszymi głowami. Edek nie dbał o pozory, był skupiony, małomówny i wyraźnie nieobecny duchem.

Wanda, szczerze zasmucona moim wyjazdem, rozpytywała mnie, czy załatwiłem swoje sprawy prywatne.

- Nie mam prywatnych spraw - zapewniałem ją.

- Może potrzebujesz czegoś? Miałaś przecież mało forsy.

- Starczyło na wszystko, ciociu, dziękuję.

Potem w salonie raczyliśmy się koniakiem, oglądając telewizyjny reportaż z Włoch, co zwalniało nas od przymusu rozmowy.

- Byłabym zapomniała! — nagle powiedziała Klaudia. - Mam dla ciebie coś na drogę, chodźmy na górę.

W sypialni wręczyła mi bombonierę, a gdy ucałowałem w podcięcie jej dłoń, nagle odezwała się niepewnym głosem:

- Ludwiku, czy mogłabym cię prosić o przysługę?

O wielką przyjacielską przysługę?

- Oczywiście.

- Pod warunkiem, że nikt nigdy o tym się nie dowie.

- O co chodzi, Klaudio? - zapytałem zmieszany.

- Właściwie to drobiazg, ale w obecnej sytuacji nie mogę zrobić ani kroku, żeby policja tym się nie zainteresowała. Proszę cię o wrzucenie do skrzynki listu, który zaadresujesz swoją ręką. Zgoda?

Nie mogłem odmówić. Podała mi zaklejoną kopertę i kartkę z adresem:

- Po przepisaniu zniszczysz tę kartkę, dobrze?

- Dobrze - powiedziałem i spojrziałem na adres: Pan M. Rouvel, 25 Faubourg St. Martin, Paryż 10.

Wróciliśmy do salonu, zacząłem się zęgnąć. Ku mojemu zdziwieniu Edek powiedział, że zawiezie mnie do hotelu.

Uścisnąłem dłoń Daniela, musnąłem policzek Klaudii, objąłem ramieniem Wandę.

- Jutro zobaczymy się na dworcu - powiedziała i wsunęła mi do ręki pakunek. - To neseser, przyda ci się w podróży.

Wszyscy wyszli przed dom i patrzyli, jak wsiadamy do wozu. Ruszyliśmy, pomachałem dłonią przez otwarte okno i willa kuzynostwa szybko zniknęła za zakrętem szosy.

Odjeżdżałem z Ville d'Avray tym samym formem, który miesiąc temu przywiózł mnie z dworca. To jeszcze bardziej podkreślało ponury kontrast między ówczesną sytuacją a terażniejszą.

Myślałem, że Edek chce ze mną pomówić, ale on nie odzywał się przez całą drogę. Dopiero gdy już dojeżdżaliśmy do mojej ulicy, zapytał:

- Pamiętasz naszą rozmowę przed twoim wyjazdem od nas?

- Pamiętam.

- Przysięgałeś, że nie powtórzysz jej nikomu.

- Dotrzymałem przysięgi.

- Na pewno?

- Na pewno. Mimo że wzywano mnie na policję.

Zatrzymał wóz, zapalił papierosa. Widziałem, że chciałby jeszcze o coś zapytać, ale się waha. W końcu ruszył, a kiedy za rogiem ukazał się „Gołąb pocztowy”, rzucił:

- Nie myliłem się wtedy ani na jotę. Teraz jeszcze bardziej zależy mi na twojej dyskrecji. Pamiętaj o tym, Ludwiku.

Uścisnęliśmy sobie dłoń, wysiadłem. Ford-escort od razu ruszył i szybko zniknął mi z oczu.

W swoim pokoju otworzyłem list Klaudii. Nie miałem zamiaru łamać słowa i komukolwiek przekazywać treści listu, ale musiałem przynajmniej wiedzieć, co pisała do Maksa. Przeczytałem:

„Kochany, nie dzwoń do mnie, nie przychodź i nie pisz.

Sama dam ci znać, kiedy będziemy mogli się spotkać.

Bądź cierpliwy i wierz mi, że inaczej w tej chwili postąpić nie mogę. Całuję cię. K.”

Nazajutrz rano wrzuciłem ten list do skrzynki i pojechałem do profesora Legrand, żeby się pożegnać. Stary był wzruszająco serdeczny, obiecywał, że odwiedzi mnie w Polsce, prosił o listy. Przyrzekliśmy sobie regularny kontakt korespondencyjny.

W niedzielę 19 stycznia, pożegnawszy czule panią Deniac, znów znalazłem się na Dworcu Północnym. Odprowadzała mnie tylko Wanda. Patrząc na jej postarzałą twarz, zdałem sobie sprawę, że i ja czuję się tak, jak gdyby przybyło mi wiele lat.

Do ostatniej chwili stałem przed wagonem, całowałem jej dłonie, prosiłem, żeby dbała o siebie, a ona przyrzekała, że będzie rozsądna. Oboje czuliśmy zbędność tych słów, ale milczenie byłoby gorsze.

Pociąg ruszył. Stałem w oknie, machałem chustką. Przygarbiona postać mojej starej ciotki maląła, stawiała się coraz drobniejsza...

Żegnałem Paryż - może na zawsze.

---

---

- To już wszystko na dzisiaj - powiedział Ludwik. Tadeusz milczał.

- Rozczarowałem cię?

- Głupie pytanie.

- Dlaczego? Może spodziewałeś się większej sensacji.

- Przecież to jeszcze nie koniec?

- Nie. Sensacje dopiero się zaczną w następnym rozdziale.

- Wtedy będziemy o nich mówić.

Ciężko podniósł się z kanapy i rozejrzał po pokoju.

- Nie masz ty jakiegoś porządnego trunku? Wódka mi się skończyła.

- Niestety... Mówiłem ci, że kiedy pracuję, to nie piję.

- Ale mógłbyś trzymać coś dla gości. No, to ja pójdę. Kiedy

mam cię odwiedzić?

- Pojutrze. Czwarty rozdział mam tylko naszkicowany, muszę sobie przypomnieć ważne szczegóły. Myślę, że jednak zdążę.

- Dobra!

Podszedł do stolika, przerzucił kilka kartek:

- Ależ ty bazgrzesz! Za nic bym nie umiał odczytać twojej pisaniny. Więc widzimy się pojutrze. Dobranoc!

Po jego odejściu Ludwik długo krzątał się po swoim ciasnym pokoju. Był zbyt zmęczony, żeby dalej pracować.

„Czy starczy mi pomysłu? - pytał siebie. - Rzecz staje się coraz trudniejsza do zrobienia. Ale przecież muszę ją doprowadzić do końca!”

## WIECZÓR CZWARTY

- Całą noc nie spałem - powiedział Tadeusz. - Ząb mnie rozbolał»

- Brałeś weramon?

- Wziąłem jakieś inne paskudztwo, zagraniczne. Nie pomaga.

- Czy ten ząb kiedyś już był leczony?

- Nie lubię chodzić do dentysty.

- W takim razie może skończyć się na zapaleniu okos- tnej.

- Na to właśnie wygląda. Ale jednak czytaj, może zasnę, bo w nocy nie zmrzyłem oka.

- Trudno, postaram się ukołysać cię do snu, choć nie będzie to dla mnie pochlebne. Tylko wiesz... - dodał

Ludwik biorąc do ręki plik z apisanych kartek. - Muszę cię uprzedzić, że zmieniłem sposób pisania.

- Dlaczego?

- Opisywałem dotychczas wypadki, które zaszły podczas mojego pobytu we Francji, więc przemawiałem we własnym imieniu. To, co stało się później, zrekonstruowałem z pomocą ustnych relacji i dokumentów, nie będąc już ani uczestnikiem, ani świadkiem czy powiernikiem. Usuwam więc siebie, autora, z pola widzenia.

- Twoja sprawa - odezwał się mrukiwie Tadeusz. - Dla mnie

to bez różnicy.

Wyciągnął się postęgując na kanapie i zamknął oczy.

---

---

## **Część druga**

### **Dzień powszedni komisarza i podejrzanych**

Komisarz Dubon był człowiekiem cierpliwym.

W jego karierze zdarzały się sprawy trudne, bardzo trudne i w końcu beznadziejne, nie rokujące rozwikłania, które jednak pewnego pięknego dnia rozstrzygał przypadek. Długoletnie doświadczenie nauczyło go sztuki czekania - nie bierności, kiedy liczy się na szczęśliwy traf, lecz wytrwałego stanu pogotowia, kiedy śledzi się zbrodniarza z głębokiego ukrycia, jakby zachęcając go do popełnienia nierozważnego kroku.

W miesiąc po zgonie Madleny Charmier domownikom mogło się wydawać, że policja zapomniała o tej sprawie. Nie było nowych przesłuchań, nikt nie obserwował willi. Życie mogłoby wrócić do normy, gdyby nie pusty pokój na górze i coś nieuchwytnego a przykrego w atmosferze domu. Tak jakby miejsce zmarłej dziewczyny zajęła jakaś niematerialna siła, wroga tu wszystkim - być może, czyjeś nieczyste sumienie.

Tymczasem komisarz o sprawie nie zapominał. Nastręczała mu nie tylko wielkich trudności, ale też irytacji. Rodzina ofiary należała do elity Ville d'Avray, nie można było jej traktować jak byle kogo. Niepodobna nachodzić tych ludzi w ich willi ani wzywać do prefektury niczym szarych obywateli. Nawet z ich służbą należało postępować ostrożnie i delikatnie, by nie urazić godności chlebobawców. I, broń Boże, nie wolno dopuścić, żeby wiadomość o zajściu dostała się do prasy.

A przecież, do licha, nie ulega wątpliwości, że ktoś zabił tę dziewczynę! W nocy z piątego na szósty stycznia otrul ją ktoś znajdujący się w willi, zamieniając w jej pokoju kapsułkę tubinalu na kapsułkę z morfiną. Taką możliwość miało sześć osób, które komisarz odnotował na kartce:

- 1.Klaudia Charmier.
- 2.Daniel Charmier.
- 3.Maria Ferraro.
- 4.Miguel Ferraro.
- 5.Filip Charmier.
- 6.Nieznany osobnik.

Wkrótce skreślił z tej listy Filipa Charmiera, ponieważ po głębszym namyśle doszedł do wniosku, że jakiegokolwiek powody mógłby mieć stryj ofiary do jej uśmiercenia, to jednak absurdem jest przypuszczenie, żeby, nic nie wiedząc o zaaplikowanym jej tubinalu, przed wizytą zaopatrzył się w identyczną kapsułkę z tiucizną.

Zostało więc na liście pięć osób, z których tylko cztery posiadały nazwiska, piąta zaś była postacią abstrakcyjną, w każdym razie dla komisarza. To go najbardziej irytowało.

Wiedział o tym osobniku tylko tyle, że jest kochankiem pani Charmier i że krytycznej nocy znajdował się z nią w gościnnym pokoju.

Po miesiącu żmudnego rekonesansu zebrano spory materiał o życiu uczuciowym doktorowej, dzięki niedyskrecji i dobrej pamięci pracowników jej koncernu i różnych konsjerżek. Ustalono, że miała ona w przeciągu lat kilkunastu czterech intymnych przyjaciół, związanych z jej instytucją i zajmujących wysokie stanowiska. Nikt z nich jednak, jak stwierdzono z całą pewnością, nie mógł spędzić tej nocy w jej willi.

Najprawdopodobniej Anonim (tak nazywał poszukiwanego osobnika komisarz) był kochankiem świeższej daty i, wbrew tradycji pani Charmier, pochodził z innego środowiska niż jej zawodowe. Od zgonu córki nie utrzymywała z nim żadnych kontaktów, więc nie było sposobu, by natrafić na jego ślad. To zerwanie lub zawieszenie kontaktów świadczyło o zaniepokojeniu pani doktorowej i sugerowało, że człowiek ten był w jakiś sposób wmieszany w tragiczne wydarzenie.

Coś w tej sprawie od początku drażniło Dubona. Lubił mieć do czynienia ze zbrodniarzem inteligentnym, pomysłowym i konsekwentnym. Z człowiekiem, który dobrze obmyślił swoje przedsięwzięcie i obwarował się ze wszystkich stron.



Mając takiego przeciwnika, można w wyobraźni postawić się w jego sytuacji, uwzględnić wszystkie przeszkody, zgadnąć sposoby ich obalenia lub ominięcia. W takiej walce można uczestniczyć z igraszką sportowym zaangażowaniem, tu intelekt mierzy się z intelektem, refleks z refleksem, inwencja z inwencją.

Zabójstwo w Ville d'Avray nie miało cech przemyślanej koncepcji, okoliczności przypadkowe odegrały w nim, jak się zdaje, główną rolę.

Możliwość dokonania mordu zaistniała w chwili, kiedy pani Charmier posłała córce środek nasenny. Jawność, z jaką to uczyniła, stanowi rękojmię, że wówczas kapsułka zawierała tubinal, nie truciznę. Ktoś skorzystał z nadarzającej się okazji, by zastąpić proszek nasenny morfiną. Jeżeli tego nie zrobiła matka ofiary, tylko ktoś inny, to należy zakwalifikować tę zbrodnię jako improwizację bez uprzedniego przygotowania.

Nie można jednak wykluczyć, że winowajczynią jest matka. Ale i w tym wypadku nie była to akcja dobrze zaplanowana i wykonana. Zostały popełnione dwa błędy logiczne. Po pierwsze, rzuciła podejrzenie przede wszystkim na syna, którego uwielbia; po drugie, bynajmniej nie zagwarantowała sobie bezpieczeństwa, ponieważ na równi z innymi podejrzanymi mogła dokonać zamiany kapsulek później, na przykład po burzliwej sprzeczce z córką, którą nawet spoliczkowała.

Nie, gdzieś tu tkwi jakiś zasadniczy błąd konstrukcyjny! A przecież wszyscy podkreślają, że pani Charmier odznacza się wyjątkową precyzją umysłu...

Znużony jałowością tych dociekań, zajrzał do pokoju inspektorów i poprosił o zaparzenie mocnej kawy. Stał przy oknie patrząc na plac Dauphine, którego podłużny trójkąt był mu znany lepiej niż własna kieszeń.

Oto właściciel piwiarni gawędzi na tarasie z reporterem „Figaro”. Oto kelner niesie do Prefektury tacę nakrytą serwetką - widocznie któryś z kolegów nie miał dziś czasu, żeby zjeść w domu śniadanie. Oto pijak zwolniony z nocnego aresztu grzebie w śmieciach szukając niedopałków... Wszystko jak co

dzień.

Młody inspektor przyniósł filiżankę gorącej kawy.

- Słuchaj no, Charles - powiedział komisarz - zjrzyj do gazety: czy jest dziś dobre spotkanie bokserskie?

- Owszem, nasz Gaston bije się z Marokańczykiem.

- Masz wieczór wolny?

- O tym szef zadecyduje.

- Jeżeli chcesz, możemy obejrzeć ten boks.

- Będę bardzo wdzięczny.

- To zamów bilety.

Komisarz wrzucił do dolnej szuflady materiały o zabójstwie w Ville d'Avray i zajął się bieżącymi sprawami. W poczekalni siedziało już kilka osób pragnących rozmówić się z nim osobiście. Z więzienia sprowadzono świadka do konfrontacji z podejrzanymi o obrabowanie sklepu jubilerskiego. Czas do obiadu zleciał niepostrzeżenie.

Obiad spożył w gronie rodzinnym. Wysłuchał narzekań małżonki na wzrastającą drożyznę, rozstrzygnął kolejny spór między swoimi chłopcami na korzyść młodszego, porozmawiał z sąsiadem, który radził się go w sprawie nabycia pobliskiego baru, uciął sobie krótką drzemkę, a wychodząc uprzedził żonę, że dziś zje kolację na mieście i wróci późno, bo idzie z kolegą na mecz bokserski.

- Szkoda - westchnęła żona. - Myślałam, że obejrzymy „Dagę kameliową” z Gretą Garbo.

- Zaproś kuzynkę, na pewno chętnie pójdzie z tobą.

Wrócił na Quai des Orfèvres. Wchodząc na drugie piętro, po raz setny pomyślał, że te schody niekoniecznie muszą magazynować brudy z całego tygodnia. Zawsze myśląc o tym mówił sobie, że dziś jeszcze zarządzi odpowiednie środki administracyjne, jednakże w chwili kiedy otwierał drzwi swojego gabinetu, natychmiast zapominał o powziętym zamiarze. Już sam widok ciężkiego biurka z mnóstwem szuflad kierował jego myśli ku sprawom bardziej pilnym. I zaczynał się na nowo kołowrotek codzienny, jednostajny mimo różnorodności zajęć.

Tego popołudnia był ruch w interesie. Pewna pani z ulicy

Gaité złożyła donos na swoją sąsiadkę, że trudni się nierządem. Matka zaginionego chłopca przyniosła kartkę z Avinionu, w której pisał, że powodzi mu się dobrze i do domu nie wróci; kobieta obawiała się, że syn trafił w złe towarzystwo. Z Sekwany wyłowiono zwłoki mężczyzny, należało posłać kogoś do kostnicy. Znów były ponagląjące telefony szefa Policji Kryminalnej w związku z porwaniem dyplomaty hinduskiego...

Sprawa zabójstwa Madleny Charmier spoczywała w dolnej szufladzie i nic nie wskazywało, żeby miała szybko powrócić na biurko.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy wieczorem zameldował się u Dubona policjant, któremu poruczono inwigilację Daniela Charmiera.

- Masz coś nowego? - zapytał komisarz zajęty czymś innym.

- Tak, szefie. Nie wiem, czy to ma związek z zabójstwem dziewczyny, ale na wszelki wypadek...

- Mów, co się stało.

- Dzisiaj chłopiec wraz ze swoim byłym kolegą szkolnym zrobił wyprawę do Paryża. Odwiedzali pokątnych handlarzy narkotykami.

- Których?

- Przy dworcu Saint-Lazare Janka Śmieciarza, w dzielnicy Bonne Nouvelle Starego Julka.

- Załatwili interes?

- Wygląda, że nieźle na tym wyszli.

- Ile mieli pieniędzy?

- Tak na oko kilkaset franków. Kapitał miał Charmier, ten drugi był za przewodnika.

Komisarz ożywił się, zawołał Charles'a.

- Dobra nowina - powiedział do inspektora. - Mały Charmier pakuje się w kabałę. Dziś kupował i odsprzedawał narkotyki. Nareszcie możemy rozpocząć akcję!

- Czy w związku z tym mam jakieś pilne zadanie na wieczór dzisiejszy? - zapytał Charles z nietajonym żalem.

- Dziś oglądamy boks. Mam nadzieję, że Gaston będzie w formie i pokaże, co umie. Plan obłęzenia ułożymy jutro, ze świeżą głową. Ależ się wyczekałem!

Komisarza już dawno nie widziano w tak dobrym humorze.

\*\*\*

W pierwszą środę lutego Klaudia Charmier, przeglądając sprawozdania podległych jej działów za miesiąc ubiegły, rzuciła okiem na kalendarz i poczuła zakłopotanie. „Minął miesiąc od śmierci Madleny - pomyślała. Powinnam była rano położyć świeże kwiaty na jej grobie. Edek na pewno to zrobił.”

Poprosiła sekretarkę, żeby połączyła ją z kwaciarnią Carrota w Ville d'Avray.

- Czy macie ładne białe róże? - zapytała właściciela. - Doskonale. Proszę posłać dużą -wiązanekę na cmentarz: grób Madleny Charmier, kwatery 118. Dziękuję.

Rozmowa wytrąciła ją z roboczego rytmu. Siedziała przy olbrzymim, na całą ścianę, oknie i patrzyła na Paryż biurowców stłoczonych wokół jej koncernu. Nie zastanawiała się, czy te domy są nowoczesne i ładne, czy może już wysłużone i brzydkie: od lat stanowiły krajobraz jej tutejszej egzystencji służbowej, którego się nie dostrzega. Dziś zadała sobie śmieszne pytanie: „Czy nasz gmach też jest taki szary?”

Spojrzała uważniej na swój gabinet.

Był urządzony w stylu oficjalnego luksusu. Kosztowne meble ustawiono kompletami wedle ich przeznaczenia: biurko, regały, stolik pomocniczy i fotel dla interesantów; z drugiej strony okna kanapa, niski stolik, przepaściste fotele, barek koktajlowy; w głębi pokoju podłużny stół narad z ustawionymi przy nim krzesłami.

Wszystko wyglądało dostojnie i wzbudzało zaufanie, tu właśnie, rozparty wygodnie w fotelu lub na kanapie, szacowny gość mógł być pewien, że zostanie potraktowany uczciwie, z uwagą i troską o jego interesy.

Ponieważ w tym gabinecie urzędowała kobieta, dodano kilka akcentów mniej oficjalnych: fantazyjne draperie na oknie, jaskrawy dywan pod niskim stolikiem, dobra kopia picassowskiej „Rodziny arlekina” nad kanapą i porcelanowe bibeloty na barku. Pani dyrektor nie brała udziału w ułożeniu tej kompozycji, świadoma swego braku uzdolnień w tym

kierunku. Fotografia Daniela była tu jedynym przedmiotem z jej wyboru.

Dziś rano telefony na biurku milczały - zabroniła łączyć ją z kimkolwiek przed posiedzeniem zarządu, które wyznaczono na godzinę jedenastą. Znowu zajęła się sprawozdaniami, wprawiona w roboczy nastrój równomiernym zgiełkiem wielkiego miasta za oknem. Gdyby nagle zapanowała prawdziwa cisza, pewnie doznałaby szoku.

Zabrzączał niebieski telefon na osobnym stoliku, połączony z miastem poza sekretariatem. Klaudia podniosła słuchawkę i usłyszała znajomy głos.

- Dzień dobry - powiedział Maks Rouvel.

Drgnęła, rzuciła ostro:

- Prosiłam, żeby pan nie odzywał się do mnie. Dostał pan odnośny list?

- Odnośny? Hmm... Dziwne słowo. Dostałem. Ale nie rozumiem, dlaczego...

- Żadnych dlaczego.

- Proszę wyjaśnić jedno: czy to zerwanie?

- To pan używa dziwnych słów - i po chwili wahania, zmienionym tonem: - Zatelefonuję do pana. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę czując, że zadała ból samej sobie. Co chłopak pomyślał?

Nie widzieli się od pogrzebu Madleny. Policja zachowała dyskrecję, prasa nic nie wie o sprawie, więc Maks jest nieświadom sytuacji. Klaudia natomiast dostrzega, że jest pod obserwacją. Jej telefony, domowy i tutejsze, mogą być na podsłuchu. A jednak musi dziś jeszcze zadzwonić do niego, żeby nie narobił głupstw i nie bredził o zerwaniu.

Z przerażeniem pomyślała, co by się stało, gdyby policja wpadła na trop ich związku miłosnego, zwłaszcza gdyby dowiedzieli się, że tamtej nocy Maks był w jej domu... Już setki razy wyrzucała sobie ten kaprys. „Szaleństwo, szaleństwo!” - powtarzała teraz i znowu widziała wszystko, jakby to zdarzyło się wczoraj.

Po kolacji posłała Madlenie tubinal, żeby przespała całą tę noc. Ludzie nie przyzwyczajeni do środków nasennych przy

pierwszym użyciu zasypiają kamiennym snem. Daniela mogła się nie obawiać, ten zawsze śpi jak suseł.

Potem wybuchła ta-klótnia - bezmyślna, odrażająca... Madlena mówiła mało, tylko patrzyła w sposób obraźliwy, z ostentacyjną arogancją, tak jakby zaliczała matkę do istot niższego rzędu. Klaudia hamowała się. udawała, że to ją śmieszy, plotła sieć kłamstw, używając słów niby naukowych, dziewczyna już zaczynała załamywać się, kpiący uśmiech zamienił się w grymas, oczy zaszyły łzami...

I tu poniosła Klaudię prymitywna, płaska, ogłupiająca próżność kobieca. Patrząc z satysfakcją na załośnie wykrzywioną twarz córki, powiedziała:

- Idź do lustra, popatrz, jak teraz brzydko wyglądasz!

Madlena krzyknęła:

- W tej chwili wynoś się, ty wściekła samico!

Wtedy uderzyła ją w twarz. Po co, po co...

Poszła do sypialni i położyła się, żeby ochłonąć i doprowadzić się do normalniejszego stanu przed spotkaniem z Maksem. Potem wzięła kąpiel, rozmasowała sobie twarz, posmarowała kremem. Robiła wszystko, żeby przepędzić z pamięci zawstydzające wspomnienie, a ono czało się gdzieś na dnie. zatruwając radość oczekiwania.

O pół do jedenastej zgasiła światło, zamknęła sypialnię od korytarza, schowała klucz do kieszeni szlafroka. Zajrzała do Daniela, który już pochrapywał, potem do Madleny. Zmusiła się do przeprosin, ale dziewczyna zacięła się w milczeniu. Zrobiwszy swoje, zeszła na dół, gdzie było pusto i ciemno.

Cicho wśliznęła się do gościnnego, zamknęła drzwi na klucz, rozsunała trochę zasłony na drzwiach balkonowych. Z ogrodu wąskim pasmem wpadło światło latarni. Wyjęła z komodki komplet pościelowej bielizny, przygotowała łóżko na noc, otworzyła drzwi na taras i położyła się w szlafroku na kołdrze.

Wiele razy już odtwarzała to wszystko w pamięci, ale zazwyczaj nie mogła się zatrzymać.

Leżąc tak w ciemności, usłyszała, jak do mieszkania weszła Maria, jak krzątała się w hallu, w kuchni, w stołowym i kredensowym, jak potem ostrożnie poszła na górę. Powiadała

nazajutrz, że szukała lekarstwa Pabla. Czy wchodziła do Madleny?

Słyszała też, jak przyszedł Miguel, jak Maria nastawiła w kuchni herbatę i powiedziała do męża: „Poszukaj teraz z latarką, nie zapalaj światła”. Miguel też krzątał się najpierw na parterze, potem na górze. Czy wchodził do Madleny?

Kiedy zszedł na dół, powiedział: „Nie chcę herbaty, będę czekać na ciebie w aucie”. Niedługo potem przyszedł Filip, słyszała jego krótką rozmowę z Marią, potem poszedł na górę. Był u Madleny - ciekawe, po co? Zostawał tam niedługo, Maria wyszła wraz z nim. Było kwadrans po jedenastej.

Jaka szkoda, że nie może przekazać policji, że ci troje wchodzili wtedy na górę! Niestety, już zeznała, że położyła się koło jedenastej, wzięła proszek podwójny i natychmiast mocno usnęła.

O północy Maks ostrożnie wsunął się przez drzwi balkonowe. Stała w smudze światła, objął ją i pocałował. „Ty drżysz” - szepnęła. - „Na ulicy jest zimno - powiedział. - W pokoju Madleny pali się światło, czy ona nie śpi jeszcze?” „Na pewno śpi, bo wzięła proszek nasenny. Ona często zapomina zgasić światło.”

Przytulił ją do siebie, całował jej twarz, ale wciąż nie mogła pozbyć się uczucia, że oni oboje tylko udają, że jest im dobrze. Wszystko było nie tak, jak sobie wymarzyła - może dlatego, że ani przez chwilę nie mogła całkowicie zapomnieć o Madlenie.

„Dosyć, dosyć tego! Niedługo zwariuję” - pomyślała i przysunęła do siebie papierosy. Trzeba narzucić sobie dyscyplinę. Musi zachować w>- niebezpieczeństwie całą przytomność umysłu. Ona, Daniel, Maks - wszyscy są zagrożeni.

Spojrzała na fotografię syna. Miał wtedy dwanaście lat, krótkie włosy i odstające uszy, patrzył w obiektyw z wesołą impertynencją, jaką się odznacza i dziś, uśmiechał się do niej ironicznie i jakby chciał powiedzieć: wielkie mi rzeczy! Westchnęła i zabrała się do pracy.

Posiedzenie zarządu i dyrekcji rozpoczęło się punktualnie. Prócz Klaudii - sami panowie. Mimo oficjalnej aury każdy

zwracał się do niej z tą nieznośną miną bolesciwego współczucia, na którą automatycznie reagowała wyrazem tłumionego cierpienia. Brzydziła się w duchu tą obustronną obłudą. Jak długo będzie obowiązywała żałobna konwencja?

Ogólne trudności ekonomiczne Francji dawały się we znaki nawet ich gigantycznemu koncernowi. Problemy te walcowano we wszystkich aspektach. Pani dyrektor zaimponowała zwierzchnikom, wysuwając kilka projektów, które zostały zaakceptowane, co sprawiło jej satysfakcję. Po wyjściu z sali konferencyjnej słyszała za sobą szept: „Niezwykła kobieta! Cóż za opanowanie! Cóż za siła charakteru!” Właśnie teraz bardzo potrzebowała tej aprobaty.

Zaczęła się przerwa obiadowa. Klaudia z nawyku skierowała się do stołówki, ale zawróciła w połowie drogi: trzeba byłoby rozmawiać z kolegami, znów prowadzić mimiczną grę cierpienia - współczucia. Na dzisiaj miała tego dosyć.

Narzuciła płaszcz i wyszła. Za rogiem obejrzała się: czy za nią ktoś idzie? Trudno było się zorientować, chodnikiem walił gęsty tłum pędzony wspólnym nakazem spożycia południowego posiłku. Cała Francja o tej porze spełniała ten święty obrządek, ważniejszy od wszelkich zmartwień, zgryzot i nieszczęść. Klaudia też. Nie była głodna, ale w przerwie obiadowej należy się posilić, i oto szła rozglądając się za wzbudzającą zaufanie restauracją. „U Marcina”? Można spróbować.

Był to lokal dosyć przytulny, w stylu staroświeckim ->na stołach białe serwety, ściany czerwone ze złoceniami, kinkiety w kształcie świeczników. Usiadła w głębi salki, dalej od okna. Kelner ubrany na czarno podał jej kartę dań. Zamówiła białego burgunda, ślimaki, łososia z rusztu, owoce. Jedzenie smakowało jej, pomyślała, że w końcu ten ogólnokrajowy obrządek ma swój sens.

Obok dwie starsze panie radośnie oddawały się rozkoszom podniebienia. Młodsza, o rumianej twarzy okolonej szarymi loczkami, delikatnie trzymała w palcach kacze udko i odgryzała kawałek po kawałku, które żmudnie przeżuwała sztucznymi szczękami, oczka jej przy tym zwięzały się i zachodziły mgiełką, jak podczas narkozy. Druga, siwiuteńka jak gołąb, w czarnym



toczku raczyła się cielecym ragout, kiwała z aprobatą głową, jak meloman podczas koncertu, i wydawała kocie pomruki.

Nie wiedzieć czemu Klaudia, chociaż sama smakosz i koneser dobrej kuchni, nagle odczuła coś wysoce nieprzyzwoitego w publicznym spożywaniu pokarmu. Przypomniały się jej węże boa w zoo, z lubieżną powolnością wciągające w rozwartą paszczę żywe jeszcze króliki. Starła się nie patrzeć na sąsiadki, jednakże mimo woli słyszała ich rozmowę.

- To było idealne małżeństwo! - ćwierkała młodsza. - Dozorczytni powiada, że nigdy się nie kłócili. Uwielbiali się! Co prawda, dawno już nie korzystali z wspólnej sypialni - pani wie, co to oznacza?

- Separację od łoża, przypuszczam?

- Skądże, przecież żyli w zgodzie, tyle tylko, że nie sypiali razem. On załatwiał te sprawy na stronie, miał aż dwie utrzymanki, żonie to bardzo dogadzało, bo nie lubiła tych rzeczy.

- Osobliwa kobieta. Dlaczego ją zabił, jeżeli byli idealnym małżeństwem?

- Czy to można zajrzeć do cudzej duszy, moja droga? Zdawałoby się, nie miał żadnego powodu, a jednak... Bardzo potem żałował.

- Skąd pani wie?

- Mówił tak do swego obrońcy.

„Surrealistyczne bredzenie” - pomyślała Klaudia. Poprosiła o żeton i zadzwoniła z szatni do Maksa. Numer nie odpowiadał.

„Muszę z nim rozmówić się jeszcze dziś - myślała. - Nikt nie wie o moim z nim związku, trzeba za wszelką cenę zachować to w tajemnicy. Niech no policja wywęszy coś, a będą mieli na mnie haczyk, tak zwany motyw. Im zawsze chodzi o motyw, resztę do niego dopasowują.”

Pod koniec dnia miała dużo interesantów, ostatni wyszedł pięć minut po piątej przepaszając, że zabrał jej czas prywatny. Oczekała jeszcze pięć minut, aż całe piętro opustoszało, jak po alarmie lotniczym. Wtedy wstąpiła do hali maszyn i znów nakręciła numer Maksa. Odezwał się natychmiast.

- To ja - powiedziała.

- Nareszcie!

- Kochany, miej do mnie zaufanie i bądź rozsądny. Dla naszego wspólnego bezpieczeństwa musimy zaprzestać na pewien czas widywania się.

- Co ma do tego nasze bezpieczeństwo?

- Wiele. Czy wzywano cię na policję?

- Już dawno, blisko miesiąc temu.

- O co pytali?

- O moje stosunki z Madleną. Czy byliśmy kochankami.

- Co powiedziałaś?

- Ze Madlena była bardzo dziecinna, że byliśmy po prostu w przyjaźni. I że to nie mogło mieć nic wspólnego z jej samobójstwem.

- Oni podejrzewają, że to nie samobójstwo, że ją otruto. Prowadzą śledztwo.

Po drugiej stronie telefonicznego drutu zapadła cisza.

- Maks! Słyszysz mnie?

- Tak.

- Policja prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Madleny. Podejrzani są wszyscy, którzy tamtego wieczora i w nocy znajdowali się w naszym domu... oprócz ciebie, bo o naszym ostatnim spotkaniu nikt nie wie i nie wolno dopuścić, żeby się dowiedzieli. Słyszysz mnie?

- Tak.

- Zrobiliby z ciebie głównego podejrzanego, wraz ze mną. Moje telefony na pewno są na podsłuchu, dlatego prosiłam, żebyś do mnie nie dzwonił. Rozumiesz?

- Tak.

- Postaraj się przypomnieć sobie: czy jesteś śledzony?

- Nie. Zauważyłbym to, mam niejakie doświadczenie po rozruchach majowych.

- To dobrze. Przrzeknij, że będziesz ostrożny i cierpliwy.

- Przrzekam.

- Kochanie, to nie potrwa długo, zobaczysz. Kilka miesięcy chyba.

- Uważasz, że to niedługo?

- Musimy przeczekać, nie mamy wyboru. Będę telefonowała

do ciebie o tej porze, jak dziś, kiedy wszyscy wychodzą z biura i mogą skorzystać z jakiegoś pustego pokoju... Do widzenia! - rzuciła w pośpiechu widząc wchodzącą sprzątaczkę.

Była widocznie dopiero przyjęta do pracy, Klaudia jej przedtem nie widziała.

„Czy to przypadek, że weszła właśnie teraz? - myślała patrząc, jak kobieta ustawia na biurkach odwrócone krzesła. - Może śledzą mnie nawet w tym gmachu? Ależ bzdura! Popadam w stan maniackalny.”

Jednakże jeszcze w samochodzie myślała o tej sprzątacze. Mijając bulwar Poniatowskiego, przypomniała sobie, że dziś są imieniny jej krawcowej mieszkającej w pobliżu i że dobrze byłoby wstąpić do niej z kwiatami, ale nie zatrzymała się. Pędził ją do Ville d'Avray niepokój o Daniela.

Co robił między powrotem ze szkoły a kolacją? Coraz częściej nie zastawała go w domu, wymykał się spod jej kontroli, wykręcał się, kiedy pytała, gdzie był.

Od zgonu Madleny czuła się wobec syna bezradna. Po przesłuchaniach (policjanci delikatnie nazywali to „rozmową”) Klaudia uprzedziła syna, że może być śledzony. Nie bardzo tym się przejął: „Nie bój się, jestem sprytniejszy od glin”. Nie była tego pewna, bądź co bądź chłopak ma tylko piętnaście lat i żadnego doświadczenia z policją kryminalną.

Dojeżdżając do domu zauważyła, że w pokoju Daniela jest ciemno. Odstawiła wóz do garażu i weszła do kuchni. Maria siedziała beczynn timer, patrząc otepiałym wzrokiem na śpiącego Pabla. Służąca też zmieniła się ostatnio, straciła żywe usposobienie, gryzła się tym, że Miguel się rozpija.

- Gdzie jest Daniel? - zapytała Klaudia.

- Nie wiem. Był u niego Leon, ten garbusek, co w zeszłym roku rzucił szkołę. Wyszli gdzieś razem.

- Nie powiedział, kiedy wróci?

- Prosił, żeby państwo nie czekali na niego z kolacją, bo może się spóźni.

Klaudia poszła na górę, włożyła domową suknię i usiadła w wygodnym fotelu. Sypialnia teraz należała tylko do niej, mąż nocował w gościnnym pokoju i przeniósł tam swoje rzeczy.

„Separacja od łoża, rozumie pani?” przypomniały jej się staruszki w restauracji. I ten idealny mąż, który zabił uwielbianą żonę bez żadnego powodu, a potem żałował.

Siedziała nie zapalając światła. Wiedziała, że na twarzy jej zaznaczyły się wyraźniej linie między nosem a kącikami ust i że to ją postarza. Dobrze, że Maks jej nie widzi w tej złej formie. Wsłuchiwała się w ciszę przerywaną tylko krzątaniem Marii w kuchni. Nawet Pablo nie gaworzył, nawet Sokrates nie czekał.

Maria odebrała na dole telefon, poszła na górę i zatrzymała się nie widząc w sypialni światła.

- Ja nie śpię - krzyknęła Klaudia. - Kto dzwoni?

- Pan doktor prosił powiadomić panią, że nie będzie dziś na kolacji.

- A pani starsza jeszcze nie wróciła?

- Pani starsza uprzedziła rano, że zostanie na noc u pana Filipa.

„Jeszcze jeden samotny wieczór w pustym mieszkaniu - pomyślała Klaudia. - Cóż, należy mi się. Im gorzej, tym lepiej.”

\*\*\*

- Poczekaj, gdzie pędzisz? Ja tak prędko nie mogę - powiedział Leon ciężko dysząc.

Dreptał za Danielem, kaptur opadł mu na garb wypinający z tyłu kurtkę. Był o wiele niższy od Charmiera i miał krótkie nogi.

- Złapiemy pociąg o drugiej dziesięć - powiedział Daniel nie zwalniając kroku. - Odpoczniesz w wagonie.

Zdążyli w ostatniej chwili. Zasapany Leon opadł na ławkę, Daniel usiadł naprzeciwko. Wagon był prawie pusty.

- Masz forszę przy sobie? - zapytał garbus.

- Ile potrzeba?

- Na początek choćby pięćset.

- Starczy.

Z dworca Saint-Lazare skręcili w małą uliczkę, potem w drugą i trzecią. Leon doskonale znał dzielnicę, szedł z przodu i nie oglądał się, Daniel chwilami bał się, że zgubi go w tłumie.

Zatrzymali się przed pięciopiętrową, wąską kamienicą, weszli na klatkę schodową cuchnącą brudnymi mydlinami i kocim

moczem, wydostali się tylnymi drzwiami na ciasne podwórko, zewsząd zagrodzone murami sąsiednich domów. Daniel zajrzał do okienka przeciwległej sutereny i zapukał rytmicznie, jakby wybijając takt rumby. Ciemna zasłonka uchyliła się, mężczyzna z gęstą szczeciną na twarzy i z zapuchniętym fioletowym okiem przyjrzał się chłopcom, a poznawszy garbuska kiwnął głową i po chwili wyszedł narzuciwszy na plecy płaszcz.

- Kumpel? - kiwnął na Daniela. - Też z branży?

- Jak nie jest, to będzie - zaśmiał się Leon odsłaniając szczerbę na przedzie. - Co dziś połykamy, trawkę czy proszek?

- Radzę proszek. Idzie w górę.

Leon szepnął coś do mężczyzny, ten odpowiedział mu też szeptem i tak pertraktowali przez jakiś czas, sprzecząc się i gestykulując. W końcu doszli do porozumienia i mężczyzna z fioletowym okiem wrócił do sutereny.

- No, dawaj forszę - powiedział Leon. - Wytargowałem za sześćset.

- Coś ty! Ja mam pięćsetkę.

Garbusek popatrzył mu w oczy.

- Nie skąp - powiedział twardo. - To okazja. Więcej dasz, więcej zarobimy.

Mężczyzna wrócił, przeliczył pieniądze, wręczył Leonowi małą paczuszkę, którą ten wsunął głęboko za nadprutą podszewkę kurtki.

- Karawana idzie dalej - powiedział, znów ukazując szczerbę. - Z dobrym ładunkiem.

Pojechali metrem na bulwar Bonne Nouvelle. Lawirując w sieci poplątanych uliczek, które Leon znał jak własną kieszeń, dotarli do hurtowni futer mieszczącej się w głębi brudnego podwórka. W przechodniej bramie minęli siedzących na schodach mężczyzn różnego wieku i powierzchowności, mających tak samo bladą cerę i nieprzytomne spojrzenie. Na widok chłopców ożywili się patrząc na nich z nadzieją, jak ptactwo oczekujące garści okruszków.

- To oni - szepnął Leon. - Może załatwimy interes wprost z klientami?

- Nie! - stanowczo sprzeciwił się Daniel. - Za wielkie ryzyko, oni są zwykle śledzeni.

- I to racja.

Przeszli jeszcze przez jedno podwórko, znaleźli się na placu budowy.

- Zostań przy wejściu - powiedział Leon. - Uważaj, czy nie kręcą się tu gliny.

I wszedł do stróżówki drewnianego baraku.

Daniel stanął przed bramą, zapalił papierosa i rozejrzał się ostrożnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Serce mu biło mocno, po raz pierwszy był na takiej wyprawie. Jakiś przechodzień w nisko nasuniętym kapeluszu obrzucił go uważnym spojrzeniem; chłopak cofnął się do bramy, gotów już pobiec na górę, ale podejrzany osobnik skręcił w zaułek. Daniel niemal podskoczył, kiedy garbusek klepnął go w ramię.

- No, chodu! - powiedział cicho. - Zarobiliśmy po setce, a mam jeszcze trochę towaru.

Na konto przyszłych dochodów wstąpili do nędznego baru, gdzie w ścisku napili się przy ladzie grzanego piwa.

- Umawiamy się: twój kapitał, moje ryzyko, a zyski dzielimy - powiedział Leon.

- Z jakiej racji? Ja też ryzykuję.

- A znasz adresy i ludzi? Jak nie chcesz, proszę bardzo, zwrócę ci twoje sześćset franków i pracuj na własną rękę - powiedział Leon i udał, że sięga po pieniądze.

- Dobrze już, dobrze. Pracujmy razem.

Pojechali z resztką towaru do stacji Gobelins i znów zanurzyli się w labirynt zaułków i krzywych uliczek, kończących się nieraz ślepym murem. Danielowi już mieszały się w głowie nazwy, skrzętnie jednak notował w myśli całą marszrutę, a pamięć wzrokową miał niezawodną.

Zawierając spółkę handlową z Leonem, miał w perspektywie samodzielny interes. Z dwóch tysięcy skradzionych Madlenie złożył w skrytce półtora tysiąca, o których nie zamierzał mówić współnikowi.

Nie po raz pierwszy „pracował” z Leonem. W zeszłym roku, kiedy garbus jeszcze chodził do szkoły, handlowali od czasu do

czasu receptami na morfinę i heroinę, które Daniel podrabiał, wykradając z gabinetu ojca firmowe druczki. Leon zawoził te recepty z fałszywym podpisem doktora Charmiera do pośredników w Paryżu. W ten sposób chłopcy powiększali swoje fundusze kieszonkowe.

Mieli konkurenta, syna aptekarza z klasy Madleny. Tamten wchodził na ich paryski teren, toteż Daniel złożył na niego donos dyrektorowi szkoły. Była granda, wzywano rodziców licealnej paczki, która bawiła się w narkomanów. Państwa Charmierów wzywano też.

Madlena piekliła się, lżyła brata od kapusiów, ale nie mogła mu nic dowieść, bo dyrektor zachował dyskrecję. Jednakże i Daniel z Leonem musieli przymknąć swój interes, zanadto ryzykowna stała się ta impreza.

Teraźniejsza była o wiele bardziej niebezpieczna. Daniel zdawał sobie z tego sprawę, ale pokusa szybkiego powiększenia kapitału była silniejsza od obaw.

Pod wieczór chłopcy mieli po sto osiemdziesiąt franków czystego zysku. Leon zgodził się, żeby do następnego razu kapitał obrotowy został u Daniela.

- Twoi rodzice nie zaglądadają ci do szuflad, a mój tatuś lubi robić u mnie rewizję - powiedział. - Tylko pamiętaj: im więcej puścimy w obrót, tym więcej zarobimy.

- Jasne.

Byli głodni, wstąpili do baru samoobsługowego. W ciżbie z trudem przepchali się ze swoimi tacami w kąt sali, gdzie zwolnił się stolik, i żwawo zabrali się do cielących kotletów z frytkami, popijając je słabiutkim winem.

- Słuchaj no - powiedział Leon, kiedy zaspokoili pierwszy głód - powiedz, dlaczego twoja siostra zrobiła taki numer?

Daniel wzruszył ramionami i puknął się w czoło.

- Była szurnięta? Moja mama też tak mówi. A może chciała się na kimś odegrać?

- Może. Z nią nigdy nic nie było wiadomo. Furiatka.

- Nie boisz się?

- Czego?

- Że będzie ciebie nachodzić.

Daniel roześmiał się z pewnym przymusem.

- Masz pomysły. Dlaczego właśnie mnie?

- Mieszkała przecież przez ścianę. Nieboszczyki lubią wracać do swojego miejsca zamieszkania.

- Przestań! - nagle rozzłościł się Daniel. - Pleciesz bzdury, wstyd doprawdy...

- Czego wrzeszczysz? Chciałem ci powiedzieć, że są na to sposoby, ale skoro ci nie zależy...

Zamilkł, ostentacyjnie chrupiąc frytki.

Danielowi nagle popsuł się humor, przypomniał sobie, że jutro klasówka z matematyki, a on nie przygotowany.

- Kończ już tego kotleta i jedźmy do domu - powiedział opryskliwie.

Wyszli na ulicę. Siąpił paskudny deszczyk przejmujący wilgotnym zimnem. Podnieśli kaptury i pobiegli do metra.

Wychodząc z dworca w Ville d'Avray, Daniel obejrzał się na Leona, który znów dreptał z tyłu, i przez chwilę wydawało mu się, że tuż za garbusem widzi przechodnia w nasuniętym na czoło kapeluszu. Przystanął i chciał mu się przyjrzeć, ale ten wmieszał się w tłum; w gęstym mroku trudno było rozróżnić twarze.

W domu zastał tylko matkę. Nie robiła mu wyrzutów, że się spóźnia, spytała tylko:

- Co ty masz wspólnego z tym garbusem? Chłopak nierozgarnięty, koleguje Bóg wie z kim...

- Ale dobrze zna Paryż. Szukam książki, której nie ma w tutejszych księgarniach.

W jadalni zostawiono na stole jego nakrycie i zimne dania.

- Zaraz podgrzeję ci zupę i baraninę - powiedziała matka.

- Dziękuję, przegryźliśmy coś niecoś w samoobsługowym. Napiłbym się tylko herbaty.

Usiadła naprzeciw syna i patrzyła, jak je owoce i pije herbatę. Zauważył, że jest blada i ma zapadłe policzki.

- Słuchaj... - zaczęła, kiedy już chciał wstać od stołu.

Spojrzał na nią wyczekująco.

- Słuchaj... Mówiłam ci już, ale nie wiem, czy o tym pamiętasz. Śledztwo w sprawie zgonu<sup>^</sup> Madleny nie jest



jeszcze zakończone, w każdym razie nikt nas o tym nie powiadomił. Nie wiem, jakie policja snuje domysły, ale musimy być przygotowani na to, że nas obserwują. Proszę cię...

- Pamiętam, coś mówiła. Jestem ostrożny, mam. I nikt mnie nie obserwuje, możesz być pewna. No, idę do siebie - powiedział i musnął ją ustami w policzek.

- Nie będziesz oglądał telewizji?

- Jutro mam klasówkę, muszę się przygotować.

Siedząc nad podręcznikiem złapał się na tym, że wsłuchuje się w ciszę za ścianą pokoju, gdzie mieszkała siostra.

- Kretyn! - mruknął ze złością pod adresem Leona. - Dureń zabobonny.

Zmusił się do rozwiązywania zadań z algebry, nie mógł się jednak skupić. Zamiast równań o dwóch niewiadomych chodziły mu po głowie całkiem niestosowne wspomnienia.

Miesiąc temu późnym wieczorem zajrzała do niego matka. Jak zwykle, usłyszawszy jej kroki, zaczął chrapać, choć nie spał; słyszał, że wstąpiła jeszcze na krótko do Madleny i zeszła na dół. Słyszał też, jak ęło sąsiedniego pokoju wchodzili Maria, Miguel i Filip, doskonale rozróżniał ich kroki, przez ścianę dolatywały odgłosy rozmów.

Wszyscy tego wieczora mieli sprawę do jego siostry. On też. Poprosił ją o książkę do poduszki, bo nie mógł zasnąć. „Weź sobie, co chcesz” powiedziała zmęczonym głosem i odwróciła się do ściany. Była jeszcze w szlafroku i leżała na kołdrze. Na stoliku nocnym stało otwarte pudełko tubinalu z jedną kapsułką.

O tej nocnej wizycie nie powie nikomu, nawet matce.

Nazajutrz wczesnym rankiem obudził go dźwięk przekręcane go klucza w sypialni rodziców. Odczekał trochę i cichutko wyszedł na korytarz. Miał niejasne wrażenie, że w domu dzieją się dziwne rzeczy. Na dworze było jeszcze ciemno. W pokoju Madleny przez szparę nad progiem widać było światło. Nacisnął klamkę, otworzył drzwi.

Od progu zobaczył ją na krawędzi łóżka z głową odchyloną w tył, z nie domkniętymi oczami. Była nieżywa, odczuł to z absolutną pewnością. Cofnął się, zamknął z powrotem drzwi.

Wrócił do siebie nie alarmując matki. Leżał cicho czekając, aż uchyli drzwi, żeby go obudzić, jak to robiła codziennie. A i wtedy nic jej nie powiedział. Dopiero o dziesiątej, kiedy zatelefonowała Matylda, poszedł niby zawołać siostrę...

Zmusił się jednak do rozwiązywania zadań algebraicznych. Powinien dostać dobry stopień z klasówki.

Na dole trzasnęły drzwi wejściowe, wrócił doktor. Daniel był zadowolony, że ostatnio rzadko widuje się z ojcem, wolałby nie spotykać go wcale, bo kiedy ten patrzy na syna, ma bardzo dziwny wyraz, tak jakby miał mu za złe, że żyje. I na żonę tak patrzy. I coraz bardziej się rozpija, aż nieprzyjemnie patrzeć. Teraz też chyba wraca skądś zalany, słyhać jak, hałasuje na dole w łazience. A niech tam! Co to właściwie Daniela obchodzi?

Skończył odrabianie lekcji późnym wieczorem. Z telewizji nici. Myjąc zęby spojrzął; w lustro na swoją twarz i znieruchomiał z otwartymi ustami. W lustrze zobaczył oczy chłopca, którego nęka strach. Zwykły pospolity strach. Czy inni też mogą to dostrzec?

Stał nad umywalką z wargami powalanymi pastą i robił różne miny, aż te jego zdradliwe oczy przybrały właściwy im wyraz kutego na cztery nogi spryciarza.

„Muszę uważać na siebie” - pomyślał.

\*\*\*

W czwartek siódmego lutego Maria spóźniła się do pracy, bo czekała na męża, który nie wrócił na noc do domu. To się zdarzyło nie po raz pierwszy w ciągu miesiąca. Zaczął pić, a kiedy zaczynał, mogło to trwać całe tygodnie. Tak jak w Hiszpanii.

Gdy przyjechali do Francji, Miguel ostro zabrał się do roboty, miała nadzieję, że skończył z rozpijaniem się. Po przeprowadzce do nowego mieszkania, było to półtora roku temu, Miguel znów zaczął popijać, ale mu przeszło. Teraz nie tylko pił, ale związał się z jakąś kobietą i czasem u niej nocował.

Nie doczekawszy się męża, Maria opatulila synka ciepłym kocem, ułożyła go w wózku i poszła na piechotę do pracy. W

willi Charmierów nikogo już nie zastała.

Zacząła od sprzątanía na górze. Dziś postanowiła przewietrzyć pokój Madleny, do którego dawno nie zaglądała. Otworzyła okno, rozsunała zasłony i włączyła odkurzacza.

Niebo się oczyściło, na parapecie mienił się odbłask zimowego słońca.

Odkurzywszy dywan, zmieniła szczotkę na cieńszą i zabrała się do miękkich mebli. Przyszła kolej na tapczan - i tu nie wiedzieć czemu napadł ją strach. Może przypomniała sobie martwą panienkę na zmiętym prześcieradle... Krzyknęła, upuściła szczotkę na podłogę i zostawiając za sobą huczącą maszynę rzuciła się na dół. W hallu było przeraźliwie pusto i ponuro.

Wypadła do ogródka wołając: Sokrates! Podbiegł, zaniepokojony potarł wilgotny nos o jej rękę, wtedy dopiero oprzytomniała nieco i wraz z psem wróciła na górę. W pośpiechu wyłączyła odkurzacza, wyniosła go na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Szybko ubrała się i wyszła z domu, zostawiając śpiącego Pabla na tarasie w wózku.

Zdecydowanym krokiem przemierzyła Wersalską, ulicę Sevres i skierowała się na teren budowy koło dworca. Z daleka poznała sylwetkę męża na rusztowaniu przy trzecim piętze wznoszonego gmachu. Zawołała z dołu:

- Miguel!

Obrócił się z cegłą w podniesionej dłoni i spojrzał na nią. Nie było nic życzliwego w jego postawie.

- Miguel! - krzyknęła po raz drugi.

Zamiast odpowiedzi ostentacyjnie odwrócił się i dalej układał cegły.

- Zejdź! - wołała. - Mam pilną sprawę.

Nie odzywał się, jakby nie słyszał. Zauważyła opodal zachlapaną wapnem drabinę i wstąpiła na pierwszy szczebel.

- Nie włącz tu! - krzyknął z wściekłością. - Chcesz dostać po głowie?

Kilku murarzy z ciekawością przyglądało się małżeńskiej kłótni i wymieniało wesołe uwagi. Maria uparcie wspinała się po drabinie. Tuż koło jej głowy przeleciała cegła.

- Wariat! - krzyknęła i zeskoczyła na ziemię.

Postała pociągając nosem i krzyknęła z rozpaczą:

- Pablo zachorował! Słyszysz, łajdaku?

- Bujasz! - odkrzyknął Miguel, ale przerwał robotę. - Co mu jest?

Nie odpowiedziała i zaczęła powolnym krokiem się oddalać. Po chwili dogonił ją.

- Co mu jest, pytam? - powiedział i chwycił ją za łokieć.

- Nie wiem. Płakał w nocy, pewnie znów boli go ucho.

- Co doktor powiedział?

- Nie widziałam doktora, spóźniłam się dzisiaj, bo czekałam na ciebie, nie chciałam iść z nim w deszczu. Zmarnujesz nam dziecko!

Grube łzy spływały po jej policzkach i gubiły się w futrzanym kołnierzu.

- Dzisiaj przyjadę po was - powiedział Miguel. - Nie idź z małym na piechotę.

Wrócił na rusztowania, a Maria pobiegła do willi.

O pierwszej dała obiad Danielowi, nakarmiła zupką Pabla i sama coś zjadła bez apetytu. Dopiero o drugiej przyszedł doktor.

Od czasu rozmów z „tymi panami”, jak służąca nazywała policjantów w cywilu, którzy rozpytywali ją o panienkę, zrobiła się nieufna wobec całej rodziny Charmierów z wyjątkiem doktora. Czy to dlatego, że nie było go podczas wypadku, a może dlatego, że nie wyczuwała z jego strony wrogości - sama nie umiałaby tego wyjaśnić, tylko z nim mówiła swobodnie, jak dawniej.

Martwiła się, że ten człowiek, który tak lubił dobrze zjeść i często omawiał z nią sposoby przyrządzenia tego czy innego przysmaku, teraz spożywał posiłki z przerażającą obojętnością, nie zważając na to, co połyka, tak jakby odrabiał uprzykrzoną powinność. Miała wrażenie, że gdyby pewnego dnia podała mu kotlet z garmazerii, nie poznałby, że to nie z domowej kuchni.

Pizy deserze, jedząc bez cienia przyjemności jabika zapiekane z likierem, zauważył zmartwioną minę Marii i poczuł się w obowiązku nawiązania rozmowy:

- Co porabia Miguel? Dawno go nie widziałem.

Oczy Marii natychmiast zwilgotniały.

- Łajdaczy się, proszę pana. Ma w mieście jakąś dziwkę.

- Wyprowadził się?

- Może i wyprowadzi się, kto go tam wie! Rzadko nocuje w domu, oddał mi tylko połowę pensji, powiedział, że będzie się żywił w gospodzie przy budowie. Tu też nie przyjeżdża, pieszo wracam wieczorem z Pablem...

Wytarła brzegiem fartuszka oczy i nos. Doktor patrzył na nią z wzrastającym zainteresowaniem.

„Wyprowadzić się to jest wyjście - pomyślał. - Niestety nie dla mnie. Muszę spędzać tu chociaż noce. Tyle że osobno, w gościnnym.”

- Pablo zdrów? - zapytał.

- Chwalić Boga...

Przeżegnała się.

- Proszę przynieść małego do salonu, dawno go nie badałem.

Rozebrany do naga i rozłożony na stole berbec popiskiwał radośnie. Duże i zręczne ręce doktora dotykały go lekko, pieszczotliwie.

- A teraz na brzuszek, ot tak... doskonale.- A teraz proszę pana na ten boczek, ot tak... ślicznie.

Skończywszy oględziny, poklepał różowy tyłeczek malca:

- Ubierać się. Reklamowe dziecko, do konkursu.

Maria promieniała szczęściem. Nagle przypomniała sobie o swoich zmartwieniach.

- Panie doktorze... Dzisiaj Miguel wstąpi po nas autem, bo powiedziałam mu, że Pablo zachorował na uszy. W razie gdyby pana zapytał...

- Nie zapyta, bo się nie zobaczymy. Kiedy wróci z Paryża moja małżonka?

- Mówiła, że koło szóstej.

- Ja o piątej wyjadę znów do gabinetu.

- Podać panu przedtem kawy czy herbaty?

- Cokolwiek.

Położył się na kanapie z gazetą.

- Proszę pana... - zaczęła stojąc już w progu, z Pablem na

ręku.

- Słucham?

Ci panowie... no, z policji... dopytują się, czy ja nie wchodziłam do panienki wtedy... tej nocy. Nie wiem, co mam powiedzieć.

- A wchodziła pani?

Wchodziłam wieczorem, zaniiosłam kolację i proszek. Po co miałabym wchodzić w nocy?

- Właśnie, po co?

- Zawsze pytają o to samo. Nie wchodziłam, doprawdy, może mi pan wierzyć.

- Ja pani wierzę.

- A oni pytają tak, jakby nie wierzyli.

- Niech pani tym się nie przejmuje i nie zmienia zeznań. Pytają, bo nie mają dowodów.

Przez chwilę miała pokusę, żeby opowiedzieć doktorowi i o tym, jak dziś przeraziła się czegoś w pokoju panienki i uciekła. Wyczuła jednak, że tego nie trzeba mówić.

Koło piątej Maria podała podwieczorek, doktor wkrótce potem wyszedł, Daniel też. Rozłożyła w kuchni deskę do prasowania i wyjęła z suszarki bieliznę. W domu panowała cisza, tylko z ulicy dochodziły odgłosy przejeżdżających aut.

Wtedy usłyszała kroki na górze - lekkie, kobiece, z postukiwaniem obcasów. Zamarła przyciskając żelazko do pieluchy, zapachniało silnie rozgrzanym płóciem. Kroki zatrzymały się nad hallem, potem skrzypnął górny stopień schodów, drugi, trzeci... coraz niżej i niżej...

Maria krzyknęła dziko, wyszarpnęła z kontaktu sznur od żelazka, chwyciła na ręce Pabla, owinęła go kocem i narzuciwszy na siebie płaszcz wybiegła do ogrodu. Tam znalazła ją Klaudia, kiedy wróciła z pracy.

- Co się stało, Mario? - zapytała patrząc na jej zsiniałą od zimna twarz.

Służąca weszła do domu lękliwie się rozglądając.

- Proszę pani - powiedziała stanowczo - ja odejdę od państwa, nie wytrzymam.

- Ale dlaczego? Co się stało?

- Ona chodzi po pokojach. Słyszałam.
- Co pani słyszała? Kiedy?
- Godzinę temu. Chodziła na górze i zaczęła schodzić do hallu. Nie wytrzymam. Pani sobie poszuka kogoś...
- O to niech się pani nie martwi - rzuciła chłodno Klaudia. - Skoro pani nie może, trudno. Od jutra proszę już nie przychodzić.

## **Komisarz Dubon działa**

W piątek dziewiątego lutego Daniel miał tylko cztery lekcje. Poprzedniego dnia umówił się z Leonem, że znów pojedą do Paryża na „wyprawę”, jak nazywali swój udział w nielegalnym handlu narkotykami. Był to potężny przemysł z mnóstwem zakonspirowanych szczebli, w którym chłopcom przypadła rola najdrobniejszych płetek kursujących pomiędzy marnymi pośrednikami.

Swoją pierwszą wyprawę z Leonem potraktował Daniel jako wprowadzenie w branżę, swego rodzaju terminators- two zapowiadające szybkie przejście do operacji samodzielnych. Chociaż garbus, chcąc uzależnić kolegę od siebie, pjrzeznaczył mu funkcję czujki i nie dopuścił do kon- taktó w z pośrednikami, DanLel dzięki wrodzonemu sprytowi i nadzwyczajnej pamięci szybko się zorientował w terenie; i mógł już w razie potrzeby trafić do kontrahentów.

Tego ranka Leon zadzwonił, że zachorował na gripę z wysoką gorączką, więc z wyprawą trzeba będzie poczekać.

- Dobrze, poczekam - powiedział Daniel.

I postanowił skorzystać z okazji, żeby spróbować szczęścia w pojedynkę.

W dzielnicy koło dworca Saint-Lazare poszło mu gładko, choć miał tremę. Odnalazł kamienicę z cuchnącą klatka schodową, przeszedł na brudne podwórko, zapukał rytmicznie do okienka sutereny, a kiedy wyszedł nie ogolony jegomość z zapuchniętym okiem, powiedział, że garbus zachorował i przysłał go w swoim zastępstwie.

- Ile masz pieniędzy? - zapytał jegomość.

- Tyle co zeszedłem razem.

- Dziś proszek kosztuje drożej. Dostaliśmy mało towaru.

- To ja sobie pójdę - powiedział Daniel udając, że zawraca. - Leon kazał zapłacić jak zeszedłem razem

- Spryciarz z ciebie! - z uznaniem stwierdził hand'orz.

- Dobrze, na początek niech będzie po twojemu.

Daniel sprawdził zawartość paczuski, schował ją za podszewkę kurtki i pojechał na ulicę Poissonnière. Tam, przedostawszy się przez trzy podwórka na teren budowy zawalony cegłą, deskami i grudkami palonego wapna, zapukał do budki stróża i powiedział, że przychodzi z polecenia garbusa. Stary człowiek przyjrzał się, poznał go z poprzedniego razu i zaprosił do wnętrza.

- Pokaż no towar - powiedział.

Odchylił opakowanie, powąchał małą torebkę, sprytnie wydobył z niej odrobinę białego proszku, liznął go i dopiero wtedy orzekł:

W porządku.

Starannie odliczył czterysta franków w banknotach i wyprowadził chłopca z powrotem na plac budowy.

„Na dzisiaj starczy - pomyślał Daniel. - Resztę towaru spławię następnym razem.”

Cały czas nadrabiał miną, ale czuł się niepewnie, pragnął już znaleźć się w Ville d'Avray. Paryż był dla niego obcym terenem. Wszedł do klatki schodowej, jeszcze raz przeliczył pieniądze, schował je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Otwierał już drzwi do następnego podwórka, kiedy poczuł na swoim ramieniu ciężar obcej ręki.

- Nie śpiesz się, chłopcze - usłyszał za plecami ochrypły głos.

- Mam do ciebie interes.

Obejrzał się, zobaczył cywila z twarzą policjanta, szarpnął się z całej siły, a że miał nylonową kurtkę zmoczoną deszczem, wyśliznął się z uchwytu i rzucił z powrotem na budowę. Słyszał za sobą tupot pogoni i gwizd, kilku mężczyzn w kombinezonach ruszyło w jego stronę, a oct baraku biegł przecinając mu drogę drugi cywil.



Daniel skręcił w stronę szosy przylegającej do budowy, przesadził niskie opłotki i spróbował wskoczyć do autobusu, który ruszał z przystanku. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się i odrzuciły go na chodnik. Poczul ostry ból w nodze, poderwał się i opadł na ziemię.

Nadbiegł cywil, ten z klatki schodowej, za nim drugi. Chcieli go podnieść, ale zawył z bólu.

- Wezwij karetkę pogotowia - powiedział pierwszy. - Ma chyba złamaną nogę.

Daniela dostarczono do szpitala w więzieniu Santé. Zdjęcie rentgenowskie wykazało pęknięcie prawego uda. Nałożono mu gips i umieszczono w izolatce.

Wtedy dopiero zawiadomiono telefonicznie rodziców.

\*\*\*

Pani Charmier siedziała w gabinecie Dubona i z trwogą wpatrywała się w twarz komisarza, który referował przebieg nieszczęśliwego wypadku:

- Syn pani chciał wskoczyć do autobusu w momencie, kiedy ten ruszył z miejsca. Automatyczne drzwi się zatrzasnęły. Chłopca z rozpędu odrzuciło na chodnik. Przy upadku doznał pęknięcia prawego uda. Karetką pogotowia dostarczono go do szpitala.

- Dlaczego do więziennego? - zapytała, z trudem poruszając bladymi wargami.

- To przykra sprawa. Muszę panią powiadomić, że syn ratował się ucieczką przed policją.

- Dlaczego musiał się ratować?

- Widzi pani, robiliśmy akurat obławę na handlarzy narkotykami, dzielnica przy Bonne Nouvelle była obstawiona. To część operacji w celu zlikwidowania handlu narkotykami.

- Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z Danielem?

- Niestety... Daniel był jednym z tych, co pokątnie kupują i odsprzedają kokainę, heroinę i inne narkotyki.

- To niemożliwe! - krzyknęła. - To jakieś nieporozumienie.

- Sam bym wolał tak sądzić, łaskawa pani. Ale znaleziono przy nim kokainę i ponad siedemset franków.

Długą chwilę trwało milczenie. Pani Charmier wyjęła chusteczkę i otarła sobie skronie.

- Ktoś musiał go namówić - powiedziała wreszcie.

- Owszem. Zeznał, że namówił go do tego „interesu”, jak się wyraził, jego były kolega szkolny, Leon Herbe, zamieszkały w Ville d'Avray.

- Ostrzegałam Daniela przed tą znajomością. Czy Leona też zatrzymano?

Nie, proszę pani. Leon, szczęśliwie dla niego, dziś jest chory. Syn pani działał samodzielnie, na własną rękę.

- Boże, Boże - jęknęła.

Zbladła jeszcze bardziej, wydawało się, że zaraz zemdleje. Komisarz wyciągnął rękę do karafki z wodą, ale wstrzymała go gestem.

- Dziękuję. Czy mogłabym teraz odwiedzić syna w szpitalu?

Komisarz nie krył zakłopotania.

- Odwiedziny są w czwartki i niedziele, ale w drodze wyjątku... Spróbuję coś zrobić. Poślę urzędnika, który załatwi na miejscu zezwolenie dla pani.

- Dziękuję, ale...

W podziękę lekko schyliła głowę i wstała.

- Nie będę więcej zabierać panu czasu - powiedziała i wyszła.

„Mocny charakter - pomyślał komisarz z uznaniem. - Ciekaw jestem, jak długo wytrzyma.”

Jadąc na ulicę Santé Klaudia z gorączkowym pośpiechem porządkowała fakty, których dowiedziała się w prefekturze. Była niemal w panice: oto zaczynają się sprawdzać jej najgorsze obawy i przeczucia!

W obecnej sytuacji wpadka Daniela z narkotykami grozi wręcz nieobliczalnymi skutkami, znacznie gorszymi od tej stosunkowo błażej sprawy. Najważniejsze jednak, to jego stan zdrowia. Daniel jest taki niewytrzymały na ból! Powinna podnieść go na duchu, więc trzeba opanować się, ukryć przed nim swoje roztrzęsienie, pocieszyć czymś... Żadnych wymówek!

Brudnobiały mur więzienny, poszerzony u dołu, ten sam, który tyle razy mijała nie zwracając na niego uwagi, teraz zrobił na niej przygnębiające wrażenie. Za tym murem był Daniel!

Przeżywała to jak koszmarną niedorzeczność.

Urzędnik, o którym mówił komisarz, widocznie wyprzedził Klaudię, bo przy bramie już czekał strażnik, który poprowadził ją przez ponure podwórze, ponure schody i ponure korytarze do izolatki szpitalnej. Otworzył ponure drzwi (wszystko tu było ponure) i na białym łóżku zobaczyła leżącego na wznak Daniela. Był blady, oczy miał zapuchnięte od płaczu.

Strażnik wyszedł, zostali sami. Ucałowała syna, wyłożyła na biały stolik owoce i słodczyce, usiadła na taborecie. Daniel poruszył się i syknął:

- Cholera!

Dotknęła jego ręki, pogłaskała leciutko.

- Bądź cierpliwy, proszę. Nic straszego się nie stało. Teraz, jak już nałożyli gips, noga cię chyba nie boli?

- Niech ją diabli, tę nogę! Ale że tak głupio się wpakowałem! - zerknął na matkę. — Powiedziano ci, o co chodzi?

- Owszem, powiedziano. To też nic straszego. Wpakowałeś się, trudno. Mam znajomości, ojciec też... jakoś to się załatwi. Słyszałam, że tu są znakomici chirurdzy, będziesz pod dobrą opieką.

Szarpnął się:

- Jak to? Nie zabierzesz mnie stąd?

- Na razie to niemożliwe, kochanie. Trzeba mieć zgodę tutejszego ordynatora.

- I policji?

- Policji też. To tylko formalności, ale mogą potrwać parę dni.

Spojrzał na nią ze złością:

- Po co mnie czarujesz? Powiedz wprost: wytoczą mi sprawę?

- Nie wiem, ale to niewykluczone. Nawet gdyby...

- Dobrze już, dobrze. „Nawet gdyby...” I tak przecież ode mnie nic nie zależy. Leżę tu jak głupi, mają mnie w ręku.

Był ordynarny, zdawało się, że chce wyładować na matce całą swoją bezsilną wściekłość.

- Słuchaj, kochanie - powiedziała najłagodniej, jak mogła - wszystko teraz widzisz na czarno, całkiem niepotrzebnie. Nie myśl o sprawie, myśl o swoim zdrowiu. Możesz być spokojny, że my z ojcem zrobimy wszystko... Obiecuj, że będziesz

rozsądny. Dobrze?

Kiwnął głową, choć złościł się jeszcze. Ucałowała go, poklepała po twarzy.

- Jutro znów przyjdę powiedziała i wyszła z uśmiechem na twarzy.

Strażnik siedział na taborecie w korytarzu. Poderwał się i poprowadził ją z powrotem przez korytarze, schody i podwórze do wyjścia. Tym razem ponurość gmachu więziennego zrobiła na niej jeszcze bardziej dręczące, wręcz beznadziejne wrażenie.

Wpadła do biura tylko na chwilkę, żeby uporządkować pozostawione na biurku papiery, i pojechała do Ville d'Avray. Dojeżdżając do domu przypomniała sobie, że dziś nie zatelefonowała do Maksa. „Czy to ma teraz znaczenie?” - pomyślała.

Mąż był w domu, czekał na nią. Wysłuchawszy jej relacji powstrzymał się od cierpkich uwag, powiedział tylko:

- Ja ujmować się za nim w tej sprawie nie będę.

Nowa służąca Anna, osoba poruszająca się bezszmerowo, wcześniej podała kolację.

- Czy mama wie już, co się stało? - spytała Klaudia.

- Nie. Jest teraz u Filipa, on dziś zawiózł Helenę do kliniki położniczej.

- Pewnie mama zostanie u niego?

- Postanowiła przenieść się do nich, żeby pomóc Helenie w pierwszym okresie po porodzie.

- Myślę, że na razie lepiej nie mówić jej o Danielu

- Chyba tak.

Kolacja przeszła w milczeniu. Przy pieczystym doktor zapytał:

- Jak sądzisz, czy Daniel chciałby, żebym go odwiedził?

- Na pewno, tylko może lepiej za parę dni. Jest teraz bardzo rozdrażniony, niech się trochę uspokoi.

Więcej nic nie mieli sobie do powiedzenia.

Znalazszy się w sypialni, Klaudia westchnęła z ulgą. „Separacji od łoża, zdaje się, nie wystarczy - pomyślała.

- Oboje z trudem znosimy swoje towarzystwo, działamy sobie na nerwy. Właściwie już nienawidzimy się i będziemy się

nienawidzić coraz bardziej. Teraz, kiedy zostaliśmy tu we dwoje, życie domowe będzie koszmarem.”

Stanęła przed lustrem i spojrzała z odrazą na swoją wymizerowaną twarz. Wyglądała dokładnie na swoje czterdzieści trzy lata, może nawet więcej.

„Najgorsze, że niczego nie da się w tej chwili zmienić - myślała dalej. - Wszystko musi pozostać jak jest. Główny kłopot to Daniel. Jest w ręku policji, oderwany od bliskich, zdany wyłącznie na własną inteligencję i obrotność. A przecież nie ma doświadczenia w takich sprawach. Trudno nawet przewidzieć, jak to się skończy, czy kwestia narkotyków nie zahaczy o inne, dużo groźniejsze...” Wszyscy wiedzieli, że Klaudia Charmier była człowiekiem o sprecyzowanych dążeniach, logicznym umyśle i silnej woli. Miała jednak - i o tym nie wiedział bodaj nikt poza nią - dwa słabe punkty, które narażały ją na utratę całej rozwagi i opanowania.

Pierwszą jej słabością był syn, którego kochała zachłannie, bezkrytycznie, z samozaparciem; poświęciłaby dla niego wszystko i wszystkich, nie wyłączając siebie. Była wystarczająco przytomna, by ukryć przed nim siłę swojego uczucia, bo uczyniłby z niej niewolnicę, gdyby domyślał się, że taka możliwość istnieje.

Drugą jej słabością, która czyniła ją bezbronną wobec złośliwości losu, był paniczny, z roku na rok wzmagający się lęk przed starością. Sprawa ta właściwie nie była związana z jej wiekiem.

Zaczęło się to dawno. Była jeszcze młodziutką dziewczyną, kiedy we Włoszech zobaczyła film, gdzie bohaterkę pokazano najpierw jako dziecko, potem jako piękną kobietę i wreszcie jako niedołączną staruszkę. Prosty fakt, że śliczna dziewczynka z biegiem lat nieuchronnie przemienia się w brzydką staruchę, fakt z brutalną sugestywnością uwidocznił się podczas jednego seansu filmowego, boleśnie nią wstrząsnął i spowodował tijały uraz, właściwie obsesję.

Patrząc na bawiące się w ogrodzie dzieci, widziała w wyobraźni bawiących się tu starców i staruszki, w jakich niechybnie się zamienia - i ta upiorna wizja przejmowała ją

grozą. We wszystkich znajomych domach sięgała po albumy rodzinne, oglądała najpierw żywe dostojne babcie, potem zaś - ich pożółkłe, naklejone na sztywny karton fotografie w postaci pyzaty bachorów. Ten przeskok w czasie, tym razem w kierunku przeszłości, był nie mniej przygnębiający.

Świadomym wysiłkiem woli odsunęła od siebie te wizje. Przez dziesięć lat miała spokój, aż do urodzenia Madleny. Niepostrzeżenie, stopniowo uraz zaczął powracać. Pewnego dnia patrząc, jak córeczka bawi się lalką, przyłapała się na tym, że myśli o niej: „ta stara...” Nigdy nie kochała Madleny, może właśnie dlatego.

Dziwna rzecz: zupełnie nie miała podobnego spojrzenia na Daniela. Nie kojarzył się jej ze starością.

Klaudia zbliżała się do czterdziestki, kiedy Madlena zaczęła przemieniać się w ładną, pociągającą dziewczynę. Matka odczuła to niemal jako osobistą obrazę. Była w rozkwicie kobiecej urody, odnosiła coraz to nowe sukcesy, ale obecność córki wpędzała jej wyobraźnię w dawny nałóg - wywoływania wizji starości, która i ją, Klaudię, czeka za ileś tam lat. Chwilami po prostu nienawidziła dziewczyny.

Kto wie, czy w jej nagłej, namiętej miłości do przyjaciela córki nie odegrała roli chęć udowodnienia sobie, że w tej rywalizacji ona, starsza, zwycięży? Nie przyznałaby się do tego... Zresztą i to już teraz nie miało znaczenia.

\*\*\*

Doktor Charmier odwiedził syna w szpitalu więziennym.

- No, jak się masz? - zapytał z udawaną beztróską.

- Dziękuję, nie najlepiej.

- Noga nie boli?

- Nie, tylko swędzi pod gipsem.

- To jest normalne. Musisz przecierpieć.

- Wiem.

Poczęstował syna łąkociami, które ten szczególnie lubił, powiedział jeszcze kilka nic nie znaczących zdań i zabrał się do odejsia.

Daniel widocznie obawiał się, że ojciec będzie go pytał o

sprawę narkotyków i prawil moraly, wiec ucieszył się, że obeszło się bez tego. Chłopak był w złej formie psychicznej, denerwował go pobyt w izolacie, a ponadto dręczyła świadomość, że jest w zamknięciu niczym aresztant.

- Jak długo będę musiał tu zostawać? - zapytał.

- Myślę, że nie bardzo długo - odparł ojciec. - No, bywaj. Trzymaj się, chłopcze!

- Postaram się.

Wymienili mocny, męski uścisk dłoni i doktor Charmier wyszedł. Nie skierował się jednak do wyjścia, tylko do dyżurnego lekarza, który przyjął go z koleżeńską kurtuazją:

- Czym mogę służyć?

- Chciałbym obejrzeć zdjęcia rentgenowskie mojego syna.

- Proszę bardzo.

Przyjrzał się trzem starannie wykonanym kliszom i zauważył:

- Widzę, że jest pęknięcie uda od strony zewnętrznej.

- Tak, szczęśliwie nie ma złamania.

- Trzymanie nogi w gipsie może przeciągnąć się do kilku tygodni, nie wymaga jednak reżimu szpitalnego - stwierdził Charmier.

- Właściwie tak - zgodził się lekarz dyżurny i zrobił nieokreślony gest, który pewnie oznaczał, że decyzja nie od niego zależy.

- Dziękuję, kolego.

Z więzienia Santé doktor udał się do prefektury. Został przyjęty po kwadransie czekania.

Komisarz przywitał się z nim bardzo uprzejmie i zapytał, w jakiej sprawie pan doktor się zjawiał.

- Widziałem syna, panie komisarzu. Byłem też u dyżurnego lekarza, obejrzałem zdjęcia rentgenowskie. Syn nie ma złamania, tylko pęknięcie uda.

- Tak, słyszałem.

- Kuracja nie wymaga reżimu szpitalnego.

- Pan na pewno orientuje się w tym lepiej ode mnie.

- Widzi pan, pobyt w więziennych warunkach źle działa na jego system nerwowy. Chłopak jest w stanie ciężkiej hysterii, więc prosiłbym o przeniesienie go do domu, gdzie będzie miał

nie gorszą opiekę.

Komisarz milczał przez jakiś czas.

- Będę z panem szczerzy - odezwał się wreszcie. - Nawet kiedy pański syn zacznie swobodnie poruszać się, nie będzie mógł wrócić do domu.

- Czy to znaczy...?

- Właśnie. Będzie musiał wraz z innymi odpowiadać za udział w machinacjach z narkotykami. To część sprawy ogólnej i bardzo poważnej, to znaczy - likwidacji międzynarodowej afery przemytniczej.

- Mógłbym wpłacić wysoką kaucję.

- W tym wypadku kaucja nie wchodzi w grę.

- Dlaczego?

- Bo... Powiem panu całą prawdę. Daniel jest jednocześnie badany w innej sprawie: zabójstwa pańskiej córki. Wyszły na jaw pewne okoliczności, które go bardzo obciążają.

- Jakie?

- Tego nie mogę panu wyjawić. Ale zanoszą się na to, że będzie on głównym oskarżonym w tej sprawie.

- Nonsens! Daniel nie zabił Madleny!

- Rozumiem pańskie uczucia., ale fakty mówią co innego. Myślę, że oboje państwo musicie zdać sobie z tego sprawę.

- Rozumiem. Jeszcze dziś zaangażuję dobrego adwokata.

Doktor opuścił prefekturę posępny jak chmura gradowa.

Wieczorem powiadomił żonę o rozmowie z Dubonem. Zbladła tak, że musiał podać jej środek nasercowy, chociaż nigdy przedtem nie miała ataków. Położyła się w swoim pokoju i nie zeszła na kolację.

Nie zmrzyła oka tej nocy. Doktor słyszał, jak krążyła na górce, jak kilka razy schodziła do kuchni, gotowała herbatę i znów rozpoczynała wędrówkę w sypialni i w hallu na piętrze. Z rana wyglądała jak trup.

- Spróbuję sama pomówić z komisarzem - powiedziała, zanim mąż wyjechał do pracy. - To nonsens oskarżać Daniela o zabójstwo! Niech Dubon wytłumaczy, na jakiej podstawie...

- On nie ma obowiązku tłumaczyć się przed nami. Nie radziłbym ci próbować.



Spróbowała jednak, oczywiście bez skutku. Komisarz Dubon był dla niej bardzo uprzejmy, wykazywał współczucie i zrozumienie dla cierpień matczynych, ale stawał się nieprzenikniony, kiedy domagała się wyjaśnień, jakim dysponuje materiałem obciążającym Daniela.

- Niestety, proszę pani, istnieje taka rzecz jak tajemnica śledztwa - mówił rozkładając ręce.

Wstając rzuciła stanowczym tonem:

- W każdym razie proszę o przesłuchiwanie mojego syna wyłącznie w obecności jego adwokata.

- Słuszne żądanie, zastosujemy się do niego.

Dwa dni później do materiałów o zabójstwie Madleny Charmier dołączono nader ważny dokument. Poczta poranna przyniosła do prefektury list dla komisarza Dubona. Na białej kancelaryjnej kopercie był ręcznie wypisany drukowanymi literkami adres prefektury i numer pokoju: wewnątrz koperty na kartce papieru również kancelaryjnego znajdował się tekst ułożony z liter wyciętych z działu reklam gazety „France-Soir”:

„Niniejszym powiadamiam policję, że pani Klaudia Charmier, małżonka doktora Edwarda Charmier z Ville d’Avray, jest kochanką pana Maksa Rouvela, zamieszkałego w domu nr 25 bis przy faubourg Saint-Martin. Poznała Rouvela ubiegłego lata w swoim domu, dokąd przychodził jako korepetytor jej córki Madleny. Między nauczycielem a uczennicą nawiązała się więź uczuciowa przybierająca wyraźnie na sile. Wiąż tę Maks Rouvel zerwał w grudniu zeszłego roku, kiedy rozpoczął się jego romans z panią doktorową.

Podaję te wiadomości w przypuszczeniu, że mogą one przyczynić się do wyjaśnienia tła zbrodni dokonanej w rodzinie doktora Charmiera.”

A więc kochanek pani Charmier, ten nieznanany osobnik, odzyskał imię i nazwisko! Co ważniejsze, okazało się, że to były przyjaciel jej córki, a więc ujawniło się ważne ogniwo w łańcuchu wydarzeń, skonkretyzowała się ewentualna motywacja zbrodni: usunięcie niebezpiecznej rywalki, która mogłaby walczyć o odzyskanie swojego ukochanego. Typowy dramat namiętności z panią doktorową w roli głównej.

W świetle uzyskanych wiadomości jedynie ta wersja miała walor wiarygodności, stanowiła spójną całość. W walce o kochanka kobieta zbliżająca się do wieku przekwitania potrafi być okrutna i zdecydowana na wszystko, zwłaszcza jeżeli na jej drodze staje córka, której nigdy się nie kochało i która płaci pięknym za nadobne.

Komisarz polecił Charles'ovui zorganizować niezwłocznie inwigilację Rouvela; jego przesłuchanie odłożył na później, kiedy zbierze się ściślejsze o nim informacje. Czuł się zmobilizowany, wyłączony z innych spraw, jak zawsze kiedy śledztwo wkraczało w fazę decydującą.

Wielokrotnie przeczytał anonimowy donos zastanawiając się, kto mógł być jego autorem. Małżonków Ferraro wyeliminował jako zbyt słabo znających język francuski, by mogli ułożyć takie pismo. Może był to ktoś z otoczenia Rouvela, komu się zwierzył? Albo jakaś powiemiczka Madleny?

Po głębszych rozważaniach powziął pewne podejrzenie i zarządził odpowiednie kroki.

Policjant w cywilu zgłosił się do gabinetu doktora Charmiera koło Ville d'Avray, prosząc o prześwietlenie płuc. Kwadrans spędzony w poczekalni wykorzystał dla „pożyczenia” własnoręcznej notatki rentgenologa z szuflady sekretarki, która na chwilę się oddaliła. Zanim papierek wrócił do tej szuflady, powędrował wraz z kopertą anonimowego listu do ekspertyzy grafologicznej. Na wynik trzeba było poczekać do następnego dnia.

- Co sądzisz o tyrti donosie? - zapytał Charles'a tegoż wieczora komisarz.

Była późna godzina, na drugim piętrze nie zostało już nikogo prócz ich obu i oficera dyżurnego.

- Sądzę, że pan komisarz zwolni teraz małego Charmiera - powiedział inspektor.

- Ani myślę! - zaśmiał się komisarz. - Wręcz przeciwnie, teraz go zdrowo przycisnę, niech się rozklei.

- Więc pan sądzi, że donos jest fałszywy?

- Jest jak najbardziej wiarogodny i sporządzony przez osobę, która jest obeznana ze sprawą.

- Nie rozumiem... Zdawało mi się, że informacja obciąża raczej panią doktorową?

- Zrozumiesz, chłopcze, za parę dni. Miej oczy i uszy otwarte!

Komisarz narzucił płaszcz i wyszedł pogwizdując, wyraźnie zadowolony z sytuacji.

\*\*\*

Klaudia Charmier podniosła słuchawkę niebieskiego aparatu i usłyszała celowo zmieniony głos Maksa:

- Dzień dobry, dzwonię z automatu. Pani miała rację, zauważyłem zmianę.

- Od kiedy?

- Od wczoraj. Już nie będę czekał na telefon.

- Dobrze.

Odłożyła słuchawkę z takim uczuciem, jak gdyby wszystko naokoło niej chwiało się i rozpadało. Maks jest śledzony? Więc dowiedzieli się o ich romansie, resztę sobie dośpiewają. To kłeska.

Weszła sekretarka, o coś pytała. Odpowiedziała pół-przytomnie, ta spojrzała ze zdziwieniem i po chwili wahania odeszła.

Co począć, co począć? Czują się jak lis otoczony zamykającym się pierścieniem gończych psów i myśliwych. Czy jest jeszcze szansa, żeby się wymknąć?

Odezwał się telefon na biurku, sekretarka zapytała, czy ma połączyć panią dyrektor z mecenasem, który mówi, że ma pilną sprawę.

- Proszę połączyć - powiedziała.

Adwokat, oględnie dobierając wyrazy, opowiedział, że był w więzieniu i znalazł Daniela w o wiele gorszym stanie ducha. Próbował go uspokoić, ale chłopak dostał ataku hysterii.

- Byłoby wskazane - dodał - żeby pani uzyskała dziś od komisarza zezwolenie na widzenie się z synem. Jest kompletnie załamany.

- Postaram się. Dziękuję - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Nie czuła się na siłach stanąć znów twarzą w twarz z człowiekiem, który prowadzi śledztwo. Który prowadzi

nagonkę, mówiąc ściślej. Nienawidziła go! Gdyby mogła go zabić bezkarnie, uczyniłaby to z rozkoszą.

Wstała jednak, ubrała się, wyszła.

- Nie wiem, kiedy wrócę - powiedziała do sekretarki.

Wsiadła do wozu i pojechała na Quai des Orfèvres.

W tym samym czasie komisarz czytał orzeczenie grafologa, z którego wynikało niezbicie, że autorem anonimu był doktor Charmier. „Przestraszył się o syna - pomyślał Dubon. - Dawno wiedział o romansie żony, ale zdradził ten kłopotliwy sekret rodzinny dopiero w sytuacji podbramkowej.”

Zameldowano mu przyjscie pani Charmier, przyjął ją od razu.

- Słucham uprzejmie - powiedział, gdy usiadła naprzeciw niego.

- Chcę złożyć zeznanie - powiedziała cicho, ale stanowczo.

- W sprawie syna?

Nie. W sprawie własnej.

Westchnęła i, z trudem łapiąc powietrze, powiedziała powoli:

- To ja zabiłam moją córkę Madlenę.

Komisarz przyjrzał się jej uważniej.

- Pani mówi tak, żeby ratować syna?

- Nie. Mówię tak, ponieważ to prawda.

Nacisnął dzwonek, zjawił się młody inspektor.

- Będiesz protokołować - powiedział komisarz. - i to bardzo uważnie.

- Tak jest, szefie.

Dubon zwrócił się do siedzącej przed nim kobiety:

- Uprzedzam panią, że od tej chwili wszystko, co pani powie, może być wykorzystane przeciw niej,

Kiwnęła głową.

- Ma pani prawo zeznawać w obecności swojego adwokata.

- Nie mam jeszcze adwokata. Nie potrzebuję jego obecności do składania zeznań.

- W takim razie proszę opowiedzieć, jak pani dokonała tego czynu.

- To było tak... W sobotę piątego stycznia córka moja źle się czuła i nie zeszła na kolację. Posłałam jej przez służącą

kapsułkę tubinalu - to proszek nasenny, którego używam. Córka nie uznawała żadnych środków na sen, ale bardzo mi zależało, żeby tym razem jednak wzięła tubinal.

- Dlaczego?

- Zależało mi, żeby zasnęła jak najmocniej. Miałam do tego powody.

- Pani tej nocy spodziewała się gościa, prawda?

- Wiedzieliście o tym?

- Od samego początku. Wiedzieliśmy, że ten późny gość po kryjomu dostał się przez taras do pokoju gościnnego, gdzie spędził noc z panią. Czy tak?

Kiwnęła głową.

- Nie wiedzieliśmy tylko, kim był ten człowiek.

- A teraz?...

- Teraz i to wiemy. Nazywa się Maks Rouvel, był przedtem przyjacielem córki pani, Madleny. Czy tak?

- Ale on nie miał nic wspólnego z moim czynem, nic o nim nie wiedział!

- To się wyjaśni. Proszę opowiedzieć, co pani robiła po tym, jak wysłała do córki tubinal.

- Rozmawiałam z Danielem, wysłuchałam radiowego dziennika wieczornego. Mniej więcej o dziewiątej poszłam do Madleny.

- Po co?

- Żeby dowiedzieć się, jak się czuje, i sprawdzić, czy wzięła proszek.

- Ile czasu pani spędziła w pokoju córki?

- Nie wiem dokładnie, może kwadrans.

- Rozmawialiście ze sobą?

- Tak.

- O czym?

- Nie pamiętam.

- To znaczy, że rozmowa była błaha?

- Tak.

- I nie doszło między wami do sprzeczki?

Zawahała się, patrząc lękliwie na komisarza.

- Skąd pan wie o naszej sprzeczce?

- Nie wszystko mogę przed panią ujawnić.

- No dobrze. Pokłóciłyśmy się. Myślałam, że to sprawa czysto osobista i nie mam obowiązku o niej opowiadać.

- Muszę panią objaśnić, że tam, gdzie idzie o morderstwo, sprawy osobiste przestają być nietykalne. Najczęściej właśnie one odgrywają główną rolę przy planowaniu zbrodni. Więc prosiłbym o wyjaśnienie, na jakim tle wywiązała się sprzeczka.

- Madlena zachowała się wobec mnie arogancko.

- Czy wiedziała o romansie pani z jej byłym przyjacielem?

- Prawdopodobnie.

- Czy poruszyła ten temat?

- Nie wprost, ale w sposób przejrzysty. Powiedziała:

„Starsza kobieta, która zaleca się do młodego chłopaka, wygląda śmiesznie. Czy tego nie rozumiesz?”

„Nie wiem, o czym mówisz” - odpowiedziałam spokojnie.

„Dobrze wiesz! - powiedziała ze złością. - 1 nie myśl, że jestem ślepa.”

- Jak pani na to zareagowała?

- Nie byłam pewna, czy ma dowody, czy tylko podejrzewa nas i bada grunt. Zapaliłam papierosa, żeby się opanować, i powiedziałam:

„Słuchaj, moja droga: masz bujną wyobraźnię i żadnego doświadczenia seksualnego, to połączenie fatalne. Ale, cokolwiek by się roilo w twojej głowie, nie radzę tak ze mną rozmawiać. Po prostu zabraniam ci tego ordynarnego tonu.”

Powiedziała z naciskiem:

„Nie masz prawa mi czegokolwiek zabraniać. W naszej sytuacji to brzmi groteskowo.”

„Może i nie mam prawa, wkrótce ukończysz osiemnaście lat, niemniej istnieją pewne rygory. Jako matka...” Przerwała mi:

„Nigdy nie byłaś mi prawdziwą matką, a teraz... teraz jesteś moim najgorszym wrogiem.”

„Bzdura!” - rzuciłam z uśmiechem.

„A w ogóle czego ode mnie chcesz? - krzyknęła. - Ty do mnie przyszłaś, nie ja do ciebie. Czego chcesz!?”

Klaudia Charmier zamilkła, zgubiwszy wątek swoich wspomnień. Podjęła po chwili:

- Zaczęłam jej dowodzić, że jest przewrażliwiona, że to pewnie właściwość wieku dziewczęcego, niech jej się nie zdaje, że wszystko dostrzega i rozumie. Mówiałam:

„Jesteś fizycznie rozwinięta, ale zachowałeś infantylne wyobrażenia i reakcje. Nazwałaś mnie starszą kobietą... Za parę lat zrozumiesz, że w moim wieku kobieta przeżywa najlepszy okres pełnej dojrzałości. Nie moja wina, jeżeli młodszy ode mnie mężczyźni to wyczuwają, jeżeli to ich pociąga. Owszem, podobam się Maksowi, ale nie śmiałyby do mnie się zbliżyć. Zastanów się, mówiłam, czy mógłby być moim kochankiem? Wielbicielem - proszę bardzo, nie będę ukrywać, że każda adoracja sprawia mi przyjemność. Ale przecież nie będę traktować młokosa poważnie!” Zdawało mi się, że Madlena waha się, zastanawia.

„Chcesz mnie oszukać! - rzuciła nagle. - On się tak zmienił ostatnio...”

„Może spotkał jakąś inną dziewczynę, dojrzałą od ciebie.”

„Dziewczynę! Właśnie że ciebie. Ja wiem.”

„No, jeżeli ubzdurałaś sobie to głupstwo i nie chcesz słuchać głosu rozsądku, to rzeczywiście nie warto z tobą dyskutować” - powiedziałam i wstałam, żeby skończyć tę przykrą rozmowę.

Madlena zagryzła wargi chcąc powstrzymać łzy, które już ciekły po jej policzkach. Tu powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić... Uległam odruchowi złości wobec słabszej rywalki...

Urwała. Widać, trudno jej było powtórzyć własne słowa.

- Słucham? - ponaglił ją komisarz.

- Powiedziałam: „Idź do lustra, popatrz, jak teraz brzydko wyglądasz”. Madlena aż zbladła. Dotknęły ją nie tyle słowa, co moja intencja, którą odgadła. Krzyknęła:

„Wynoś się stąd, ty wściekła samico!”

Klaudia zamilkła spuściwszy oczy.

- Wtedy pani wymierzyła córce policzek?

- Tak... Skoro pan wszystko wie, po cóż zmuszać mnie do opowiadania szczegółów?

- Pani sama chciała złożyć zeznania. Może zmieniła pani decyzję?

- Nie. Proszę pytać dalej.

- Co nastąpiło po tym policzku?

- Wysłałam, już nie panowałam nad sobą. Ogarnęła mnie dzika złość, wprost nienawiść do córki. Staralam się o niej nie myśleć. Zamknęłam się w sypialni, wzięłam kąpiel, zrobiłam sobie masaż elektryczny, położyłam się, żeby się odprężyć... A złość wciąż we mnie kipiła. Gdybym miała pod ręką truciznę...

- Czy pani nie miała morfiny w swojej apteczce?

- Nie. Potem przypomniało mi się, że w szafce Daniela stoi fiolka z morfiną, której on używa do zabijania eksperymentalnych zwierząt. Wysłałam na korytarz. Telewizor był włączony, Daniel siedział w salonie...

- Oglądał kolejny odcinek „Jamesa Bonda” - wtrącił komisarz.

- To on panu powiedział?

- Nieważne. Proszę mówić dalej.

- Przecież pan i bez tego wszystko wie... Wyjęłam z szafki Daniela morfinę, wróciłam do siebie. Opróżniłam z tubinalu jedną z kapsułek, wypełniłam ją morfiną, ugniatając proszek, żeby weszła większa dawka. Ostrożnie połączyłam obie połówki...

- Nie dość ostrożnie, skoro drobne kruszynki wysypały się do pudełka, które pani dała Madlenie.

- Tego nie przewidziałam. Nie jestem doświadczoną morderczynią, panie komisarzu.

- Nikt panią o to nie posądza. Proszę mówić dalej.

- Cóż dalej? Poczekałam, aż Daniel wszedł do swojego pokoju, położył się i zasnął. Wtedy zajrzałam do niego, przekonałam się, że śpi mocno, i wstąpiłam jeszcze raz do Madleny.

- Która to była godzina?

- Koło pół do jedenastej. Madlena leżała odwrócona do ściany, nie spojrzała na mnie.

„Wybacz mi - powiedziałam. - Uniosłam się niepotrzebnie, teraz bardzo żałuję.”

Milczała, nadal odwrócona ode mnie. Szybko zamieniłam kapsułki mówiąc jednocześnie:



„Przebaczymy sobie nawzajem, ty przecież też byłaś wobec mnie nie w porządku. Zapomnijmy o tym, co się stało, dobrze?” I dodałam na odchodnym: „Weź koniecznie proszek, działa kojąco na nerwy”.

- Potem wróciła pani do sypialni?

- Nie. Zeszłam do gościnnego.

- Chciałbym wiedzieć: do kogo należał ten dość fantazyjny pomysł urządzenia nocnej randki w wili pod nieobecność gospodarza?

Spojrzała na komisarza z wyrzutem:

- Czy to też ma znaczenie dla sprawy?

- Pytam nie z ciekawości.

- Pomysł był mój. Maks miał opory.

- Rozumiem go. Czym pani się kierowała?

- Nie wiem. Myślałam, że to sprawi mi może szczególną satysfakcję: że właśnie pod jednym dachem z tą, którą dla mnie porzucił... Ale po kłótni z Madleną już żałowałam, że doprowadziłam do tej nocnej randki. Bałam się, że jeśli córka nie zażyje proszka, będzie czuwała i może zejść na dół.

- O której godzinie zjawił się pan Rouvel?

- O północy. Czy mogę prosić o wodę?

Szklanka drżała w jej ręku.

- Jeżeli pani źle się czuje, możemy przerwać przesłuchanie.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Muszę zatrzymać panią w areszcie. Ale możemy najpierw pojechać do Ville d'Avray.

- Po co?

- Pewnie chciałyby pani zabrać z domu niektóre rzeczy osobiste, pożegnać się z rodziną.

- Z jaką rodziną? Daniel w więzieniu, teściowa u młodszego syna, a mąż... w tej sytuacji wolę się z nim nie spotykać.

- W takim razie proszę zrobić spis potrzebnych przedmiotów, dostarczymy je pani za kilka godzin.

- Dziękuję.

Wstała, wyprostowała się i, jakby odzyskując godność Klaudii Charmier, szanowanej obywatelki Ville d'Avray, powiedziała patrząc wprost w oczy komisarza:

- Będzie musiał mnie pan poprowadzić, bo nie znam tutejszego terenu.

Komisarz uklonił się.

---

---

Tadeusz siedział na kanapie z głową wspartą na skroniach.

- Tak bardzo boli cię ząb? - spytał Ludwik.

- Wystarczająco, żeby zatruć życie.

- Poczekaj, skoczę do dyżurnej apteki po weramon.

- Nie trzeba. Sam wstąpię po drodze.

Wstał, narzucił wiatrówkę.

- Jutro pewnie nie przyjdiesz? - zapytał Ludwik.

- A będziesz miał dalszy ciąg?

- Będę miał zakończenie.

- To przyjdę. W domu nie będzie mi lepiej.

Pożegnał gospodarza gestem i wyszedł.

Za oknem był nieprzejrany mrok. Ludwikowi wydało się, że już głęboka noc, a dochodziła dopiero dziewiąta.

„Dobijamy brzegu - pomyślał, ścięty nagłym znużeniem. - Dobijamy smutnego brzegu...”

## WIECZÓR PIĄTY

- No jak, skończyłeś swoje dzieło? - zapytał Tadeusz od progu.

- Tak. Nadużyłem twej cierpliwości, wybaczone, opisywałem wszystko zbyt dokładnie. To z braku wprawy literackiej.

- Nie przepraszaj, wcale się nie nudziłem.

- A co z zębem?

- Boli. Przyzwyczaiałem się już do tej męczarni jak prawdziwy cierpiętnik. Oby tak dalej.

- Masz, widać, zapalenie okostnej. Alkohol w takiej sytuacji nie jest wskazany, ale~jeżeli chcesz... Twoja wczorajsza butelka stoi nie tknięta \_

- Niech sobie stoi.

Położył się na kanapie i rzucił:  
- Zaczynaj.

---

---

## Sąd

Prawnicy twierdzą, że był to jeden z głośniejszych procesów we Francji.

Rozprawa odbyła się w październiku 1974. W toku śledztwa nie było przecieków do prasy, za to od pierwszego dnia procesu zahuczało we wszystkich gazetach: „Zabójstwo Madleny Charmier”, „Ponury dramat w Ville d’Avray”, „Tragedia doktora Charmiera”, „Zbrodnia na tle erotycznym” - i tak dalej, i dalej.

Wszelkie rekordy sensacji pobił brukowiec „Tydzień detektywa”. Reportaż z sali sądowej ukazał się w tym piśmie pod olbrzymim nagłówkiem: „Matka spała z przyjacielem swej córki, którą zabiła”. Historię zbrodni przedstawiono w takim stylu:

„Madlena kończyła lat osiemnaście. Była to śliczna dziewczyna promieniująca pogodą, talentem, dobrocią. Życie uśmiechało się do niej ofiarując wszystko, czego mogła zapragnąć dusza dziewczęca: dostatek, czułą opiekę ojca, przyjaźń rówieśników, życzliwość profesorów Sorbony. Ponadto los ofiarował jej miłość Maksa, pięknego młodzieńca, który ją uwielbiał. Jakże byli szczęśliwi spotykając się w Ville d’Avray, tej precudnej okolicy opodal

Paryża! Rodzina doktora Charmiera zamieszkuje tam luksusową posiadłość z ogrodem nad słynnym stawem Corota.

Ale oto nad Madleną zbierają się chmury. Złowrogi los postanowił zniszczyć jej szczęście! Matka, piękna Klaudia Charmier, przekroczyła już czterdziestkę, ale nienasycone żądze trawią duszę tej kobiety. Uroda Maksa nie uszła jej uwagi. Roztoczyła przed nim wszystkie wdzięki doświadczonej kokietki... Uległ. Madlena została zdradzona.”

Sprawozdania poważnych dzienników były oczywiście pisane

inaczej, ale i tam wyczuwało się posmak sensacji. W gazecie wieczornej „France-Soir” można było przeczytać pod tytułem „Mroczne podziemia duszy kobiecej”:

„Rozpoczął się proces, który wstrząsnął wrażliwością Francuzów, przyzwyczajonych przecież w czasach obecnych do wszelkiego rodzaju okrucieństw i wynaturzeń. Bo też nie o fizyczne okrucieństwa czy wynaturzenia tu idzie.

Otruto młodą studentkę Sorbony, Madlenę Charmier. Zabiła ją matka, kobieta piękna i pod każdym względem wybitna. Przyczyną zbrodni była miłość obu kobiet do tegoż samego mężczyzny, 28-letniego Maksa Rouvela. Maks najpierw kochał się w Madlenie, o dziesięć lat od niego młodszej, potem porzucił ją zostając kochankiem Klaudii, o piętnaście lat starszej od niego. Psycholodzy i seksuolodzy będą chyba mieli coś do powiedzenia na ten temat.

Czemu Kaludia Charmier zdecydowała się na tak odrażający czyn? Jak sama tłumaczy, nie była pewna trwałości swojego zwycięstwa nad córką. Bardzo mocno przywiązała się do kochanka i nie chciała go stracić. W zauroczeniu miłosnym, zniewolona przez wszechwładną namiętność, postanowiła pozbawić życia niebezpieczną rywalkę. Nie powstrzymała jej miłość matczyna, nigdy bowiem nie kochała swej córki, całe uczucie skupiając na synu. Tu z kolei freudyści mogliby zabrać głos.”

„Humanité” w artykule pod tytułem „Po zgonie młodej studentki” zajęła się głównie socjalnym aspektem sprawy: „Istnieje we Francji spora warstwa finansowo uprzywilejowanej inteligencji, która trybem życia nie różni się od zamożnej burżuazji. Państwo Charmierowie należą do tego kręgu: mąż wzięty rentgenolog, żona inżynier elektronik na wysokim stanowisku.

Ofiarę zbrodni, Madlenę, chowano w luksusie, co nie jest najlepszą szkołą hartu życiowego. Była to dość typowa panienka z bogatego domu, podatna na wszystkie modne snobizmy, w tym także na bratanie się z tak zwaną skrajną lewicą.

Los zetknął ją z Maksem Rouvelem, młodym dziennikarzem

tego właśnie pokroju. Miał usta pełne ultra-rewolu- cyjnych frazesów, a jednocześnie - jak to nierzadko bywa - lubował się w burżuazyjnym stylu życia, więc chętnie zadomowił się w środowisku Charmierów.

Przyjaźń z córką doktora była tylko początkiem tej drogi. Niedługo potem Rouvel stracił serce dla młodzietkiej dziewczyny i nawiązał romans bynajmniej nie plato- niczny z jej matką, należąca do elitarnego kręgu menadżerów elektroniki. Jakże często fasada ideowości kryje za sobą zwykłą troskę o karierę!”

Z kolei „Monde” w artykule „Elektronika, miłość, śmierć” tak referował sprawę:

„Klaudia Charmier, sądzona za zabójstwo swojej córki Madleny, popełniła czyn mający wszystkie znamiona zbrodni z namiętności. Obrońcy jednak trudno będzie dowieść, że działała w afekcie.

Na ławie oskarżonych siedzi kobieta wyglądająca młodo, ładnie, elegancko. Jej południowa uroda jest przyćmiona, ale też i wysubtelniona przez cierpienie, oczy mają wyraz smutnej dumy, tak jakby nie wstydziła się swej obecności na sali, lecz spokojnie stawiała czoła losowi i tym, którzy będą wymierzać jej karę. Dobrowolnie przyznała się do winy i jest gotowa do pokuty. W tej postawie wyczuwa się ogromny wysiłek woli i wybitną osobowość”.

Czytając niezliczone artykuły w prasie, doktor Charmier po raz pierwszy uświadomił sobie, jak beznadziejnie dalekie od prawdy jest obce spojrzenie na sprawy ludzkie. Niby zewnętrzne szczegóły i pojedyncze fakty zgadzają się, ale brak rzeczy najistotniejszej: chęci ujrzenia ludzi takimi, jakimi są.

„Czy to ja? Czy to moja rodzina?” - myślał o postaciach kreślonych reporterskim piórem.

Od zgonu Madleny znajdował się w dziwnym stanie. Wyostrzyła się jego wrażliwość na odczucia innych, jego spostrzegawczość i szybkość refleksu. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że jest, jak nigdy dotąd, samotny. Ograniczył kontakty z otoczeniem do tych niezbędnych, zawodowych, sprowadzając inne do zdawkowego konwenansu.

Po raz pierwszy znalazł się w sądzie - w miejscu, gdzie jedni ludzie decydują o losach drugich ludzi. Po raz pierwszy wstępował na imponujące, antycznych wymiarów schody Pałacu Sprawiedliwości, który rzeczywiście wygląda jak świątynia Temidy. Wchodził tu jednak nie czekając na sprawiedliwość.

Usiadł w dalszym rzędzie. Adwokat już zajął swoje miejsce przed ławą oskarżonej. Po drugiej stronie sali siedział prokurator, jego adwersarz; dzieląca ich przestrzeń wyglądała jak plac przed rozpoczęciem walk szermierczych.

Wkrótce wprowadzono Klaudię w asyście policjantek, które zaprowadziły ją na miejsce i stanęły za jej plecami. Unikała spojrzenia na salę, bo zobaczyłaby wiele znanych jej twarzy: wszyscy przyjaciele i znajomi z Ville d'Avray i z Paryża zjawili się na otwarcie procesu. Zgodnie z jej życzeniem nie było Daniela. Nie było też sędziwej Wandy Charmier, taka próba hartu była nie na jej siłę.

Klaudia włożyła granatowy kostium i białą bluzkę, w klapie zakietu mienił się bursztyn oprawny w srebro. Była starannie uczesana, twaiz pod kunsztownym makijażem wyglądała bardzo młodo i ładnie. Mężowi przypomniawszy się urocza Włoszka, którą spotkał w Bolonii blisko dwadzieścia lat temu.

Kiedy wypełniły się miejsca sądu i ławy przysięgłych, rozpoczęło się posiedzenie.

Na wezwanie przewodniczącego sądu Klaudia wstała, podała swoje personalia, streściła życiorys. Sędzia, siwiejący pan z gładko ogoloną, dobroną twarzą, patrzył na nią życzliwie, nie naruszając jednak wymogów bezstronności. Gdy zatrzymywała się lub skąpiła szczegółów, wkraczał z pytaniem. W ciągu siedmiu miesięcy śledztwa zebrano obfity materiał o wszystkich okresach jej życia.

Publiczność słuchała chciwie. Oto mała Klaudia, jedynaczka bogatych rodziców (ojciec ma fabrykę przetworów owocowych) spędza dzieciństwo w wiejskiej posiadłości koło Bolonii. Rodzina jest katolicka, praktykująca, dziewczynka lubi chodzić z matką na nabożeństwa, zwiedzać położony za miasteczkiem klasztor. Jej pierwszymi nauczycielkami są siostry zakonne.

- Czy pani jest wierząca? - pyta przewodniczący.

- Tak.

Mając lat jedenaście Klaudia idzie do szkoły, dobrze już przygotowana do średniej klasy. Uczy się świetnie, pedagodzy szybko rozpoznają w niej wybitne zdolności matematyczne. Wygrywa szkolne konkursy, daleko wyprzedza kolegów w znajomości literatury przedmiotu.

Czy jest lubiana w klasie? Przez niektóre dziewczęta aż zanadto, przez inne traktowana z niechęcią: „Dumna jak paw” - mówią o niej. Prawdopodobnie dużą rolę odgrywa tu zawiść.

Stosunki z rodzicami? Normalne, jak określa podsądna. Sędzia naprowadza ją na pewien epizod.

- Czy rodzice stosowali wobec pani kary cielesne?

- Ojciec nigdy, a matce zdarzało się dać mi klapsa, oczywiście kiedy byłam jeszcze mała.

- Czy matka pani odznaczała się porywcznością?

- Tak, niekiedy.

- Czy zdarzało się jej uderzyć kogoś ze służby?

- Tak - stwierdza Klaudia z ociąganiem. - Pewnego razu uderzyła pokojówkę, która pomagała jej wkładać suknię wieczorową i niechęć zerwała koronki. Matka zdenerwowała się, bo już nie było czasu na reperację, rodzice się spóźniali na przyjęcie.

- Czy pani również ma charakter porywczy?

- Na ogół sądzi się, że jestem opanowana.

- Proszę powiedzieć: kiedy córka była mała, zdarzało się pani ukarać ją klapssem lub szturchańcem?

- Owszem, jak w każdej rodzinie. Zaniechałam tego, kiedy córka wstąpiła w okres dojrzewania.

Sędzia zagląda do swoich papierów.

- A jednak w wieczór zabójstwa, piątego stycznia, będąc sam na sam z córką wymierzyła jej pani policzek. Czy stało się to w wyniku jakiegoś gwałtownego starcia?

- Tak.

- Proszę opowiedzieć o tym sądowi.

- Zeznawałam to w śledztwie - mówi cicho Klaudia.

- Woli pani, żeby odczytano to zeznanie?

- Tak.

Na twarzy jej, poprzez makijaż, zaznaczają się czerwone plamy. Doktor patrzy na te plamy i słucha opisu sprzeczki, która rozegrała się wówczas w pokoju jego córki. Widzi wszystko, jakby był przy tym obecny. Madlena półprzytomna, może z dużą gorączką, Klaudia góruje nad nią spokojem i świadomością swojej przewagi, więc z perfidną sugestią dowodzi, że Maks nie jest jej kochankiem. Dziewczyna się waha, przecież bardzo by chciała nie mieć racji w tym sporze, ale intuicja mówi jej swoje, fakty też przeczą słowom matki...

Wyprany z wyrazu głos protokolanta sądowego przekazuje tekst zeznania z materiałów śledztwa:

„Pani Charmier: Madler»a zagryzła wargi chcąc powstrzymać łzy, które już ciekły po jej policzkach. Tu powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić. Uległam odruchowi złości wobec słabszej rywalki. Powiedziałam: Idź do lustra, popatrz, jak teraz brzydko wyglądasz! Madlena aż zbladła. Dotknęły ją nie tyle słowa, co moja intencja, którą odgadła. Krzyknęła: Wynoś się stąd, ty wściekła samico!

Komisarz Dubon: Wtedy pani wymierzyła córce policzek?

Pani Charmier: Tak.”

Doktor odwraca głowę i zaczyna przyglądać się przysięgłym siedzącym za długą barierą przy wspólnym stole. „Ciekawe, myśli, jaką każdy z nich ma profesję?”

Ten szczupły pięćdziesięciolatek o wysuszonej twarzy i zgaszonych oczach to pewnie urzędnik bankowy. Ma żółtawą cerę, choruje widać na niezyt żołądka przez brak ruchu na świeżym powietrzu. Obok ruchliwy blondyn o pulchnej twarzy i bystrych oczkach, wciąż notuje coś na kartce papieru: może filmowiec. Dalej trzydziestoparolet- ni szatyn z opadającymi aż na kołnierz włosami, olbrzymie kwadratowe okulary przesłaniają mu połowę twarzy, nie widać wyrazu; może to agent ubezpieczeniowy czy też pracownik firmy reklamowej...

- Która była godzina, kiedy pani opuściła pokój córki?

- słyszy doktor głos przewodniczącego.

... Otyły pan w śnieżnobiałej koszuli to pewnie finansista lub dyrektor fabryki. Z miną konesera wpatruje się i wsłuchuje w



to, co się dzieje naokoło podsądnej, najwidoczniej szukając niezdrowej sensacji. Doktorowi przychodzi na myśl całkiem niestosowne skojarzenie z lożą nocnego lokalu podczas programu kabaretowego, więc uśmiecha się ironicznie. Tu dostrzega zdumione spojrzenie sąsiadki i znów słyszy głos sędziego:

- Kiedy pani weszła do córki po raz drugi, żeby zamienić tubinal na morfinę?

- O pół do jedenastej - zeznaje Klaudia. - Postanowiłam, że przeproszę ją i namówię, żeby koniecznie wzięła ten proszek.

...Na ławie przysięgłych jest tylko jedna kobieta, niemłoda już i ubrana bez smaku, pewnie wychowawczyni liceum lub kierowniczka kancelarii w jakimś urzędzie. Ptasia główka zachłannie podana naprzód, niewiasta boi się przeoczyć jakiś szczegół rozprawy - ni to z rzetelności obywatelskiej, ni to z braku wrażeń na co dzień; będzie to może największe wydarzenie w jej życiu!

Jakiś starszawy jegomość w dziecięcych kędziorkach, prawdopodobnie aktor lub konferansjer, w rozpiętej marynarce i pstrokatej młodzieżowej koszuli, trzyma się swobodnie, jak człowiek nawykły do oglądania przepelnionej widowni.

A ten to na pewno robotnik wykwalifikowany, zecer albo elektrotechnik. Ubrany skromnie, garnitur z konfekcji, lat niewiele ponad trzydziestkę; czarna niesforna grzywa, ciemne oczy pełne dziecięcego zaciekawienia, bardzo długa szczęka, którą ciągle porusza, jakby coś przeżuwał.

Obok pan po prostu nijaki: ulizane czarne włosy, twarz aż lśniąca gładkością i ogołocona z wyrazu, tak jakby żyłeczka usunęła go wraz z zarostem. Czym, do diabła, taki może się trudnić?

Najbliżej podwyższenia przeznaczonego dla sądu siedzi intelektualista wieku średniego z miną pełną krytycyzmu, który zapewne stale gości na jego twarzy, chyba że zdejmuje go na noc wraz z okularami. Profesja? Właśnie że intelektualista, czyli człowiek zajmujący się myśleniem. Zawód nieważny.

Ci ludzie zebrali się tu, żeby wnikać w istotę sprawy i rozważyć ją w swoim sumieniu. To właśnie oni będą decydować

o losach doktorowej Klaudii Charmier.

- Proszę opowiedzieć - mówi sędzia - w jaki sposób została zamieniona zawartość kapsułki z tubinalem na morfinę.

Teraz doktor uważnie słucha wyjaśnień swej żony.

- Wzięłam morfinę z pokoju syna, który używał jej do zabijania zwierząt eksperymentalnych - mówi Klaudia miarowo, donośnie, niczym uczennica wezwana do odpowiedzi. - Wyjęłam z nowego pudełka kapsułkę tubinalu, rozłączyłam połówki, wysypałam proszek do umywalki. Potem za pomocą pilniczka do paznokci zaczęłam przesypywać do opróżnionej połówki morfinę. Nabierałam na koniec pilniczka bardzo małe dawki i za każdym razem ugniatałam proszek szklaną pałeczką kosmetyczną.

- W jakim celu?

- Kapsułka zawierała jedną trzecią część grama tubinalu luźno nasypanego. Tymczasem śmiertelna dawka morfiny wynosi pół grama. Udało mi się jednak, po starannym ubiciu morfiny, zmieścić w kapsułce niezbędną ilość trucizny.

- Czy to zajęło pani dużo czasu?

Oskarżona zastanawia się, chce przypomnieć sobie jak najdokładniej.

- Nie patrzyłam na zegarek, ale myślę, że ze względu na konieczność precyzji czynność ta zajęła mi nie mniej niż dziesięć minut.

Ten beznamiętny opis wywołał lekkie poruszenie na sali.

Doktor ze wzrastającym zainteresowaniem przyglądał się żonie.

- Co było potem? - zapytał sędzia.

- Potem połączyłam obie połówki. Ta górna wystawała nieco wyżej niż w zwykłej kapsułce tubinalu. mieściła się jednak we wgłębieniu pudełka.

- Przygotowując ten mord - mówi sędzia - pani musiała uwzględnić ryzyko podejrzenia o zabicie córki, które spadnie na panią po znalezieniu zwłok, a zwłaszcza po sekcji. W jaki sposób zamierzała pani zapobiec tej groźbie?

- Nie myślałam o tym przyrządzając truciznę.

- Chociaż była pani całkiem przytomna?

- Tak. Później, już kiedy byłam w pokoju gościnnym, zaczęłam się dręczyć obawą, że na mnie spadnie takie podejrzenie. Gotowa byłam wrócić do Madleny i odebrać tę kapsułkę, jeżeli jeszcze jej nie połknęła.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła?

- Bo już było za późno. Zbliżała się północ.

Doktor Charmier wstał i wyszedł na korytarz.

W tym gigantycznym gmachu łatwo było się zgubić. Bardzo wysokie sufity, bardzo szerokie korytarze, mnóstwo krzyżujących się przejść, niezliczone rzędy numerowanych drzwi, tłumy zaaferowanych ludzi, czasem ktoś płacze, inny jest rozradowany, bo uśmiechnęła się do niego Temida. Tylko prawnicy czują się tu jak w domu, mimo że wyglądają tak teatralnie w swych czarnych togach; poruszają się bez pośpiechu, dostojnie, omawiając swoje fachowe sprawy.

Doktor zajrzał do jakiejś salki, gdzie niewiele osób przysłuchiwało się zeznaniom świadka. Tu chodziło o kradzież, oskarżony nie ryzykował głową.

Gdy wrócił na swoje miejsce, sędzia spytał Klaudię, z jakich pobudek zorganizowała spotkanie z kochankiem we własnym domu, korzystając z nieobecności małżonka. W tej kwestii nie była tak wielomówna, jak na temat morfiny.

- Nie umiem tego sprecyzować dokładniej - powiedziała, jakby trochę speszona.

Przewodniczący znów zajrzał do materiałów śledztwa:

- Zacytujemy pani poprzednie zeznania.

Protokolant odczytał tym samym nużącym głosem:

„Komisarz Dubon: Czym pani się kierowała przy urządzeniu tej randki?

Oskarżona: Nie wiem. Myślałam, że to sprawi mi może szczególną satysfakcję: że wtaśnię pod jednym dachem z tą, którą dla mnie porzucił... Ale po kłótni z Madleną już żałowałam, że doprowadziłam do tej randki. Bałam się, że jeśli córka nie zażyje proszka, będzie czuwała i może zejść na dół.”

- Czy tak brzmiało pani zeznanie złożone w śledztwie?

- zapytał sędzia.

- Tak.

Tu z pytaniem wkroczył pan Langedon, prokurator, którego we Francji tytułuje się „generalnym adwokatem”.

„Jakie to śmieszne - pomyślał doktor Charmier. - Przecież jest on ostatnią osobą, której by zależało na uniewinnieniu podsądnych.”

Pan prokurator, mężczyzna okazałego wzrostu i efektownej postury, zapytał patrząc przenikliwie na oskarżoną:

- Proszę wyjaśnić sądowi te ostatnie słowa: „Bałam się, że jeśli córka nie zażyje proszka, będzie czuwała i, może zejść na dół”. Chodziło, jak wiemy, nie o proszek nasenny, lecz o trujący, a więc jednym z motywów popełnionego przez panią morderstwa najwidoczniej było zażegnanie niebezpieczeństwa, żeby córka nie wykryła w domu obecności pana Rouvela, kochanka pani?

- Nie wiem. Być może, tak to wyglądało, jak pan mówi.

- Kiedy pani podjęła decyzję zabicia córki?

- Mówiłam już: po naszej kłótni. Znienawidziłam ją.

- Ale poza warunkiem emocjonalnym istniał też motyw wyrozumowany, czyli względy bezpieczeństwa, żeby nie złapano pani na gorącym uczynku zdrady małżeńskiej.

Oskarżona dotknęła dłońmi swoich skroni. Był to gest zmęczenia i rezygnacji.

- Tak - powiedziała. - Prawdopodobnie tak właśnie było.

\*\*\*

W drugim dniu procesu przesłuchiowano rzeczoznawców i świadków.

Profesor psychiatrii, pan Boit, który badał oskarżoną w areszcie śledczym, orzekł:

- To kobieta inteligentna, w pełni władz umysłowych, obdarzona rzadką precyzją myślenia i trzeźwym rozeznaniem sytuacji. Trudno wyprowadzić ją z równowagi, podczas obserwacji ani razu nie straciła kontroli nad sobą. Mimo tych pozytywnych cech, oskarżonej w pewnej mierze brakuje zróżnicowanej oceny zdarzeń i cudzych o nich opinii. W jej psychice daje się też zauważyć kilka znamion osobowości paranoidalnej, jak: wygórowana duma, egoizm, upór,

skupianie uwagi niemal wyłącznie na własnej osobie.

- Czy w chwili popełnienia zbrodni oskarżona była całkowicie świadoma swego czynu? - zapytał przewodniczący.

- Bezsprzecznie. Chociaż działała w silnym podnieceniu emocjonalnym, to jednak stanu tego nie można określić jako zaburzenia psychicznego czy uczuciowego. Motorem jej działania była obrażona ambicja, chęć zemsty oraz dążenie do usunięcia rywalki. Po scysji z córką straciła pozornie panowanie nad sobą; mówię „pozornie”, ponieważ w rzeczywistości dobrowolnie dała upust swojemu wzburzeniu. Jednakże w ciągu następnej godziny miała możliwość ochłonąć i spojrzeć obiektywniej na zajście; nie uczyniła tego, wręcz przeciwnie - z całą determinacją powzięła decyzję zabicia córki i wykonała to skrupulatnie, ani na chwilę nie tracąc poczucia rzeczywistości.

- Więc, według ekspertyzy psychiatrycznej, oskarżona ponosi pełną odpowiedzialność za swój zbrodniczy czyn?

- Tak, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Drugi psychiatra, doktor Tellain, potwierdził opinię kolegi dodając ze swej strony, że oskarżona ma wyraźną skazę narcyzmu, wskutek czego interes własny utożsamia ze względami wyższej racji.

Klaudia Charmier wysłuchiwała tych miarodajnych opinii z twarzą nieprzeniknioną jak maska. Tylko przy wzmiance o „skazie narcyzmu” usta jej drgnęły, jakby chciała się uśmiechnąć, ale natychmiast znieruchomiały ponownie.

Potem przesłuchano świadków.

Przed barierką świadków stanął prezes koncernu, w którym pani Charmier była dyrektorem działu planowania. Ten pełen godności pan złożył ukłon najpierw przewodniczącemu sądu, potem zaś oskarżonej, po czym wygłosił hymn pochwalny na cześć jej wyjątkowej inteligencji- wyjątkowych talentów i ogromnej wiedzy.

- Pani Charmier jest człowiekiem wybitnym - zakończył. - W ciągu długich lat pracy w naszym koncernie ani razu nie zawiodła zaufania zarządu. A przecież obowiązki przez nią wykonywane wymagały stałej mobilizacji sił, zdolności i

wiedzy.

- Jaki był stosunek oskarżonej do kolegów? - zapytał pan Gloriot, obrońca.

- Jak najbardziej życzliwy i taktowny. Ze względu na szybkie awansowanie mogła wzbudzać zawiść u pracowników mniej uzdolnionych; nigdy jednak nie odbiło się to na jej stosunkach z kolegami, właśnie dzięki jej poczuciu taktu i umiaru.

- Czy była przez kolegów lubiana?

- Owszem, ale przede wszystkim ceniona i szanowana.

- Czy była zrównoważona? - zapytał prokurator.

- Była wzorem opanowania i równowagi - odrzekł prezes koncernu.

- A jak wyglądała sprawa z sekretarką, którą oskarżona zwolniła z dnia na dzień, bez uprzedzenia?

- Sekretarka owa, panna Gisel, dopuściła się karygodnego zaniedbania interesów klienta, na którym nam bardzo zależy. Decyzję pani Charmier całkowicie zaaprobował zarząd. Zresztą sekretarka nie poniosła strat materialnych, wypłacono jej pensję za trzy miesiące naprzód.

Po nim składała zeznania Maria Ferraro. Była błada, przestraszona i mówiła po francusku gorzej niż zwykle. Wstępując na podwyższenie ogrodzone barierką potknęła się o górny stopień i z przerażeniem spojrzała na sędziego, który znalazł się tuż przed nią.

- Jak długo pani pracowała u państwa Charmierów? - zapytał przewodniczący sądu.

- Trzy lata, proszę pana.

- Jak pracodawczym traktowała panią?

- Bardzo dobrze, proszę pana. Oboje państwo to dobrzy ludzie, miałam dużą pensję i dużo prezentów. Pan doktor dbał o naszego synka, leczył go i dawał mu różne leki, sam robił mu zastrzyki.

- Czy nie było między panią a panią Charmier jakichś nieporozumień?

- Nie, proszę pana. Tylko...

- Co tylko?

- Kiedy powiedziałam, że odejdę, bo w domu straszy, pani

obrazila się i kazala mi od jutra nie przychodzic.

Glos zabral prokurator:

- Proszę świadka opowiedzieć, jaki był stosunek oskarżonej do córki i do syna.

- Pani bardzo kocha Daniela, to znaczy syna.

- Czy kochała również córkę?

- Matka zawsze kocha swoje dziecko, nawet kiedy tego nie widać.

- W takim razie dlaczego pani Charmier zabiła swoją córkę Madlenę? Jak pani myśl i?

Maria zmieszala się, zaczerwienila.

- Nie wiem - powiedziala bezradnie. - Moze wcale jej nie zabila?

- Kiedy sama się do tego przyznala.

Maria tylko pokiwalala glowa ze smutkiem.

- Co pani wie o panu Rouvelu? - ciagnal oskarzyciel.

- Ze to byl narzeczony panny Madleny.

- Nic wiecej pani o nim nie wie?

- Nie wiem. -

Do swiadka zwrócił się adwokat:

- Jaki byl stosunek zmarlej do jej matki?

- Proszę pana, panienka nie żyje, nie wolno mówić o niej źle.

- Przed sądem należy mówić prawdę.

- To powiem. Panienka nie lubila matki. Nieraz odezwała się do niej tak hardo, że ja bym... nie wiem, co bym zrobila mojemu dziecku za takie grubianstwo.

Po kilku jeszcze pytaniach Marię zwolniono. Schodząc z podwyższenia, obejrzała się na swoją byłą pracodawczy- nie siedzącą na ławie oskarżonych i przeżegnała się.

Mer Ville d'Avray scharakteryzował obywatelskie zasługi pani Charmier, jej zaangażowanie w sprawy miasta tudzież jej hojność, gdy chodziło o inicjatywy społeczne.

Prokurator zapytał:

- Jak świadek tłumaczy sobie zbrodniczy czyn popełniony przez tę zacną obywatelkę Ville d'Avray?

Mer rozłożył ręce:

- Wielkie namiętności prowadzą niekiedy do zbrodni nawet

ludzi wybitnych i prawych. Zarówno religia, jak humanizm świecki nakazują nam wyrozumiałość dla ułomności i nieszczęść ludzkich.

Zeznawało jeszcze kilku dobrych znajomych i przyjaciół oskarżonej, kreśląc nader pochlebny jej portret. Po nich miejsce świadka zajął Miguel Ferraro. Jego dobroduszną zazwyczaj twarz była posepna, ani razu nie spojrzął w stronę oskarżonej.

Kierowany przez pytania obrońcy, Miguel opisał układ domowy w willi Charmierów, wykonywaną przez niego pracę w tym domu, hojność gospodarzy i troskę o sprawy bytowe rodziny Ferraro.

- Czy wzajemne stosunki między członkami rodziny Charmierów układały się dobrze? - zapytał mecenas.

- Nie - stanowczo stwierdził Ferraro. - To nie było w porządku.

- Co mianowicie? - podchwycił prokurator. - Proszę to określić dokładniej.

- Pani doktorowa nie powinna była tak odnosić się do męża i do córki.

- Jak mianowicie oskarżona odnosiła się do córki?

- Jak macocha.

- Krzywdziła ją?

- Krzywdzić może nie krzywdziła, ale była wobec niej taka, jakby to wcale nie ona ją urodziła.

- W czym to się wyrażało?

- Wystarczyło posłuchać, jak do niej mówiła, jak na nią patrzyła. Panna Madlena działała matce na nerwy.

- Czy było tak zawsze w ciągu trzech lat, kiedy pan pracował w tym domu?

Miguel zastanowił się.

- Nie, chyba nie zawsze. W ostatnim roku było z tym coraz gorzej. Można by pomyśleć, że córka jej zawadza.

- W. czym?

- Bo ja wiem? Pani doktorowa jest piękna, nikt nie powie, ale nie zamieniłbym na nią panny Madleny, gdybym miał wybierać.



Po sali przeleciały śmieszki. Przewodniczący poprosił o spokój.

Mecenas powiedział, że więcej pytań nie ma, natomiast prokurator zainteresował się świadkiem:

- Proszę wyjaśnić bliżej, co pan miał na myśli.

- To chyba każdy mężczyzna zrozumie: pani doktorowa jest piękna, ale nie taka już młoda, a panna Madlena była i młoda, i śliczna, i miła... Za taką dziewczynę nie szkoda życiem przepłacić!

- Co pan wie o stosunkach między panną Madleną a panem Rouvelem?

- Kochała się w nim bez opamiętania. Nie był jej wart. Najpierw też kochał się w niej, potem, widać, znalazł sobie, inną i dla panienki całkiem się odmienił. Gówniarz! Przepraszam za wyrażenie.

- Kiedy pan Rouvel tak się odmienił?

- Bodaj gdzieś na początku zeszłej zimy. Bardzo cierpiała.

- Czy świadek wie, dla kogo pan Rouvel porzucił pannę Madlenę?

- Nie wiem. Pewnie dla jakiejś lafiryndy.

Tym razem sala wybuchnęła śmiechem. Przewodniczący pętrząsnął dzwoneczkiem i stanowczo zażądał ciszy.

- Pan, widać, nie czytał ostatnio gazet? - zapytał oskarżyciel.

- Ja w ogóle, proszę pana, gazet nie czytam, po francusku nie bardzo umiem, a hiszpańskich gazet tu nie widzę.

- Na początku świadek wspomniał, że oskarżona miała niewłaściwy stosunek do męża. W czym to się wyrażało?

- Proszę pana, żona może sobie być dyrektorem albo i ministrem, co komu do tego, ale w domu panem jest mąż. To znaczy, tak musi być, bo inaczej ludzie przestaną się żenić. A u państwa doktorostwa tak nie było. Było całkiem inaczej! Panem i Bogiem była właśnie pani dyrektor, a nasz doktor był na szarym końcu, taki sobie mąż dla fasonu, przepraszam za wyrażenie.

- Czy pan chce powiedzieć, że nie był faktycznie mężem oskarżonej, że miała ona kogoś innego?

- Tego nie powiem, bo nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Jeżeli miała, niech pan doktor o to się martwi. Ale wiem, bo sam widziałem, że nie okazywała mężowi szacunku. Tyle powiem, bo aż patrzeć było przykro.

- Niech pan powie jeszcze: dlaczego, jego zdaniem, pani Charmier zabiła swoją córkę?

- Z zawiści. Że młoda i jeszcze długo będzie młoda. Od początku wiedziałem, że to ona. Dużo ma w sobie złości, chociaż ludzie tego nie widzą.

- Czy zrobiła kiedyś krzywdę panu osobiście?

- Mnie? Nigdy. Tylko tę jedną, że zabiła pannę Madlenę. Tego jej nigdy nie przebaczę.

- Osobiste uczucia świadka nie mają tu znaczenia! - zawołał obrońca.

- Więcej pytań nie mam - powiedział oskarżyciel.

Zeznania Miguela Ferraro zrobiły bardzo niekorzystne dla podsądnej wrażenie. Przesunęło się przez salę jeszcze kilku świadków, po czym przed sądem stanął Maks Rouvel. Zapadła głęboka cisza.

Był, jak zwykle, w dzinsach i ciemnym półgolfie. Bardzo schudł, cerę miał ziemistą, oczy bez blasku. Złożywszy ukłon sądowi, odwrócił się w stronę ławy oskarżonych i powolnym ruchem schylił głowę, jakby na przekór obecnym. Na krótką chwilę oczy byłych kochanków się spotkały, potem on odwrócił się twarzą do sędziego, ona spuściła wzrok, żeby go już do końca tych zeznań nie podnieść.

Padły pytania uściślające fakty znane: stosunki Maksa z Madleną i późniejszy jego romans z jej matką.

Sędzia zapytał:

- Jak powstał pomysł tajnego spotkania pana z oskarżoną w willi pod nieobecność jej męża?

- Pani Charmier bardzo tego pragnęła, niezupełnie mogłem zrozumieć, dlaczego. Wysuwałem zastrzeżenia natury moralnej, bo krępowała mnie konieczność zakradania się nocą do domu człowieka, któremu odebrałem żonę. Ponadto trudno mi było pogodzić się z myślą, że spędzimy tę noc pod jednym dachem z Madleną. Nie przestałem jej na swój sposób kochać, oczywiście zupełnie inaczej niż panią Charmier, bo

platonicznie, duchowo; niemniej nadal była mi droga.

- Jednakże pan zgodził się aa to spotkanie?

- Tak, ustąpiłem. Nie wiem, czego bym mógł wtedy pani Charmier odmówić.

- Proszę opisać, w jaki sposób dostał się pan do miejsca spotkania.

Maks skupił się, żeby przypomnieć sobie szczegóły.

- Przyjechałem ostatnim pociągiem, wyszedłem z wagonu o pół do dwunastej. Szedłem powolnym krokiem, pozostawało mi do spotkania jeszcze pół godziny. Miasto opustoszało, w Ville d'Avray ludzie wcześniej kładą się spać. Od Wersalskiej skręciłem do stawu, żeby wejść przez ogród koło domku pani Wandy Charmier.

- Pan miał klucz od dolnej furtki?

- Pani Charmier dała mi klucz zapasowy. Kiedy otwierałem furtkę, podbiegł pies i stanął w pozycji wyczekującej. Zawołałem do niego „Sokrates”, dałem mu czekoladę, pogłaskałem. Zna mnie dobrze i usunął się z drogi. Zazwyczaj ogród bywa oświetlony leżącymi na ziemi reflektorami rzucającymi światło na cały teren, ale tym razem pani Charmier niedługo przed moim przyjściem wyłączyła reflektory. Niebo okrywały gęste chmury, było bardzo ciemno i wietrznie.

- Skierował się pan wprost do gmachu na górze?

- Nie, zostawało jeszcze osiem minut do północy. Z pomocą kieszonkowej latarki dotarłem do domku starszej pani Charmier, która tę noc, jak wiedziałem, spędzała w Paryżu. Stałem pod dachem na ganku, mur osłaniał mnie trochę przed wiatrem. Potem ruszyłem przez ogród do głównego gmachu.

- Taras znajduje się na wysokości około dwóch i pół metra od ziemi. Jak pan się tam dostał?

- Przed północą pani Charmier spuściła do ogrodu linę wspinaczkową umocowaną na poręczy.

- Niemal według instrukcji Szekspira - ironicznie odezwał się prokurator. - Zapewne czuł się pan jak Romeo wdrapujący się do sypialni Julii.

Sędzia zwrócił mu uwagę na niestosowność żartów podczas procedury sądowej i poprosił Rouvela o dalszy ciąg zeznań.

- Nie czułem się jak Romeo, raczej jak złodziejaszek - podjął Maks. - I nie było to uczucie przyjemne. Kiedy znalazłem się w pokoju gościnnym, Klaudia czekała już przy drzwiach balkonowych. Odniosłem wrażenie, że i ona jest jakaś nieswoja.

- Nic dziwnego - wtrącił znów oskarżyciel. - Była właśnie po zaaplikowaniu córce trucizny. Jak by pan określił: w jakim stanie ducha była w owej chwili oskarżona?

- Nie umiem tego określić. Przecież nie znałem sytuacji, więc jej dziwny stan złożyłem na karb ryzyka, któreśmy oboje podjęli spotykając się tej nocy.

- Kiedy pan opuścił dom państwa Charmier? - zapytał sędzia, kładąc kres obcesowym pytaniom prokuratora.

- Koło godziny szóstej rano.

- Również przez taras?

- Nie, wy-puściła mnie na ulicę. Zauważyłem, że w oknie Madleny paliło się światło, doznałem przykrego szoku. To ostatnie wrażenie przesłoniło mi wszystkie inne, a wagę jego zrozumiałem dopiero, gdy dowiedziałem się, że... że ona już wtedy nie żyła.

Do Rouvela zwrócił się adwokat:

- Proszę powiedzieć: jakie uczucie pan żywił do Madleny Charmier?

- Kochałem ją. Madlena była jak kielkująca roślina, która ma wydać piękny kwiat. Pełna obietnic serca, intelektu i zmysłów, była zapowiedzią czegoś niezmiernie rzadkiego, jak prawdziwy, samorodny talent. Nie miała w sobie nic z-szablonu, naśladownictwa, pozy. Kochałem ją, teraz to rozumiem, jakby na wyrost - to znaczy, w oczekiwaniu na jej, może jeszcze dalekie, jutro.

- A na dziś kochał pan jej matkę? - znów wtrącił prokurator.

Maks jakby nie dosłyszał sarkazmu. Patrzył na Klaudię, która siedziała przesłoniwszy twarz dłonią.

- Kochałem też panią Charmier - powiedział z prostotą. - Inaczej niż Madlenę, ale na pewno mocniej, bardziej żywiłowo, nie podejmując walki ze sobą, bo wiedziałem, że

byłaby beznadziejna. To, co czułem do niej, można określić jednym tylko słowem: amok. Nigdy nic podobnego nie przeżyłem i na pewno już nie przeżyję.

- Jaki jest obecnie pański stosunek do oskarżonej? - zapytał sędzia.

- Jestem i pozostanę jej wdzięczny. Nie pojmuję jej czynu i pewnie nie będzie mi dane go pojąć. Przeraza mnie jej cierpienie i jej przyszły los.

Tym razem nawet oskarżyciel się nie odezwał.

- Świadek jest wolny - powiedział przewodniczący, nie bez trudu zachowując ton urzędowy.

Wśród ogólnej ciszy Maks Rouvel opuścił salę sądową.

\*\*\*

Rozpoczął się trzeci, ostatni dzień procesu. Przemówienia oskarżyciela i obrońcy cała prasa cytowała potem z najwyższym uznaniem.

Pan Langedon zaczął od przyznania podsądnej talentów i zalet odnotowanych przez ogół świadków. Ale właśnie dlatego, dodał, nie może ona liczyć na pobłażliwość, jaką organa sprawiedliwości wykazują wobec osób niepełnowartościowych, nie uświadamiających sobie ciężaru własnej odpowiedzialności za popełnioną zbrodnię.

- O nie! - powiedział podnosząc dłoń, żeby odeprzeć domniemane zaprzeczenia lub wątpliwości słuchaczy. - Zbyt cenimy intelekt oskarżonej, żeby zrównywać ją z takimi osobnikami. Sądzę, że przysięgli ze mną się zgodzą.

Był to człowiek jeszcze niestary, o spojrzeniu ostrym i przenikliwym, które łagodził uśmiech pobłażania, zjawiający się na jego ustach wtedy właśnie, gdy wysuwał argumenty najbardziej miażdżące. Wymowę miał potoczystą, nieco aktorską, baryton ładnie wibrujący, z bogatą skalą intonacyjną.

- Proszę wysokiego sądu! - mówił umiejętnie rozmieszczając akcenty rytmiczne. - Słyszeliśmy wszyscy orzeczenie, że oskarżona działała z pełnym rozeznanieniem sytuacji, a więc ponosi pełną odpowiedzialność za swój czyn. Zabójstwo córki, tej istoty, której blisko osiemnaście lat temu darowała ona

życie - zaiste, mało jest zbrodni równie potwornych!

Tu westchnął, markując cesurę.

- Miłość, a zwłaszcza namiętność nieraz popycha ludzi do krwawych czynów, wiemy to z historii i z literatury. Miłość jako motyw zbrodni jest, rzecz oczywista, w naszym odczuciu czymś mniej odpychającym niż żądza bogactwa lub władzy. Owszem, w danym wypadku nie ma mowy o tych najniższych pobudkach. Ale mord pozostaje mordem: czynem nie do naprawienia, tylko do odpokutowania.

W dalszym ciągu wywodu mówił:

- Powiedzmy wprost: miłość miłości nierówna. Oskarżona, wedle ekspertyzy psychiatrycznej dotknięta skazą narcyzmu, wyolbrzymiała w swej ocenie wszystko, co składało się na jej osobowość: dumę kobiecą, ambicje zawodowe, wołę przywłaszczenia sobie kochanka. Miłość pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, Madleną i Maksem, to uczucie zaledwie kielkujące i niemal odcieleśnione, nie stanowiło realnej groźby dla pani Charmier, którą ten młody mężczyzna kochał namiętnie, nie uznając hamulców i bez krzty krytycyzmu. Aliści dumnej pani było tego za mało, zapragnęła fizycznego unicestwienia córki, żeby władać kochankiem niepodzielnie...

Przedstawiwszy dalej przebieg zbrodniczego czynu, mistrz Langedon podkreślił zimną precyzję, z jaką został on zaplanowany i wykonany.

- Proszę zwrócić uwagę na drobiazgową dokładność, z jaką oskarżona opisała tu, w tej sali, przyrządzenie przez nią trucizny! Każdy szczegół dziś jeszcze wydaje się jej ważny, nie pominęła nawet pałeczki kosmetycznej, którą upychała morfinę w przyciasnej kapsułce, żeby zmieścić w całości dawkę śmiertelną. Rzekłby ktoś, że chodziło właśnie o zabieg kosmetyczny lub o przyrządzenie specjału gastronomicznego! Tak oto mówi matka po zabiciu córki...

Ujawniwszy całą monstrualność tego szczegółu, prokurator wyprowadził go z psychicznych wynaturzeń oskarżonej.

- Wyolbrzymienie prowadzi do deformacji. Wyolbrzymiona duma staje się pychą, ambicja próżnością, namiętność - pasją wyłącznego posiadania, która pociąga do zbrodni. W toczącej

się sprawie mamy przykład wszystkich tych wyolbrzymień.

Przed zakończeniem mistrz zrobił pauzę, zanim powiedział, tonem zrównoważonym i powściągliwym:

- Zbrodniarz musi odpokutować swą winę, to jedna z podwalin wymiaru sprawiedliwości. Ale wyznaczając karę należy uwzględnić wszystkie okoliczności. Oskarżona jest człowiekiem nieprzeciętnej wartości, czego dowiodła jako pożyteczny członek społeczności naszej na polu zawodowym i społecznym. O tym nie wolno nam zapominać. Po odbyciu kary może powrócić do życia czynnego z pożytkiem dla swoich współobywateli. Dlatego nie domagam się dla niej kary najwyższej, chociaż i do tego upoważnia mnie kodeks. Domagam się dla Klaudii Charmier tylko kary więzienia w granicach od piętnastu do dwudziestu lat, według uznania przysięgłych.

Sala z aprobatą przyjęła umiarkowaną postawę prokuratora. Patrząc na oskarżoną, której twarz mimowolnie wyraziła rozluźnienie napięcia, każdy chyba z ulgą pomyślał: ta piękna głowa nie zostanie ścięta.

Czekano na mowę adwokata, nie bardzo wierząc, że ktokolwiek potrafi prześcignąć mistrza Langedona w elokwencji.

Mecenas Gloriot wstał, poprawił okulary i zaczął cichym, nieco zachrypniętym głosem:

- Wysoki sędzie! Mój szanowny kolega rozpoczął swój znakomity wywód od wzmianki o nieprzeciętnych zaletach umysłowych Klaudii Charmier. Zalety owe są tak oczywiste i tak wszechstronnie zostały tu przedstawione przez świadków, że pozwolę sobie, przynajmniej na razie, pozostawić je na uboczu.

Mecenas Gloriot nie mógł poszczycić się prezencją prokuratora. Był to człowiek wieku podeszłego, łysawy i nieco przygarbiony, toga leżała na nim niezgrabnie, głos miał monotony, dykcję za to doskonałą, tak że każde słowo docierało do najdalszych zakątków sali. Z chwilą gdy rozległ się jego matowy głos, cisza jakby pogłębiła się jeszcze, wydawało się, że obecni usiłują nawet nie oddychać, żeby sobie nie

przeszkadzać w słuchaniu.

Po naszkicowaniu tła i przebiegu zbrodni adwokat zatrzymał się szczegółowiej na zdarzeniach wieczora piątego stycznia 1974 roku.

- Proszę zwrócić uwagę na kilka momentów, moim zdaniem, kluczowych. Koło ósmej pani Charmier posyła do chorej córki tubinał - jak sama tłumaczy, po to, żeby Madlena mocno przespała tę- noc, którą jej matka ma spędzić z kochankiem zaledwie o piętro niżej.

Mecenas uważnie spojrział na salę.

- Przypominam - powiedział z naciskiem - że w owej chwili kapsułka zawierała istotnie środek nasenny. Co więcej: aż do nagłej sprzeczki, która w jakieś półtorej godziny później wybuchła między matką i córką, oskarżona nie miała zamiaru otrucia Madleny. Inaczej mówiąc, popełniony przez nią mord nie miał charakteru zbrodni zaplanowanej; na tę okoliczność proszę zwrócić szczególną uwagę. Była to zbrodnia za improwizowana, daleka od zimnej precyzji, jaką imputuje oskarżonej mój szanowny kolega.

Postaramy się wczuć w stan oskarżonej od samego rana owego dnia, który miał zawazyć na losie jej córki, jej własnym i całej rodziny. Jest w ciągłym napięciu ze względu na umówione z kochankiem spotkanie, w ciągłej obawie, że coś stanie temu na przeszkodzie albo że coś ujawni ich tajemnicę. Niepokój jej wzrasta z godziny na godzinę. Mimo zewnętrznego chłodu jest roztrzęsiona, z trudem skupia uwagę na bieżących sprawach domowych. To nie jest opanowana pani dyrektor, zrównoważona pani domu czy znana całemu miastu dostojna pani doktorowa. To kobieta miotana namiętnością i lękiem, ledwo zdolna do zachowania pozorów.

Spojrzał uważniej na salę i ciągnął:

- Słyszeliśmy, jak oskarżyciel w swej mowie nawiązał do drobiazgowej dokładności, z jaką Klaudia Charmier tu, wobec nas wszystkich, opisywała przyrządzenie przez nią trucizny. Szanowny kolega dopatrywał się w tym dowodu, że działała ona z zimną premedytacją, niemal jak wypróbowany truciciel. Ja natomiast widzę w tym istotnie przedziwnym opisie wyraźny



przejaw tak zwanego natręctwa myślowego, występującego u osób wrażliwych, kiedy pewne zdarzenie okalecza ich wyobraźnię i tkwi w ich pamięci jak nieprzemijająca, natrętna wizja. Te dziesięć minut, kiedy przyrządzała ona truciznę dla swojej córki, pozostanie w jej mózgu zawsze krwawiącą raną.

Po sali przeleciał poszum westchnień. Adwokat podjął:

- Może większe jeszcze znaczenie przywiązuje do innego fragmentu zeznań oskarżonej. Na pytanie pana przewodniczącego, czy nie obawiała się oskarżenia jej o morderstwo, odpowiedziała: „W chwili przygotowania trucizny nie myślałam o tym”. Ona, ta zazwyczaj trzeźwo rozumująca osoba, nie pomyślała o rzeczy, którą przede wszystkim bierze pod uwagę każdy zbrodniarz planujący swój czyn!

O czymże to świadczy, proszę wysokiego sądu? Jedynie i niezaprzeczalnie o tym, że oskarżona działała w stanie najwyższego zakłócenia równowagi, działała pod naciskiem wzburzenia, które odebrało jej jasność umysłu.

Zlustrował spojrzeniem salę, która zamarła w milczeniu.

- I wreszcie wypada mi przypomnieć o rzeczy, która uszła uwagi pana prokuratora: Klaudia Charmier dobrowolnie zgłosiła się na policję i wyznała swoją winę. Przez nikogo nie była do tego zmuszana czy zachęcana. Co najmniej jeszcze cztery osoby były podejrzane, mające i motywy, i możliwości popełnienia tej zbrodni. Wydaje mi się, że przez to pójście za nakazem sumienia Klaudia Charmier udowodniła nie tylko wielkie zalety swego umysłu, lecz także wielki hart charakteru. Chylę czoła przed jej odwagą.

Na zakończenie obrońca, nie sugerując konkretnej treści wyroku, powiedział:

- Przysięgli mają przed sobą istotę, która w najgorszej dla siebie chwili odebrała życie córce, łamiąc własne.

O tym, jakie należy się jej odkupienie, zadecyduje – tego jestem pewien – zarówno wasze poczucie sprawiedliwości, jak też poczucie człowieczeństwa.

Gdy mecenas usiadł, panowała nadal pełna skupienia cisza.

Przewodniczący udzielił głosu oskarżonej dla wypowiedzenia ostatniego słowa. Klaudia Charmier wstała. Była

wyprostowana, podniosła głowę i ukazała sali twarz bardzo bladą i bardzo spokojną.

- Wysoki sędzie - przemówiła głosem matowym, ale wyraźnym. - Niewiele mam do powiedzenia. Słuchając mowy pana prokuratora, myślałam o tym, jak człowiek mało o sobie wie. Słuchając mowy mego obrońcy, myślałam, że nie zasługuję na tyle współczucia. Skoro popełniłam zbrodnię, pragnę ją odpokutować. Każdą wymierzoną mi karę uznam za sprawiedliwą.

Przerwa w obradach trwała aż trzy godziny, widocznie wśród przysięgłych nie było jednomyślności. Kiedy sala znów się wypełniła, przewodniczący ogłosił wyrok: dziesięć lat więzienia bez prawa kaucji i zawieszenia.

Wśród martwej ciszy rozległ się samotny szloch kobiecy. Nie z ławy oskarżonych: to płakała, przyciskając do ust chusteczkę, Maria Ferraro.

## **Paryż-Wenecja-Paryż**

Edward Charmier siedział przy oknie samolotu i patrzył w szybę, chociaż za nią była tylko jednostajna czerń nocy. Wewnątrz odrzutowca było prawie pusto, tylko parę foteli zajętych: w listopadzie nikt nie udaje się do Wenecji prócz ludzi czyniących to z obowiązku.

Decyzja tego wyjazdu zapadła błyskawicznie i bez żadnego rozumnego powodu.

Po procesie Klaudii doktor usiłował stworzyć sobie ustabilizowany tryb życia, który by mógł zaabsorbować jego czas i uwagę. To mu się jakoś nie udawało. Więcej niż osiem godzin nie mógł spędzać w swoim gabinecie rentgenologicznym, bo nie starczyłoby na to roboty; posiłki w domu i nocne spanie (lub niespanie) składały się na drugie osiem godzin. A co robić z resztą? Dziura, której nie miał czym wypełnić.

Próbował czytać - i nie mógł. Nowe powieści drażniły go nieznośnie, dawne wydawały się płaskie, nieciekawe, wręcz

śmieszne. Poezji nie lubił, podobnie jak i poważnej muzyki, przyjemność sprawiały mu tylko piosenki, tych zaś nie mógł słuchać, ponieważ zawsze kojarzyły mu się z jakimś niewczesnym wspomnieniem. Telewizja? Jeżeli Daniel upierał się, że chce obejrzeć jakiś program, ojciec zamykał się w sypialni lub wychodził na spacer. Ani telewizji, ani radia. Tylko gazety, w niedużych dawkach.

Daniel od swojego wypadku i aresztowania matki zrobił się mniej gadatliwy. Został w willi tylko z ojcem; Wanda po urodzeniu się najmłodszej wnuczki niemal stale przebywała u Filipa, służąca Anna wieczorem wracała do siebie. To niechciane sam na sam ciążyło zarówno synowi, jak ojcu, było podobne do przymusowego odosobnienia za karę, kiedy ludzie nie mają ochoty o czymkolwiek ze sobą rozmawiać. Chłopak musiał poskromić swoją potrzebę paplaniny, popisywania się przed kimś i uznać niepisany nakaz milczenia, który zapanował w tym opustoszałym domu.

Dla Edwarda najgorsze były noce. Nie te bezsenne, kiedy rozwiązywał łamigłówki albo studiował relacje o najnowszych udoskonaleniach w rentgenologii. Po takich nocach pozostawał tylko ból głowy i ociążałość świadomości, do tego się przyzwyczaił. Ale noce, kiedy wyczerpany fizycznie usypiał ciężkim snem i nachodziły go niczym nie kontrolowane widziadła... Takich nocy się bał!

Nawet jeżeli nic mu się nie śniło, budził się z przerażeniem, uświadamiając sobie z bezlitosną ostrością, niczym po raz pierwszy, że. Madlena nie żyje. I że Klaudia jest w więzieniu.

Mimo to nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać. Czuł znużenie na samą myśl o podróży, wydawała mu się czymś równie bezsensownym, jak pozostanie na miejscu, nawet bardziej bezsensownym, bo bardziej kłopotliwym, wymagającym wyboru i decyzji. Ale pewnego dnia zatelefonował do niego mecenas Gloriot.

- Panie doktorze - powiedział. - Zbliża się końcowy termin złożenia do Sądu Najwyższego apelacji o ponowne rozpatrzenie sprawy pańskiej żony. Pani doktorowa unika tego tematu, pan zaś nie udzielił mi żadnych wskazówek.

- Czy można złożyć tę apelację bez jej zgody? - zapytał Charmier.

- Ja mam prawo uczynić to we własnym imieniu.

- W takim razie proszę to zrobić. Jeszcze dziś przekażę na pańskie konto honorarium dodatkowe.

Ta błyskawiczna decyzja pociągnęła za sobą następną, wyjazdu do Włoch, chociaż doktor nie umiałby sobie wytłumaczyć, jaki był między nimi związek. Wszystkie sprawy związane z wyjazdem załatwił w tempie rekordowym, z rzadką u niego operatywnością. Rentgenolog z Ville d'Avray zgodził się zastępować kolegę przez tydzień. Swojej sekretarce doktor polecił dyżurowanie w gabinecie codziennie z rana i po obiedzie. Anna miała nocować w willi, zaś Wanda przyrzekła, że będzie zaglądać do Daniela.

Przed świtem w niedzielę dziesiątego listopada Edward Charmier wysiadł na lotnisku w Lido z niedużą walizką w ręku i z książeczką czeków podróżnych w kieszeni. Wenecja leżała po drugiej stronie laguny.

Lotnisko rozświetlały reflektory, naokoło był gęsty mrok. Grupkę pasażerów zaprowadzono do rampy nad brzeżnej, skąd nieduży statek przewiózł ich na drugą stronę laguny. Z chwilą kiedy wyruszył, z umieszczonego na dziobie głośnika polały się rzewne melodie zeszlorocznych przebojów włoskich. Kuląc się z zimna, Edward Charmier stał koło kabiny sterowej i wpatrywał się w dalekie światła śpiącego miasta.

Statek portowy wysadził pasażerów na przystanku Alitalia w kanale Di San Marco. Charmier przeszedł do następnego przystanku, skąd tramwaj wodny, zwany tu vaporetto, miał zabrać go do mostu Accademia. W tej stronie mieścił się pensjonat, w którym zarezerwował dla siebie pokój.

O tej porze vaporetta kursowały rzadko, doktor przygotował się na długie czekanie i zapalił papierosa. Czarna woda kanału jakby zastygła w bezruchu, a przecież słyhać było, jak z cichym szemraniem obija się o pale. Powietrze przed końcem nocy stawało się bardzo ostre i mroźne; pożałował, że wyjechał z Paryża w lekkim płaszczu.

Wreszcie zza zakrętu kanału ukazały się żółte światła,

vaporetto zwolniło i przystanęło przy rampie. Charmier wbiegł po schodkach, zapłacił za siebie i za walizkę, po czym schronił się pod dachem w nadziei, że tam będzie trochę cieplej.

Tramwaj ruszył dalej i wpłynął w ujście Canal Grande, który jest najdłuższym, ale nie najszerszym z trzech głównych weneckich kanałów. Doktor wysiadł na trzecim przystanku. Niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać, mrok na ziemi błękitniał pozwalając dojrzeć drogę między rzadkimi latarniami. Ku jego zdziwieniu, pamiętał jeszcze tę drogę.

W pensjonacie na nadbrzeżu Zattere blisko dwadzieścia lat temu mieszkał jego przyjaciel Anglik, którego odwiedzał. Zazdrościł mu wtedy tak wygodnego lokum, sam bowiem mieszkał o wiele skromniej, stosownie do swoich niewielkich zasobów finansowych.

Zadzwoił do bramy raz i drugi. Po dłuższej chwili otworzył mu zaspany portier, stary człowiek, z siwym zarostem na wymiętej twarzy. „Czyżby ten sam?” pomyślał Charmier, ale nie mógł go poznać.

Portier bardzo grzecznie przywitał wczesnego gościa i zawiózł go małą winda na trzecie piętro.

- Meldunek załatwimy później - powiedział postawiwszy walizkę w pokoju przy drzwiach. - Teraz nie ma nikogo w recepcji. Pan pewnie się jeszcze położy, żeby odpocząć? Dobrej nocy!

Zegar na pobliskiej wieży kościelnej wydzwoił godzinę szóstą. Doktor naprędce umył się w łazience, włożył piżamę i z lubością wyciągnął się pod ciepłym kocem. Spał już, kiedy zegar wybił pół do siódmej.

\*\*\*

Obudził się około godziny dziesiątej i rozejrzał po pokoju: był duży, widny, umeblowany z miłą prostotą, każdy sprzęt wabił oko ciemnym połyskiem starego drzewa. Przez wysokie sklezione okna zobaczył błękitne niebo i wieżyczkę zalaną słońcem. Skoczył na równe nogi, podbiegł do parapetu.

W oddali, za szeroką taflą wody widać było wyspę Giudecca. Z drugiego okna można było spojrzeć na wąską uliczkę wodną

płynącą wzdłuż gmachu. Młody mężczyzna w granatowej kurtce przycumował swoją szeroką łódź do słupa koło małego baru i wyładowywał ogromne butle wina oplecione koszami.

„Jestem w Wenecji” - stwierdził doktor bez udreki. Ubrał się i zszedł do hallu. W recepcji koło tablicy z kluczami stał drewniany zegar, przez oszklony otwór na dole dostrzegano ruch mosiężnego wahadła. Miła panienska wzięła od niego paszport oraz zaliczkę za trzy dni - piętnaście tysięcy lirów, i poprosiła o wypełnienie druczka meldunkowego. Spełnił jej życzenie i wyszedł na ulicę.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że ostatni raz jadł wczoraj wieczorem przed wyjazdem. Wstąpił do baru i wypił przy ladzie dwie filiżanki espresso z bułeczkami. Francuzi nigdy nie nauczą się przyrządzać takiej mocnej, pachnącej kawy! Poczuli się rześko, ogarnęło go zniecierpliwienie i wyszedł spragniony, spotkania z miastem.

Jakże długotrwała okazała się jego pamięć wzrokowa! Ostatni raz był w Wenecji dziesięć lat temu, ale szedł pewnym krokiem, nikogo nie pytając o drogę. Wszedł po schodach na most Accademia, zatrzymał się w środku tej pięknej arki, spojrzął z góry na Canal Grande wypełniony łodziami. Zszedł na drugi brzeg. Skierował się do najśłynniejszego z cudów Wenecji, piazza San Marco. Minał wąskie uliczki z zamkniętymi sklepami, przeciął dwa małe place, Morosini i Manin, zatrzymał się na ostatnim skrzyżowaniu i zobaczył kolumny placu Św. Marka. Przyśpieszył kroku.

Gigantyczny czworokąt był obudowany ze wszystkich stron prócz szerokiego wyjścia nad wodę, zwanego piazzetta. Z prawej i z lewej strony rzędy gmachów z podcieniami; w środku placu prostokątna strzelista kampanilla; u przeciwległego końca rozłożysta bazylika Św. Marka o pięciu kopułach. Doktor stał, na nowo urzeczony tą mieszaniną stylów. Podziwiał piętno wieków, które przepłynęły nad miastem znacząc jego urodę swym udziałem w budowie.

Przeszedł się pod arkadami. Sklepy były zamknięte, metalowa krata osłaniała wystawę jubilera, pozostałe ofiarowały przechodniom widok różnych towarów, od bardzo

drogich do tandety. Nie było tłoku, bo z miasta już zniknęli turyści. Ludzie miejscowi z niedzielną powolnością wałęsali się rozmawiając, gestykułując i wydając okrzyki; nie zwracali uwagi na widok znany im od dzieciństwa. Gołębie latały wokół swych gniazd i dreptały po placu, płacząc się pod nogami przechodniów.

Charmier usiadł na tarasie kawiarni Florian. Jeszcze parę osób piło kawę na zewnątrz nie zdejmując okryć, bo mimo słonecznej pogody powietrze było mroźne. Na balustradzie siedziały rozleniwione gołębie, wymieniając między sobą gderliwe pomruki, przebierały krótkimi nóżkami i plamiły marmur rzucikami ekskrementów. Nie przeszkadzała im obecność ludzi.

Na obiad doktor udał się do restauracji hotelu Monaco, jednego z najelegantszych i najdroższych w mieście. Ulegał potrzebie fundowania sobie luksusów, na jakie nie stać go było dwadzieścia lat temu.

Gmach był monumentalny. Na lewo od hallu za szklanymi drzwiami znajdował się salon, za nim dopiero sala restauracyjna. Maitre d'hotel spotkał Charmiera na progu sali i zapytał, gdzie by chciał usiąść, po czym zaprowadził go do małego stolika przy oknie, z którego widać było calle Vallaroso z mnóstwem parterowych sklepów oraz Harry's Bar, ulubione przez cudzoziemców miejsce spotkań. Obiad był znakomity, bardzo włoski, z niezrównanym spaghetti i pysznym winem Lacrima Christi. Posiłek tijał długo, bo doktorowi się nie śpieszyło, kelner zaś umiał docenić powolną konsumpcję konesera.

Cały dzień i wieczór upłynął Charmierowi na zwiedzaniu miasta. Przyglądał się starym dzielnicom pełnym niszczących zabytków oraz nowym fragmentom urbanistycznym, które wdzierały się w naturalną tkankę architektoniczną niczym bezceremonialne, obojętne na przeszłość intruzy.

Wracał do swojego pensjonatu na piechotę, przez most Accademia. Na nadbrzeżu Zattere o parę kroków przed nim z jakiejś dziury w murze wyskoczył spasiony szczur i kolebiąc się pobiegł w tym samym kierunku; w nocnej ciszy dał się słyszeć

chrobot jego pazurków na kamieniach chodnika. Drzwi pensjonatu były jeszcze otwarte, w hallu przywitał go tenże nocny portier, który wyglądał raźniej i był ogolony.

Czując ból w utrudzonych stopach, doktor wziął kąpiel, położył się i natychmiast zasnął. W nocy ani razu nie zbudził go zegar kościelny wydzwaniający co kwadrans melodyjną frazę.

\*\*\*

Minęło jeszcze dwa dni, a spokój wewnętrzny wciąż nie opuszczał doktora Charmiera. Stwierdzał to mimochodem, unikając introspekcji, która mogłaby spłoszyć ten stan błogosławiony. Powiedział sobie tylko: „Właściwie powinien bym tu się osiedlić” - ale przeszedł nad tą myślą do porządku dziennego. Było mu dobrze, należało udawać, że to rzecz naturalna.

Rankiem czwartego dnia zadzwoniła do niego panienka z recepcji i zapytała, czy zamierza przedłużyć swój pobyt w pensjonacie. Nie wiedzieć czemu podziałało to na niego jak dzwonek alarmowy.

- Nie, pewnie dzisiaj wyjadę - powiedział. - Proszę przygotować rachunek.

Od tej chwili zaczął się śpieszyć. Zatelefonował do biura podróży i zamówił bilet do Paryża na wieczorny samolot. Poprosił o śniadanie do pokoju, zjadł je bez apetytu. Po wyjściu na ulicę zapytał sam siebie: dokąd teraz?

Wsiadł do gondoli i nie zastanawiając się rzucił:

- W okolice Campo San Stefano.

To było niedaleko, ale cwany Włoch wiózł go okrężną drogą, gadając bez ustanku:

- Pan chce zobaczyć kościół San Stefano? Cudowny, bellissimo... I most Rialto? O, przepiękny, drugiego takiego pan nigdzie nie znajdzie...

Po co tam jechał? To była dzielnica zakazana, o której nie wolno mu było nawet wspominać: tam właśnie w małym, skromnym pensjonacie spędził pierwsze wspólne wakacje z Klaudią, w tajemnicy przed jej rodzicami. Mógł powstrzymać gondoliera, wysiąść na pierwszym zakręcie... Nie uczynił tego.



Poddał się jakiejś nowej mocy wewnętrznej, która kazała mu obejrzeć najbardziej osobiste pamiątki z owego dalekiego okresu.

Wysiadł z gondoli, przeszedł do placu Św. Stefana. Zostawił po prawej stronie zabytkowy pałacyk z ogrodem, do którego schodziło się kamiennymi schodkami. Po lewej, za szacownymi domami kilkusetletniej dawności, o czym świadczyły ich fasady, znajdowała się kawiarenka z wysuniętym na chodnik tarasem. Usiadł przy stoliku, nie mógł sobie tego odmówić.

Niskie plecione krzeselko w zimie nie było zbyt wygodne, poły jego rozpiętego płaszcza leżały na kamiennej posadzce. Podano mu miniaturową filiżaneczkę do połowy wypełnioną diabelnie mocną kawą, przy niej szklankę zimnej surowej wody do rozcieńczenia. Tak jak kiedyś. Zdawało mu się, że zaraz nadejdzie Klaudia.

Rozumiał, że jest to ostatni punkt jego pielgrzymki, z którego mógł być jeszcze zawrócić. Ale nie zawrócił. Wypił jeszcze jedną filiżaneczkę kawy, zapłacił. Wstał i poszedł naprzód, w kierunku mostu Rialto. Za placem skręcił na lewo. Na początku uliczki Piscina San Samuele stały naprzeciw siebie dwie knajpy, jak dwie rozpaplane kumoszki. Trochę dalej kamienne schodki prowadziły w górę na maluteńki plac, przy którym stał dwupiętrowy wąski dom o podłużnych oknach zwieńczonych falistą linią sklepienia. To był ich pensjonat.

„Nic w tym miejscu się nie zmieniło” - pomyślał.

Przyjechali tu na początku czerwca, wynajęli dwa pokoje obok siebie. Łazienka była na końcu korytarza. Właścicielka pensjonatu zdawała się nie dostrzegać, że pościel na łóżku Edwarda przez cały czas zostawała nie tknięta. Signora Vian miała osiemdziesiąt cztery lata, była urodzona w Wenecji, nigdy jej nie opuszczała i mówiła tylko dialektem weneckim, ignorując istnienie włoskiego języka literackiego. Nawet Klaudii trudno było się z nią porozumieć, ale staruszka była domyślna i wiele rzeczy zgadywała, swoją zaś mowę często uzupełniała gestami i bardzo wyrazistą intonacją.

Była to pani tęga, ale żwawa, siwe włosy szczytywała do tyłu, skręcając je na karku w kok. Dobroduszną twarz często

opromieniał życzliwy uśmiech, miała pulchne ręce, z różowymi palcami jakby ściągniętymi w stawach nitką, niczym paróweczki. Jej krótko obcięte paznokcie były zażółcone od nikotyny, bo paliła papierosy w szklanej lufce, zupełnie już brązowej od soku tytoniowego.

Chłopak z narożnej knajpy codziennie dostarczał jej litr lekkiego Chianti, który wypijała w ciągu dnia. Wieczorem zaparzała sobie dużą filiżankę bardzo mocnej kawy, przyjemny zapach rozchodził się po całym domu: twierdziła, że bez tej kawy za nic nie mogłaby zasnąć. Gardziła natomiast herbatą i mówiła, że to nie jest napój dla ludzi.

Wracając z miasta, Klaudia i Edward zatrzymywali się na chwilę w hallu, żeby zamienić parę słów z gospodynią. Lubiła opowiadać epizody z dziejów rodziny i miasta. Na przykład opisywała z przejęciem, jak to w roku bodaj dwudziestym ósmym zdarzyła się taka ostra zima, że laguna zamarzała i dzieci urządziły sobie przy brzegu ślizgawkę.

Innym razem powiedziała, jak jej tata w roku czterdziestym ósmym został przez Austriaków publicznie wychłostany o dwa kroki stąd, na placu Św. Stefana.

- Skądże tu się wzięli Austriacy? - zdziwiła się Klaudia. - I jak śmieli poddać staruszka chłóście?

Wyjaśniła:

- No bo w zeszłym stuleciu tata był jeszcze zupełnie młody i walczył przeciwko Austriakom. Wtedy wypędziliśmy ich z Wenecji! Ale zdążyli tatę wychłostać.

Lato roku 1955 było upalne. Klaudia i Edward jeździli codziennie na Lido, opalali się na plaży, pływali w Adriatyku. Wracając wstępowali do kawiarni na kanale Giudecca, był to pomost na palach, bez dachu, zastawiony okrągłymi stolikami, każdy pod parasolem.

Obiady jadali w różnych krańcach miasta i sąsiednich wysepek, tam gdzie ich przyłapał głód. Wybierali oczywiście lokale nie bardzo drogie. Klaudia знаła trattorie, gdzie można było tanio zjeść znakomicie przyrządzone specjały kuchni włoskiej.

Spędzili wtedy w Wenecji trzy tygodnie. To był ich miesiąc

miodowy, o czym Edward nie wiedział, bo jeszcze nie mówili ze sobą o małżeństwie. Dopiero znacznie później, kiedy wyjaśniło się, że Klaudia zaszła w ciążę...

Nie wstąpił do pensjonatu, tylko obszedł go dookoła. Signora Vian z pewnością nie żyje i w ogóle dość wspominków. Wracał powolnym krokiem, jakby już żegnając - tym razem na zawsze - miasto, w którym przez trzy tygodnie był przekonany, że jest szczęśliwy.

Wczesnym wieczorem rozliczył się za pobyt w pensjonacie, zostawił sute napiwki i uniósłszy swoją lekką walizkę skierował się na przystanek tramwajów wodnych przy San Marco. Odbyła się jego droga powrotna: vaporetto, statek portowy od przystanku Alitalia do lotniska, samolot. Znowu było bardzo ciemno, za oknem nieprzejrzany mrok. Cały czas do wylądowania w Paryżu przesiedział z zamkniętymi oczami.

\*\*\*

Z dworca lotniczego na esplanadzie des Invalides doktor Charmier przeszedł na piechotę do hotelu Crillon na place de la Concorde. Urzędnik w recepcji obejrzał jego paszport, przyjrzał się uważnie jego twarzy i znowu popatrzył na zdjęcie.

- Pan mieszka w Ville d'Avray? - zapytał.

- Tak. Ale teraz za późna godzina na powrót do domu - wyjaśnił doktor. - Chciałbym przenocować w Paryżu. Czy macie wolny pokój?

- Jedną chwileczkę - powiedział urzędnik i wyszedł przez tylne drzwi.

Charmier przypomniał sobie, że jeszcze nie przebrzmiały echa procesu, kiedy to wszystkie gazety i pisma umieszczały sprawozdania z sali sądowej oraz zdjęcia całej rodziny.

„Wszystko jedno” - pomyślał obojętnie.

Urzędnik wrócił uprzejmie uśmiechnięty:

- Damy panu apartament z rezerwacji. Pierwsze piętro, numer jedenaście.

Nazajutrz rano doktor zatelefonował do komisarza Dubona.

- Czy mógłbym przyjść zaraz do pana? - zapytał. - Mam pilną sprawę.

- Czekam - powiedział komisarz.

Charmier uregulował w hotelu rachunek, napił się w barze kawy i wyszedł zabierając ze sobą walizkę. Taksówka dostarczyła go na Quai des Orfèvres.

Wchodził na drugie piętro powoli, jak zawałowiec. Przed pokojem 20 zatrzymał się na chwilę, potem zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu Dubona. Komisarz wstał, podał mu dłoń, wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

- Słucham pana - powiedział.

- Muszę złożyć oświadczenie - zaczął doktor, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo z osobna.

- Słucham pana - powtórzył komisarz.

- Moja żona jest niewinna. To ja zabiłem moją córkę Madlenę.

Komisarz odchylił się na oparcie fotela i z zaciekawieniem spojrzął na doktora.

- To jedna z najdziwniejszych spraw, jakie prowadziłem - powiedział po namyśle. - Nie pan pierwszy składa takie zeznanie. W lutym tego roku pańska małżonka, siedząc na tym samym krześle, przekonała mnie, że jest sprawczynią zgonu swojej córki, i opowiedziała w szczegółach o motywach i przebiegu swojego czynu. Za dużo kandydatów na winowajcę, proszę pana. Zaczynam przypuszczać, że go wcale nie było.

- Ale ja rzeczywiście zabiłem Madlenę.

- Przypominam panu, że w czasie popełnienia tej zbrodni pan znajdował się w Chamonix. Jeżeli wykluczymy możliwość działania na dużą odległość za pomocą fal magnetycznych... jak na przykład w sprawie Mansona...

- Zabiłem Madlenę. Magnetyzm riie ma z tym nic wspólnego.

- Słucham pana - powiedział komisarz po raz trzeci.

- Proszę o zaprotokołowanie mojego oświadczenia.

Dubon zajrzał do pokoju inspektorów.

- Nie ma teraz nikogo z moich pomocników - powiedział. - Jeżeli panu zależy na zarejestrowaniu pańskich zeznań, włączę magnetofon.

- Proszę bardzo.

Charmier skupił się i zaczął:

- Z materiałów sprawy pan chyba się orientuje, że moje stosunki z żoną od dawna nie były dobre. Ściślej mówiąc, od lat kilkunastu. Zaczęły się psuć wkrótce po urodzeniu Daniela. Sądzę, że miłość do syna była pierwszym prawdziwym i mocnym uczuciem w życiu Klaudii.

- A przedtem?

- Pan ma na myśli nasze małżeństwo? Klaudia wyszła za mnie z rozsądku, czego ja oczywiście wtedy się nie domyślałem.

- Stan majątkowy jej rodziców, o ile wiem, był znacznie lepszy od stanu pańskich rodziców?

- Owszem. Ale nie o korzyści materialne tu chodziło. Widzi pan, nie byłem pierwszym mężczyzną w życiu Klaudii. Rodzice jej oczywiście nie wiedzieli o tym fakcie. W środowisku praktykujących katolików włoskich, do których oni należą, utrata dziewictwa jest hańbą uniemożliwiającą panience godziwe zamążpójście.

- Rozumiem.

- Dla mnie ów fakt nie miał znaczenia, zresztą na początku naszej zażyłości, która nawiązała się w czerwcu 1955 roku w Wenecji, nie myślałem wcale o małżeństwie.

- Rozumiem.

- Klaudia posiada wiele talentów, w tym także zjednywania sobie ludzi. W roku 1957 przenieśliśmy się na stałe do Francji z półroczną córeczką. Moja żona szybko zapuściła korzenie na gruncie francuskim i zrobiła wielką karierę. To rzadki wypadek, żeby kobieta zajmowała tak wysokie stanowisko w olbrzymim koncernie przemysłowym.

- Owszem.

- Zresztą pan wie o tym z materiałów sprawy. Chcę opowiedzieć o rzeczy istotnej: jak i dlaczego psuły się stosunki między mną a Klaudią. Myślę, że to wiele wyjaśni?

- Oczywiście.

- Otóż, po pierwsze - nie mogłem przeboleć jej oziębłości wobec córeczki. Madlena rosła nie znając matczynej miłości. Opieka ojca, choćby najczulsza, nie może wynagrodzić dziecku tej krzywdy. Nie wiem, czy Klaudia zdawała sobie z tego

sprawę.

- Mówiła o tym w śledztwie.

- Po drugie żona moja nie była na tyle subtelna, żeby nie dawać mi do zrozumienia ogromu swej intelektualnej przewagi nade mną. Ustawicznie - nie wiem co prawda, czy świadomie - wpędzała mnie w kompleks niższości.

Nawet buntując się przeciw niej, pozostawałem świadom różnicy naszych poziomów. To obrzydliwe uczucie, proszę mi wierzyć, komisarzu...

Dubon wykonał nieokreślony gest zrozumienia.

- No i na dodatek była jeszcze zazdrość, zwykła męzowska zazdrość. Mimo terażniejszej swobody obyczajów dla obu płci, nikt nie lubi być rogiaczem. A byłem nim, jak pan zapewne wie, kilkakrotnie.

Znów nieokreślony gest Du bona.

- Rouvel był ostatnim kochankiem Klaudii. Tym razem, zdaje się, była to wielka obustronna namiętność. Powiedzmy, na miarę antyczną.

Uśmiechnął się i wyjął z pudełka papierosa.

- Czy pan w ostatnich latach kochał swoją żonę? - zapytał komisarz.

- Wydawało mi się, że już wcale jej nie kocham: przeciwnie, nienawidzę. Nienawiść moja doszła do apogeum, kiedy nawiązała romans z Rouvelem - z człowiekiem, którego kochała Madlena. Bez żadnych skrupułów deptała nadzieje mojej córki na szczęście. Madlena ciepiła, a jej cierpienie odzywało się we mnie bólem nie do zniesienia. Nie przesadzam: ból ten przekraczał moją odporność, fizyczną i duchową. W tym właśnie okresie, czyli w grudniu zeszłego roku, powstał w moim umyśle plan zbrodni. W moim pojęciu - zbrodni doskonałej.

Zapalił nareszcie papierosa, którego trzymał w palcach.

- Jak pan wie, żona moja ma nałóg codziennego zażywania środków nasennych. Co gorsza, przez lata stosuje ten sam środek, co jest szczególnie szkodliwe dla zdrowia. W ostatnim roku pokochała tubinal i nie uznawała innych prosków, zawsze miała w swojej apteczce zapas tego środka. Na tym właśnie zbudowałem plan mojej zbrodni.

Dubon nagle ożywił się i przenikliwie spojrzął na doktora:

- Pan planował zabójstwo żony?

- Oczywiście. Wyjechałem, jak pan wie, na tydzień do Chamonix. A przed wyjazdem cichaczem wziąłem napoczęte przez żonę pudełko tubinalu i zamieniłem w nim szóstą z kolei kapsułkę na kapsułkę z morfiną. Rozumowanie moje było, jak sądziłem, genialne w swej prostocie: podczas mojej nieobecności żona weźmie którejs nocy truciznę, nazajutrz znajdą ją martwą. Jaka hipoteza okaże się najbardziej prawdopodobna? Samobójstwo. Ja w każdym razie zostanę poza kręgiem podejrzeń.

- I nie pomyślał pan o sekcji zwłok? O tym, że wykryje się obecność morfiny przy nieobecności tubinalu?

- Pomyślałem o tym oczywiście. Nie ryzykowałem, bo ostatnio Klaudia, zanadto przyzwyczajona do tubinalu, potrzebowała aż dwóch kapsulek, żeby wywołać pożądany skutek. Wykryto by zarówno morfinę, jak i tubinal, więc wersja zabójstwa nie miałaby podstaw.

- Taaak... - powiedział komisarz. - Plan był genialny, a jednak zawiódł. Nie uwzględnił pan istnienia potęgi, która potrafi przekreślić najdoskonalsze rachuby.

- Mianowicie?

- Przypadek. Nieraz przypadek sprawia, że zbrodniarz uchodzi kary, innym razem dzięki przypadkowi prawda wychodzi na jaw. To przypadek zabił pańską córkę, kierując na nią cios, przeznaczony dla jej matki. Tej ewentualności pan nie przewidział.

- Bo była nie do przewidzenia! Pan sobie nawet nie wyobraża, jak to przeczyło wszelkiej logice i wszelkim przewidywaniom. Bo moja córka nigdy, rozumie pan: nigdy nie brała środków nasennych. Miała do nich awersję, zapewne dlatego, że matka tak bezkrytycznie wierzyła w ich wszechmoc.

Dubon wstał i uchylił połowę okna. Do gabinetu wtargnął podmuch świeżego powietrza wraz ze zgiełkiem ulicznym.

- Panu to nie przeszkadza? - zapytał doktora.

- Nie boję się zimna.

Komisarz wrócił na swoje miejsce.

- Proszę mi wytłumaczyć: dlaczego pan postanowił ujawnić swoją winę właśnie teraz, kiedy zapadł wyrok skazujący pańską żonę?

- Bo chociaż nie moja ręka podała Madlenie truciznę, to jednak ja ją zabiłem. Może pana interesuje, dlaczego nie przyznałem się do tego od razu?

Dubon kiwnął głową.

- W pierwszych miesiącach po zgonie córki byłem nieprzytomny z rozpacz. Przez jakieś zamroczenie umysłu uważałem, że to jednak Klaudia zawiniła - nie fizycznie, lecz moralnie, stwarzając sytuację nie do zniesienia dla Madleny i dla mnie. Więc pragnąłem, żeby poniosła karę. „Jak nie śmierć, to więzienie — myślałem. - Kto wie, czy to nie będzie dla niej jeszcze gorszą karą.” Tą myślą syciłem swoją żądzę odwetu.

- Kiedy pan zmienił swe nastawienie?

- Jeszcze przed ogłoszeniem wyroku. Zacząłem rozumieć, że sam pragnę odpokutować za to. Nic nie przywróci życia Madlenie, więc nie powinno być życia i dla mnie, to znaczy życia normalnego. Poza tym...

Urwał. Dubon cierpliwie czekał.

- Poza tym zafascynowała mnie postawa Klaudii, jej zachowanie się na procesie. „Chylę czoła przed jej odwagą” powiedział adwokat. Zazdrościłem mu, że mógł to powiedzieć głośno. Ja jedyny na sali doceniałem, co to oznacza. Bo tylko ja wiedziałem, że nie ona popełniła ten mord. Poświęciła się dla syna, bo była przekonana, że on otruł siostrę.

Znów urwał! Podjął po dłuższej chwili:

- Powiedziałem sobie: czy ja nie potrafię zrobić w imię mojej córki tego, co ona zrobiła dla Daniela?

---

---

## ZAKOŃCZENIE

Gość zerwał się z kanapy, podszedł do Ludwika, spojrzął na ostatnią przeczytaną kartkę rękopisu i wyciągnął ją spod jego



dłoni.

- Nie zapisana - stwierdził. - Spodziewałem się tego.
- Nie zdążyłem przepisać... Dziś improwizowałem.
- Dostyc tego. Dalszego ciągu nie będzie, autorze. Sądzę, że nadszedł czas otwartej rozmowy.
- Zgoda.
- Chciałbym się dowiedzieć: gdzie pan poznał tak dobrze sprawę mojej żony, Jadwigi Bieszczadzkiej?
- W Sądzie Grodzkim dla miasta Warszawy, na Lesznie.
- Pan był na rozprawie?
- Od pierwszego do ostatniego dnia.
- Pan jest z Wydziału Śledczego?
- Nie. Jestem lekarzem, pracuję w Zakładzie Psycho-neurologii, przy ulicy Sobieskiego.
- Wezwano pana do ekspertyzy?
- Tak, ale w innej sprawie. Do sali sto siedemnaście zajrzałem przypadkowo. Z miejsca uderzyła mnie pewna zbieżność... pewne podobieństwo do historii, którą znałem dobrze z własnych obserwacji i ze zwierzeń jej uczestników.
- Do historii, którą pan opisał?
- Tak. Niemal identyczny wydał mi się układ stosunków w pańskiej rodzinie i w tamtej, francuskiej.
- Jak to możliwe? Inne warunki, obyczaje, mentalność...
- Oczywiście. Jednakże, mimo tych różnic, dostrzegłem w pańskiej rodzinie te same podziały, te same konflikty, a i charaktery są bardzo podobne, i nawet typy zachowań.
- Na przykład?
- Na przykład stosunki między małżeństwem, między rodzicami i dziećmi, między rodzeństwem. Można powiedzieć, kompleks Edypa w klasycznej postaci.
- Sam niekiedy o tym myślałem.
- A na domiar tego wszystkiego - identyczny, ale to już zupełnie identyczny plan zbrodni: mąż wyjeżdża z domu na tydzień, zostawiwszy uprzednio truciznę w pudełku proszków nasennych, które żona regularnie zażywa co wieczór.
- Taki rzeczywiście był plan pańskiego kuzyna?
- Co do joty. Liczył, tak jak pan, że śmierć żony zostanie

potraktowana jako samobójstwo. Zamierzał poprzeć tę hipotezę faktami: że niby nieboszczka ostatnio była w depresji, wciąż mówiła o samobójstwie. Uwierzono by mu, bo jako nieobecny podczas wypadku cieszyłby się zaufaniem policji.

- Owszem, i ja tak rozumowałem.

- I byłoby to rozumowaniem bezbłędnym, gdyby nie wkroczyła potęga nieobliczalna i wszechwładna, o której wspomniał komisarz Dubon...

- Przypadek? Tak, i to się zgadza w obu naszych sprawach.

- Zgon pańskiej córki nie był morderstwem zamierzonym, tylko dziełem przypadku. Owej nocy nie było w domu zbrodniarza, ten zaś, który zorganizował zabójczy cios, przeznaczał go innej osobie.

- Niewiarygodna zbieżność sytuacji!

- Słuchając rozprawy przeciwko pańskiej żonie, lepiej uświadomiłem sobie pewną osobliwość, nad którą nie dość zastanawiałem się przy sprawie paryskiej. Pojąłem stan psychiczny czterech kandydatów na winowajcę, czyli tych, którzy mieli motywy i możliwość otrucia dziewczyny. Niesamowitość ich wzajemnego ustosunkowania się polegała na tym, że każdy, będąc niewinnym, podejrzewał pozostałych. Zwłaszcza syn podejrzewał matkę o zabójstwo jego siostry, matka zaś nie tylko podejrzewała syna, ale nabierała coraz większej pewności, że to właśnie on popełnił zbrodnię.

- Tak, tak...

- Dlatego załamała się, kiedy organa śledcze skierowały oskarżenie przeciw chłopcu. Wtedy, pragnąc ratować syna, wzięła winę na siebie.

- Wiedziałem, że tak postąpi.

- Pan dobrze zna swoją małżonkę. Prawdopodobnie uznał pan, że długoletnie uwięzienie pani Jadwigi Zaspokoi pańskie pragnienie zemsty, zastąpi do pewnego stopnia wyrok śmierci, jaki pan wydał na nią.

- Przyznaję to.

- Teraz pan rozumie, dlaczego byłem obecny na procesie; cały czas myślałem o zbieżnościach między tragedią w pańskiej rodzinie i w tej mojej, w Ville d'Avray.

- Słuchając warszawskiej rozprawy, pan domyślił się całej prawdy?

- Nie domyśliłbym się nigdy, gdyby nie te zbieżności i paralele. Podczas ogłoszenia wyroku nie patrzyłem na panią Jadwigę, tylko na pana. Pan ma zbyt wyrazistą twarz, panie Tadeuszu. Gdyby sędzia spojrział na pana uważniej, może zwątpiłby w sprawiedliwość swojego wyroku. Ale wszyscy prócz mnie patrzyli na oskarżoną. Trzymała się dzielnie.

- Nie przeczę. A Kołobrzeg to niby moja Wenecja?

Gospodarz wzruszył ramionami:

- Tego nie wiem.

Gość uśmiechnął się z przymusem:

- Cóż, zadał pan sobie nie lada fatygę, żeby zapędzić mnie w pułapkę. Pojechał pan za mną nad morze, spłodził całą powieść, no, no...

- Nie było moim celem zapędzać pana w pułapkę.

- A cóż innego, jeżeli wolno zapytać.

- Chciałem panu pomóc w podjęciu decyzji, którą pan sam pragnie podjąć i zrealizować.

- Skąd pan wie, że pragnę?

- Mówię przecież, że obserwowałem pana na sali sądowej. By użyć banału, czytałem w pańskiej twarzy jak w księdze otwartej.

- Pan jest zarozumiały.

- Być może. Z pewnością nie byłbym taki domyślny, gdyby Edek nie podjął tej właśnie decyzji.

- Ja nie jestem pańskim kuzynem.

- Ale pan znalazł się w identycznej niemal sytuacji.

- Nie wszyscy jednakowo reagują na jednakowe sytuacje. A zresztą...

Machnął ręką z nagłym zniechęceniem. Gospodarz przysunął mu swoje krzesło, sam zaś rozpoczął wędrówkę od ściany do ściany. Mówił z namysłem:

- Proszę pana, nikt nie polecił mi prowadzenia tej sprawy. Zapadł wyrok skazujący, adwokat złożył apelację do wyższej instancji. Czy, nie mając nowych danych, sąd odwoła decyzję poprzedniej instancji? Odwołanie zależy wyłącznie od pana.

Rozmawiamy w cztery oczy (magnetofonu nie mam) i daję panu słowo honoru, że nie złożę na pana donosu. W tej chwili sprawa rozstrzyga się wyłącznie w pańskim sumieniu i nikt inny nie powinien na to wpływać.

- Pan mnie bierze pod włos.

- Nie. Wydaje mi się tylko, że dobrze pana rozumiem. I jestem absolutnie przekonany, że gdyby pan teraz nie poszedł za głosem sumienia, to znaczy nie zgłosiłby się dobrowolnie do władz jako prawdziwy sprawca zgonu córki, to w najbliższym czasie sam wymierzyłby sobie sprawiedliwość, pozbawiając się życia.

- Niewykluczone. Takie wyjście byłoby łatwiejsze.

- Wiem. Sądzę jednak, że pan jest człowiekiem honoru.

I że pani Jadwiga już dość odpokutowała za swoje winy, do których zabójstwo córki nie należy.

Długo trwało milczenie. Gospodarz palił jednego papierosa za drugim, chodząc tam i z powrotem po swoim ciasnym pokoju, gość też palił bez przerwy siedząc ze zwieszoną głową. Wiatr uderzył w szybę, obaj drgnęli nerwowo.

- Dobrze - powiedział Bieszczadzki z rezygnacją. - Do kogo mam się zgłosić?

- Pan jest doprawdy zdecydowany?

- Tak. Nie widzę dla siebie innego wyjścia.

- Pojadę z panem. Ta okoliczność, że pan, nie będąc podejrzanym, dobrowolnie ujawnia swoją winę, jest dużym plusem na pana korzyść. Postaram się, żeby pana bronił najlepszy adwokat naszej palestry.

- W tej chwili nie myślę o tym.

Gospodarz wyszedł na korytarz i nie zamykając drzwi podniósł słuchawkę stojącego obok telefonu.

- Halo! - odezwał się po nakręceniu numeru. - Czy mogę mówić z panem majorem? Dzień dobry, majorze, tu doktor Gellert<sup>2</sup>. Tak, Leszek Gellert z Warszawy. Jest u mnie w tej chwili pan Tadeusz Bieszczadzki, mąż Jadwigi Bieszczadzkiej skazanej dwa miesiące temu w Warszawie za zabójstwo córki.

---

2 Postać doktora Gellerta występuje w dwóch poprzednich powieściach tegoż autora: „Przekładanka” i „Nie chciałem jej zabić”.

Zna pan tę sprawę? Doskonale. Adwokat złożył apelację. Pan Bieszczadzki chce odwołać swoje zeznania złożone w śledztwie i złożyć nowe. Rzecznik jest ważna i pilna. Czy mógłby pan przysłać po nas samochód? Ja też przyjadę, zaprzyjaźniłem się z tym człowiekiem. Dziękuję.

Gellert podał swój adres i wrócił do pokoju. Gość nadal siedział ze zwieszoną głową.

Mijały długie minuty, obaj wsłuchiwali się w odgłosy z ulicy, obu jednocześnie wydało się, że przed domem zatrzymało się auto. Bieszczadzki wstał, wyjął z portfela kolorową fotografię i podał: Gellertowi.

- To moja Madzia - powiedział.

Krótko ostrzyżona jasna główka, duże niebieskie oczy, usta nie malowane i smutne mimo uśmiechu. I na odwrocie:

„Drogiemu tatusiowi z życzeniami noworocznymi.

1 stycznia 1976”.

zł 30,-

lesiojot